

Podróż w stronę tego, co stanowi  
istotę powieści noir, czyli **prawdy i zbrodni**.

# Maxime Chattam

NIECH BĘDZIE  
WOLA TWOJA



# Maxime Chattam

NIECH BĘDZIE  
WOLA TWOJA

Z języka francuskiego przełożyła  
Marta Turnau



Tytuł oryginału:

QUE TA VOLONTÉ SOIT FAITE

Copyright © Editions Albin Michel - Paris 2015

Copyright © 2016 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia  
Draga

Copyright © 2016 for the Polish translation by Wydawnictwo  
Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Jolanta Olejniczak-Kulan

Korekta: Marta Chmarzyńska, Edyta Antoniak-Kiedos

ISBN: 978-83-7999-808-1

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

*Polska Izba Książki*

Więcej o prawie autorskim na [www.legalnakultura.pl](http://www.legalnakultura.pl)

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: [info@soniadruga.pl](mailto:info@soniadruga.pl)

[www.soniadruga.pl](http://www.soniadruga.pl)

[www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga](https://www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga)

E-wydanie 2016

Skład wersji elektronicznej:

The logo for 'virtualo' features the word in a bold, lowercase, sans-serif font. The letters 'v', 'i', 'r', 't', 'u', 'a', and 'o' are in a dark blue color, while the letter 'l' is in a lighter, medium blue color. The logo is centered on the page.

[konwersja.virtualo.pl](http://konwersja.virtualo.pl)

## Spis treści

Przedmowa

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

Przypisy

Sztuki powinny się spotykać, przeplatać, a przez to wzajemnie wzbogacać. Do lektury tej powieści proponuję dołączyć muzykę, tę samą, która inspirowała mnie podczas pisania. Muzyka pomaga odciąć się od świata, zamknąć w czytelniczej bańce. Moim zdaniem najlepiej towarzyszą tej książce:

- *House of Sand and Fog* Jamesa Hornera,
- *The Hours* Philipa Glassa,
- *Cztery pory roku* Vivaldiego w nowej aranżacji Maksa Richtera.



*Nonie, Susan, Guyowi i Dany'emu, którzy sprawili, że  
zasmakowałem w dawnych czasach, i dlatego, że są stamtąd, skąd  
pochodzę.*

„Próbował przywołać ten sen, ale nie zdołał. Pozostało tylko uczucie z niego wyniesione. Może stwory przyszły go ostrzec. Przed czym? Że nie umie w sercu dziecka rozniecić tego, co w jego sercu obróciło się w popiół”.

Cormac McCarthy, *Droga*<sup>1</sup>

„Mój zamysł jest tylko moim zamysłem, a dzieło jest dziełem”.

Paul Valéry, *Cahiers*

## Przedmowa

*Zagłębiając się w powieściach drobiazgowo analizujących przemoc i zło, czytelnik jakby stoi przed judaszem w drzwiach, które go do pewnego stopnia chronią, by mógł bez obawy obserwować to, co w nas najgorsze. Drzwi te stanowią niemą obietnicę literatury, że osłania ona tego, kto się jej oddaje. W tej książce drzwi stoją szeroko otworem. Powieść, mimo iż pełna przemocy, nie rywalizuje z innymi, stara się tylko odpowiadać na pytania. Najbardziej przerażające spośród nich powinno zrodzić się w was po przewróceniu ostatniej kartki. W tym celu jednak będziecie musieli zapuścić się na niebezpieczne ścieżki. Uprzedzam was.*

*Aby uniknąć nieporozumień, powiem wam, że nie jestem narratorem, z którym się utożsamicie, ale kimś, kto znalazł ten tekst w starym zakurzonym pudle przechowywanym na rodzinnym strychu.*

*Edgecombe, 18 lipca 2014*

## 1.

Był jeden z tych sennych poranków, kiedy szary wilgotny świt ciągnie się bez końca, z trudem wspinając się w stronę nisko zawieszonych chmur, jak gdyby opierał się przed rozjaśnieniem kolejnego dnia na ziemi. Riley Ingmar Petersen przeskakiwał między gniazdami z błota uwitymi wśród wysokich traw i zwiędłych wrzosów, by nadążyć za płynnym krokiem długich nóg ojca, Jona, który szedł, niosąc na ramieniu młot. Jon był chudy, niespokojny, o skórze tak cienkiej, że widać było ścięgna drgające przy najlżejszym ruchu, o wyraźnie zarysowanych żyłach, mięśniach przetaczających się niczym fale nieprzewidywalnego morza, które w każdej chwili gotowe są spienić się gwałtownie. Gospodarz i jego syn schodzili zboczem parowu biegnącego za ich posiadłością w stronę nędznego lasu, garstki buków, topól i jesionów o pniach prostych, wątłych i suchych, mizernego zagajnika, w istocie kilku wysokich palików tworzących przezroczywą zaporę, przez którą sączyła się odrobina znużonego świtu. Jon nazywał ten kawałek ziemi nieużytkiem, gdyż nie wzrastało tam żadne nasienie, i nawet sama natura, mimo odwiecznego uporu, nie potrafiła wydobyć choćby odrobiny życia z owego bezpłodnego łona.

Mgła pokrywała zbocze rozproszonymi płatami, strzępkami chmur zbyt ciężkich, by mogły wznieść się ku niebu, myślał jedenastoletni Riley, kiedy jego uda zatonęły w niej nagle i rysowały teraz dwie bruzdy. Prowadzony na postronku pies Cooper podążał za nim i zniknął we mgle cały, pozostawiając po sobie jako jedyny ślad smycz widmo. Był to wątlý, zaledwie kilkumiesięczny kundel, którego Riley znalazł poprzedniego dnia między dwoma kubłami na śmieci, drżącego ze strachu lub zimna, o gęstej szaro-czarnej sierści splątanej aż po ślepie. Riley wiedział, że jego ojciec nienawidzi psów, powtarzał, że cuchną, że nie są godne zaufania, że są tylko kolejnym żołądkiem do karmienia; a jednak tym razem chłopak nie zdołał się opanować przed pocieszeniem biednego zwierzęcia, przed pogłaskaniem go, a wreszcie przed zabraniem do domu.

Ojciec przeszył go wzrokiem. Riley wiedział, że poprawne

wyrażenie brzmi „spiorunować wzrokiem”, nie był idiotą, chodził do szkoły i choć nie dostawał dobrych ocen, nie wynikało to z niedostatku inteligencji, nic z tych rzeczy, tylko z braku zaangażowania. Kiedy Jon zobaczył psa, jego źrenice przesunęły się powoli w stronę syna – chłopcu wydało się, że słyszy nieprzyjemne drapanie paznokci na czarnym stole, w miarę jak dwie atramentowe kule powiększały się z wściekłości, aż w końcu wyglądały tak, jakby nie mieściły się już w oczodołach, po czym przekreśliły się, ocierając o kość czaszki, by wreszcie znieruchomieć na nim.

– Co *to* jest? – spytał ojciec z obrzydzeniem adresowanym nie tyle do zwierzęcia, ile do dziecka.

– To jest... Cooper. Znalazłem go, kiedy wracałem ze sklepu.

– Wiesz, co myślę o psach, dlaczego dopuściłeś się nieposłuszeństwa?

Jon był wysoki, bardzo wysoki, a kiedy zbliżał się do syna, ten musiał wykręcać szyję, żeby utrzymać z nim kontakt wzrokowy. Riley wiedział, że w takich sytuacjach za żadne skarby nie wolno mu spuszczać wzroku. Tego Jon Petersen nie znosił. Tylko tchórze robią uniki, kiedy się do nich mówi. Chłopak odchyłał więc tylko głowę do tyłu, w miarę jak zbliżało się zaćmienie, aż czuł kwaśny zapach potu i kamforowy aromat tytoniu, który palił ojciec. Błada twarz mężczyzny przypominała nierówną i groźną powierzchnię Księżyca z dwoma kraterami bez dna, dwiema bezimiennymi otchłaniami, których żaden astronom nie chciałby ani zgłębić, ani nawet nazwać. Księżyc zasłonił gołą żarówkę i zalał Rileya szarym, dobrze mu znanym cieniem. Chłopiec dorastał w nim, wiedział, co w sobie kryje. Mimo to tym razem nie zamierzał się poddać. Bardzo pragnął tego psa i wyczuł, że zwierzę odwzajemnia to uczucie, trochę tak, jakby połączyła ich miłość od pierwszego wejrzenia. Riley chciał ten jeden raz uprzeć się przy tym, czego pragnął nade wszystko. Najwyższy czas, miał jedenaście lat. Nie chodziło o przeciwstawienie się ojcu, nie, tylko o wyrażenie swojego charakteru. To – jak sądził – mogło mu jeszcze ujść na sucho. A może wręcz sprawić przyjemność Jonowi, nawet jeśli ten nigdy się do tego nie przyzna. W rodzinie ceniono męskość. Chłopiec wziął zatem wdech, żeby rozpocząć obronę.

– Mógłby się nam przydać, tato. Wiesz, jest sprytny, widzę to, mógłby płoszyć lisy, które zjadają nasze kury, jest dobrym strażnikiem, łatwo to poznać po jego zachowaniu.

Kule w twarzy Jona stały się mniejsze, nie groziły już wybuchem, i mrok spłynął na policzki. Pozostała tylko owa nieprzewycięzalna siła, która dosłownie przeniknęła Riley'a. Dwie długie włócznie przeszły go z zamiarem zadania bólu, poruszenia wnętrzości, rozdarcia narządów. W tej chwili Riley zrozumiał, że rozstrzelanie byłoby o wiele mniej bolesne, i właśnie dlatego jego ojciec zastąpił armaty ostrzami.

A potem, równie nagle jak kukurydza przemienia się na patelni w popcorn, włócznie opadły. Jon westchnął, z rezygnacją wydychając powietrze nosem, i gestem kazał synowi zmykać. Przez resztę wieczoru nie wspominali o Cooperze i Riley zrozumiał, że był to ojcowski sposób na przyjęcie psa. Wkrótce pozostanie już tylko rezygnacja i obojętność. Cooper należał odtąd do rodziny.

Jon obudził Riley'a wczesnym rankiem, ukroił mu pajdę chleba i nalał soku pomarańczowego. Ten codzienny rytuał miał mu dodać sił, gdy zabierał go na polowanie, na połów, a najczęściej do pracy przy utrzymaniu gospodarstwa, polegającej na poprawianiu płotów, czyszczeniu narzędzi, łataniu kurnika po ataku lisa albo doprowadzaniu do porządku desek stodoły, które niszczyła wilgoć. Czekala na niego gruba kromka chleba z serkiem kremowym, jego ulubione śniadanie.

Przed wyjściem Jon rzucił chłopcu koński rzemień.

– Do ciągnięcia twojego kundla, nie mam ochoty tracić czasu na bieganie za nim.

Riley z trudem opanował uśmiech. Ojciec z pewnością będzie nazywał Coopera „kundlem”, nigdy inaczej, to jego sposób na pokazanie, że nie zaakceptował go w pełni, ale przynajmniej go nie ignoruje.

Kiedy tylko przecięli szal mgły oddzielający skraj lasu od nieużytku, Cooper wyłonił się na końcu swojej smyczy, a Riley dostrzegł przewrócony gruby pał ciągnący ku ziemi ogrodzenie, które miał podtrzymywać. Sobotni ranek spędzą na naprawianiu płotu, powinien był się tego spodziewać, klasyczne gospodarskie zajęcie.

Jon wskazał na długi pień leżący wśród wysokich traw.

– Przywiąż tam kundla i chodź mi pomóc.

Riley wypełnił polecenie i uniósł głowę akurat w chwili, kiedy wśród leśnych krzaków przemknęła sarna. Tej się poszczęściło, ojciec nie miał przy sobie strzelby, w przeciwnym razie zwierzę zaopatrzyłoby spizarnię Petersenów. Riley nie lubił polowań. Prawdę mówiąc, tropienie zwierzyny, celowanie i strzelanie było samo w sobie dość ekscytujące, nienawidził jednak ćwiartowania.

– Obudzisz się wreszcie? – zirytował się ojciec.

Riley wyprostował się i zbliżył do nerwowej postaci Jona. Dłonie ojca zakończone długimi stwardniałymi palcami spoczęły na głowie syna. Wyraziste kości policzkowe tworzyły dwie wypukłości tak napięte, że Riley podejrzewał, iż to właśnie wywołuje zaróżowienie skóry twarzy. Cerę pokrywały żyłki, szczególnie czoło – wyglądała niczym przeżarte robactwem deski stodoły, ale w wersji wypukłej. Rileya zawsze bawiło porównywanie ciała ojca do gospodarstwa: suchego, pofałdowanego i wycofanego ze świata. Żyli na obrzeżach miasta, „bo kmioty z miasteczka śmierdzą”, lubił powtarzać Jon. Był odległy, fizycznie trzymał się na dystans. Jak gdyby mieszkali między dwoma warstwami świata. Cichy chód, lecz zarazem pewny krok, spojrzenie często zagubione w krajobrazie. Mówił do siebie – podtrzymywał konwersację z eterem, a jedyną odpowiedzią było echo jego szaleństwa, jak myśleli ci, którzy go widzieli.

Nieśmiały poranny powiew poderwał płowe włosy ojca, ale on zdawał się tym nie przejmować. Wpatrywał się w syna. Księżyc o anonimowych kraterach znów się pojawił w bladym świetle dnia. Riley uświadomił sobie wówczas, że świt w połączeniu z mgłą wysysa kolory. Niemal wszystko było szaro-białe, ziemia – zazwyczaj pełna kontrastów – a nawet twarz ojca przypominały tylko sine szczyty i wgłębienia.

– Sam już nie wiem, co z tobą zrobić, Riley – rzekł Jon bez cienia emocji.

Coś się działo. Tym razem dziecko było o tym przekonane, bardziej niż o tym, że piękne piersi i pieszczące dłonie idą w parze – jak mawiał ojciec. Jego spojrzenie ześlizgnęło się, a dwie otchłanie, które się nad nim otworzyły, wessały resztki dobrego nastroju, jakie zachował z poprzedniego dnia. Stopy zagłębiły się w błocie i chłopiec nagle cały

zesztywniał. Powietrze wokoło było ciężkie i zimne. Riley z trudem przełknął ślinę. Kałuże mgły znieruchomiały, pnie drzew przestały skrzypieć, a jemu wydało się nawet, że słyszy, jak w kamienistej glebie z chrzęstem kulą się korzenie. Tylko Cooper się nie przejmował i nadal bawił się gałązką, tarzając się u stóp powalonego pnia. Z nozdrzy Jona wydobywał się świst, kiedy wciągał głęboko powietrze, nie spuszczać wzroku z syna.

– Ile razy mam ci wszystko powtarzać, żebyś zrozumiał, co?

Riley czuł lodowatą mgłę ciągnącą od parowu, która wślizgiwała mu się pod ubranie, wspinała w górę kręgosłupa i zraszała go zimnym potem niczym widmo wszystkich istot zmarłych tutaj od zarania dziejów.

– Nie jestem dla ciebie dobrym ojcem? Mimo tych wszystkich poświęceń? Tego, co ci daję? Tego, co robię dla ciebie? Ale ty nie słuchasz. Jesteś uparty, nie stosujesz się do żadnych zasad. Tak nie może dłużej być.

Riley zacisnął szczęki. Wiedział, że do tego ma prawo. Popełnił błąd, spuszczać wzrok, żeby sprawdzić, czy ojciec ma na sobie skórzany pas z wielką miedzianą klamrą, i natychmiast został ukarany: siarczyste uderzenie wywołało piekący ból ucha i skroni. Unieruchomiony w błocie chłopiec nawet nie drgnął. Bóg wie, że w takich chwilach pod żadnym pozorem nie wolno się ugiąć. Jon nienawidził słabości. Nic w świecie nie rozpałało w nim takiej wściekłości jak najlżejszy objaw niemocy. Przyjmować, za żadne skarby nie jęczeć, nie drzeć, nie chwiać się, w przeciwnym razie spadnie grad ciosów. Tak, nienawiść Jona w stosunku do słabych granicyła z obłędem.

– Potrzebujesz dobrej lekcji, Riley.

Głos ojca nie zdradzał cienia wątpliwości, nie było w nim śladu łaski. Dzieciak zastanawiał się, co takiego zrobił, żeby sobie na to zasłużyć. Czy zadzwonili ze szkoły, żeby się poskarżyć na jego zachowanie? A może rodzice Bena opowiedzieli, że znowu zaatakował ich syna? Przecież to Ben zawsze mu dokuczał, to on...

Jon podsunął synowi młot kamieniarski pod nos.

– Musisz zrozumieć – oznajmił uroczyście. – Trzeba ci to wbić do



głowy. Wiesz, jak mnie uczył twój dziadek?

Riley słyszał tę historię setki razy. Ingmar, którego nazwisko nosił, był w rzeczywistości jego pradziadkiem, gdyż ojciec Jona zmarł wkrótce po ich przybyciu na kontynent amerykański ze Szwecji.

– Dawał dobrą lekcję – podsumował Jon. – Uklęknij.

Riley poczuł się jeszcze bardziej zbity z tropu. Tego ojciec nie miał w zwyczaju. Co też on znowu wymyślił?

– Na kolana, powiedziałem!

Riley wykonał polecenie bez słowa i ojcowska dłoń chwyciła go za twarz, żeby mu przekręcić głowę. Pociągnęła tak mocno, że chłopiec musiał się obrócić o dziewięćdziesiąt stopni, żeby zapobiec złamaniu karku. Czuł, że do oczu napływają mu łzy. Nie tyle z bólu, ile ze strachu. Ojciec go przerażał. Terroryzował. Szczególnie wtedy, gdy przywdziewał tę księżycową maskę i przemawiał lodowatym tonem.

– Będziesz uważnie patrzył i niczego nie przegapisz, żeby ci to posłużyło za lekcję, dzieciaku.

Jon pochylił się i chwycił Rileya tak, żeby jego głowa spoczęła na martwym pniu, i nagle Riley zrozumiał. Wszystkie jego mięśnie napięły się jednocześnie, żeby poderwać ciało.

– Nie! – krzyknął chłopiec.

Ojciec wycelował okutym czubkiem buta w pierś Rileya. Syn przewrócił się, łapiąc powietrze, wydał z siebie jęk, podniósł dłonie do mostka, jakby szukając sposobu na uruchomienie maszyny. Jego wykrzywione usta były szeroko otwarte, głowa spoczywała wśród traw. Trochę błota dostało mu się do ucha.

Jon wykorzystał tę chwilę, żeby pociągnąć za ramię Coopera, i owinąwszy go kilkakrotnie wokół pnia, by zwierzę miało jak najmniej swobody, docisnął psa do drzewa. Szczeniak próbował wyrwać się z uścisku, aż wreszcie się poddał. Brązowe ślepie spoglądały to na Jona, to na Rileya.

Gospodarz przyjął pozycję, zaparł się nogami i chwycił trzonek młota kamieniarskiego, który się zapadł w pulchnej glebie.

– Patrz uważnie, chłopcze, bo nie chcę, żebyś jeszcze kiedykolwiek dopuścił się wobec mnie nieposłuszeństwa, rozumiesz?

Narzędzie oderwało się od ziemi z gąbczastym cmoknięciem. Jon

począł, aż syn dojdzie do siebie, by wziąć zamach i roztrzaskać głowę psa.

W chwili uderzenia poderwała się chmara szpaków. Zbite w gromadkę w ciasnym eskadronie przypominały zasłonę wznoszącą się nad ponurym widowiskiem, w którym najgorsze miało dopiero nadejść.

## 2.

Zanim przejdę dalej, muszę wam wyznać, że ta historia w rzeczywistości nie jest moja. Ona jest nasza.

Kim jestem, nie ma większego znaczenia, liczy się to, co wiem, i w jaki sposób wam to opowiem.

Jako czytelnik, zawsze byłem głęboko przekonany, że opis sam steruje łącznością między nim a odbiorcą, a wewnętrzny obserwator i narracja w pierwszej osobie wynikają z wyboru artystycznego i potrzeb semantycznych, niczego jednak nie narzucają. Nieważny jest sposób ekspresji, liczy się ujęcie. Zainteresowanie czytelnika. Jego osobiste doznanie. W gruncie rzeczy w pamięci pozostaje ostatecznie tylko emocjonalna aura otaczająca daną książkę, każdy czytelnik buduje ją na podstawie intensywności własnych uczuć. W tym sensie lektura wymyka się spod kontroli autora, niezależnie od narzędzi użytych w celu zapanowania nad jej oddziaływaniem.

Mówię to wszystko, aby wyjaśnić, że jeśli zabieram bezpośrednio głos w tej historii, to nie w jakimś celu, z wyrachowania, ale dlatego, że w dniu, w którym postanowiłem przelać tę opowieść na papier, uświadomiłem sobie, iż największą trudnością będzie zapisanie nieprawdopodobnej konkluzji bez wywołania frustracji i niedowierzania oraz sprawienie, by czytelnik pojął rewolucyjny przekaz. Moje pojawianie się miejscami wydało mi się konieczne, gdziekolwiek jedynie uzupełniające, ale ożywcze dla tego, co nastąpi. Łagodzę, a jednocześnie pełnię rolę przewodnika i tłumacza. Stoję między prywatnością bohaterów tej opowieści, Wielką Historią, jaką tworzą krok po kroku – jeśli się wie, jak połączyć zdarzenia – i jej kulminacją wkraczającą w rzeczywistość każdego z nas.

To historia władzy, która nieświadomie nas dotyka, pewnej transgresji, rozchwiania. A także aktu obywatelskiego w imieniu większości, w imię tego, co właściwe. Ale przede wszystkim to portret małego miasteczka. Mojego.

Carson Mills.

Moglibyście wziąć jakąkolwiek nieco wygniecioną mapę

amerykańskiego Środkowego Zachodu, odszukać na niej położony nieco na uboczu obszar wiejski – byleby znalazły się tam niezbyt wysokie wzgórza, kilka strumyków, parę szerokich pasów leśnych – i tam przyłożyć palec, aby umiejscowić Carson Mills. Nasze miasto nie ma w sobie nic wyjątkowego, pojawiło się w epoce, kiedy człowiek budował swoje raje szybciej, niż Bóg stworzył świat – w ślad za torami kolei żelaznej, bo wśród tych nieskończonych pofałdowanych równin potrzebny był punkt zborny, magazyn dla torów, podkładów, gwoździ i śrub, które w tamtych czasach tworzyły sieć krajowych naczyń krwionośnych. Powstawały rozchwiejutane baraki dla robotników, namioty zastąpiły deski i gonty, poletka porosły rzędami warzyw, niektórzy zajęli się bydłem, by wszystkich wyżywić, w mgnieniu oka pojawiły się dziewczyny, żeby uatrakcyjnić wieczory, alkohol, żeby rozgrzać serca, i zaimprovizowany kościół, aby czuwać nad całością i przypominać każdemu o ułomności duszy. Miasto w owych czasach powstawało właśnie w tak prosty sposób. W ciągu kilku miesięcy. Byliśmy krajem możliwości, spotkań, wystarczyło być uważnym, by sięgnąć po swoją szansę. Dlatego też i dzisiaj jesteśmy ludem wędrownym. Przenosimy się z Cincinnati do Clevelandu albo z Jacksonville do Portlandu w zależności od ofert, mamy to w genach, przeciętny Amerykanin przeprowadza się kilkakrotnie w ciągu życia i zazwyczaj nie chodzi o zmianę dzielnicy. To sprawia, że jesteśmy największym na świecie narodem nomadów. Jak na ludzi, którzy traktują Cyganów jak miejską plagę, wydało mi się to dość zabawne.

Dzisiejsze Carson Mills to zaledwie kilka tysięcy mieszkańców, co zgodnie ze współczesnymi kryteriami czyni z niego małe miasto, dla niektórych to miasteczko. Nie chodzi o to, że ilość ludności zmniejszała się z upływem dziesięcioleci od czasów złotej epoki kolei żelaznej, nie, nawet jeśli wtedy nasze miasto było stosunkowo duże jak na obowiązujące standardy. Raczej o to, że świat poza Carson Mills rozrósł się, inne miejsciny nabrały objętości, i to znacznie, a cały naród się rozwinął, podczas gdy Carson Mills pozostało takie jak zawsze. Można je porównać do dzieciaka, który patrzy na dorastających kolegów z klasy, a sam pozostaje mały. W końcu taki dzieciak zaszywa się w swoim kącie, nie rozpoznaje się już na tle innych, woli żyć własnym

rytmem, skoro nikt nie jest do niego podobny. To dokładnie zrobiło nasze Carson Mills, zamknęło się na świat – czujne, czy nikt nie zgłasza pretensji do otaczających go lasów, kilometrów opustoszałych dróg, jakie do niego prowadzą – i dodawało sobie otuchy, tworząc własne rytuały.

Mimo wszystko to miejsce, w którym żyje się przyjemnie. Bo ludzie się znają, bo zwyczajnie odmierzają dni z wygodną regularnością metronomu. Centrum z niskimi drewnianymi budowlami, jakby rodem ze starego czarno-białego filmu, Main Street, główna ulica, gdzie wszyscy się spotykają, letargicznie spokojne rezydencjalne przedmieścia, a wszystko to otoczone polami i zagrodami dla świń i bydła, przechodzącymi w zalesione wzgórza, które wyznaczają granice miasta. Oto portret naszej poczciwej miejsciny. Debaty na tematy polityczne w Carson Mills szybko się kończą – jest się republikaninem albo opuszcza się okolicę. I tak z pokolenia na pokolenie. Mer rządzi jedną kadencję za drugą, podobnie jak szeryf, a obaj zwracają się do każdego mieszkańca po imieniu. Jedynym tematem sprzeczek, jaki może podzielić miasto, jest kościół. Luterkański albo metodystyczny. Każdy z nich ma swoje owieczki i granica między jednym a drugim jest wyraźnie zaznaczona, bardziej widoczna niż różnice w kolorze skóry; w Carson Mills definiuje was teologia waszej dzwonnicy. Osobiście starałbym się nie wynosić jednego ponad drugi, to nie byłoby sprawiedliwe. Przyznam jedynie, że to właśnie różnica poglądów religijnych dała początek tej opowieści, w każdym razie z mojego punktu widzenia. Każdy bowiem, kto był świadkiem sprawy tak złożonej, że aż niemal powieściowej, wie, że zawsze ciężko jest określić dokładne źródło, wskazać punkt wyjścia. Tylko fikcja pozwala ukonkretnić dane zdarzenie, zachowanie czy też wypowiedź i wznieść je w charakterze symbolicznego totemu, uczynić z niego swój incipit.

Jeśli o mnie chodzi, analizowałem tę opowieść pod każdym kątem, i gdybym miał wyodrębnić jej genezę, optowałbym za owym lipcowym wieczorem, niecałe cztery dziesięciolecia temu, kiedy to Willema Hodgson, nieco rozgorączkowana, rozmarzona, oczarowana głębokim niebieskim spojrzeniem Larsa Petersena (który dopiero co przybył ze Szwecji na amerykańską ziemię, obietnicę nadziei), uwiedziona jego

akcentem, ześlizgnęła się po zboczu pożądliwości, rozchyliła uda i dała się zepsuć. W tamtych czasach w takiej okolicy zajście w ciążę w wieku dziewiętnastu lat można było naprawić tylko w jeden sposób, aby zachować godność i honor: przez ekspresowy ślub dwojga grzeszników, tak by poród mógł mniej więcej pasować do terminu nocy poślubnej. Klasyka, powiecie. Z tym że Hodgsonowie byli wiernymi członkami kościoła metodystycznego, Petersenowie zaś zagorzałymi luteranami, a w tej kwestii obaj szefowie klanów, Saul i Ingmar, pałali żarliwością. Żywili też przywiązanie do swoich wartości religijnych przekraczające granice schizmy i wpadające w czysty fanatyzm. Kiedy Saul Hodgson dowiedział się, kto jest ojcem, żona musiała pozbawić go przytomności, uderzając żeliwnym garnkiem w głowę, by uniemożliwić mu uduszenie nieszczęsnej córki. Ingmar z kolei ograniczył się do sprawdzonego kręcenia głową i bicia syna, dopóki obaj nie stracili przytomności, jeden z powodu powtarzających się ciosów, drugi z wycieńczenia. Zarówno Saul, jak i Ingmar błagali Boga, powołując się na jego życzliwość, by przebaczył szaleństwo ich dzieciom, usiłując jednocześnie je zabić.

Ślub między metodystką i luteraninem był dla tych rodzin jeszcze bardziej hańbiący niż ciąża pozamałżeńska, niezależnie od tego, co mówiły kobiety z każdego z klanów, które wykazały się w tej sprawie największym umiarem. Saul zamknął Willemę na niemal dziewięć miesięcy i oznajmił Petersenom, że nie będą mieć żadnych praw do dziecka, ani moralnych, ani tym bardziej religijnych. Lars poczuł się tym głęboko dotknięty, gdyż szczerze kochał Willemę. Trzeba dodać, że o ile on miał rysy szorstkie, uwydatnione wysokimi kośćmi policzkowymi, i wąskie oczy świadczące o jakimś słowiańskim atawizmie morfologicznym, o tyle ona przejęła złocistą germańską urodę po matce, ze szczyptą irlandzkiej filuterności ze strony ojca, co czyniło ją wyjątkowo piękną.

Ta okiełznywana namiętność i powtarzające się ciosy stanowiły zapewne wyzwalacz, za sprawą którego wieczorem w dniu porodu Lars pojawił się u Hodgsonów. Chciał zobaczyć swoje dziecko i tę, wokół której od blisko roku obsesyjnie krążyły jego myśli. Saul nie widział tego w ten sposób i wypędził go, rzucając za nim nożami, polanami i garnkami, podpierając się dużą ilością obelg. Godzinę później drzwi

Hodgsonów otworzyły się gwałtownie, przemoczona lodowatym deszczem postać stanęła przed kominkiem, na którym gotowała się woda z brudnymi ręcznikami, i Lars Petersen oddał serię strzałów ze swojego karabinu w stronę metodystycznego patriarchy. Saul miał grubą skórę, z gatunku tych, co pozwalają konać przez kilka godzin, dowlókł się więc do kuchni, chwycił za własny karabin, znalazł w sobie siłę, by naładować go rozsypanymi po brudnej podłodze nabojami, jednym po drugim, starannie, podczas gdy kobiety wrzeszczały. Był dość uparty, by odpędzać śmierć, dopóki nie skończy tego, co zaczął. Być może jednak nie był wystarczająco odporny, żeby zachować pełną trzeźwość, tego nikt nigdy się nie dowie. Tak czy owak, gospodarstwo wypełniło się błyskami strzałów, rozeszła się woń prochu i krwi, a kiedy umilkło ogłuszające echo huków, pozostały tylko jęki Willemy i rytmiczne łkanie jej nowo narodzonego dziecka. Saul, jego żona Helga i Lars leżeli w kałuży posępnej czerwieni, przy czym – niektórzy mogliby przysiąc – krew metodystów nie lśniła tym samym kolorem co krew luterańska.

Zanim pojawiła się pomoc w osobie Ingmara Petersena, Willema, wycieńczona porodem, już nie żyła. Noworodek zawdzięczał życie resztkom ciepła zachowanym w ciele matki, której ramiona okrywały go niczym mlecznobiały całun pożyczony czerwieni. Ingmar wziął dziecko i kiedy szeryf zażądał od niego wyjaśnień, gospodarz był tak przekonujący i zdeterminowany, że nikt mu się nie sprzeciwił. Atak furii nie pozwolił jednak odesłać sieroty do anonimowego ośrodka na drugim końcu stanu, daleko od garstki bliskich, jaka mu pozostała.

Ingmar mieszkał w Carson Mills od roku. Żonę stracił podczas podróży przez Atlantyk – zabrała ją gwałtowna gorączka – a teraz syna. Miał dwie córki, które pomagały mu w prowadzeniu domu i – obecnie – w wykarmieniu nowego domownika. Nadał niemowlęciu imię Jon, bo z tego, co pamiętał, na ziemiach jego przodków oznaczało ono „Bóg jest miłosierny”.

Ale mimo że Bóg okazał się taki, zachowawszy Jona Petersena przy życiu, ten drugi nigdy taki nie był. Trzeba jednak przyznać, że podczas gdy większość z nas pojawia się na tym świecie wśród żywych, jego przyjęli wyłącznie martwi.

Są znaki, które nie kłamią.





### 3.

Kiedy Jon miał sześć lat, jego jedyną pasją było siadanie za rodzinnym domem, u stóp ochrowego pagórka i przyglądanie się godzinami, z pochyloną głową, kolumnom mrówek drążących wąskie bruzdy. Od czasu do czasu sięgał po gałązkę i kładł im ją na drodze, żeby zobaczyć, jak zareagują. Jon nie znał lepszej zabawy niż obserwacja mrówek, które ukazywały prawdziwą interakcję, odpowiedź na sytuację, czego żadna drewniana kolejka albo plastikowa figurka nie były w stanie mu zaoferować. Jeden lub dwaj rówieśnicy zapewne byliby bardziej na miejscu, ale Petersenowie mieszkali nieco na uboczu, potrzebna więc była duża motywacja, żeby przyjść do nich pieszo albo dojechać rowerem, a w szkole Jon nie był zbyt entuzjastyczny, rozmowny ani skory do zabawy. Z natury był chłopcem zamkniętym w sobie, który taksował kolegów chłodnym spojrzeniem. Inni dorośli mówili o nim, że ma „bogate życie wewnętrzne”, co było eleganckim sposobem na stwierdzenie, że jest aspołeczny. Z nikim się nie zaprzyjaźnił, wolał analizować zachowanie innych na szkolnym podwórku albo w drodze ze szkoły zamiast dołączać do dziecięcej maskarady, która kompletnie go nie interesowała. Podsumowując, Jona znacznie bardziej pociągał organiczny kopiec za zabudowaniami gospodarczymi niż zabawy w strzelaniny organizowane przez chłopców w jego wieku. Z mrówkami mógł postępować, jak tylko chciał, one nie potrafiły narzekać, nie groził z ich strony żaden bunt, którego nie dałoby się stłumić odrobiną obojętności, a organizowanie widowisk z ich udziałem było zawsze równie zaskakujące, zarówno gdy chodziło o naprawianie szkód spowodowanych deszczem, cwiartowanie i transportowanie zwłok skarabeusza, jak i stawianie czoła kohortom przybyłym z innych okolic.

Pewnego dnia Ingmar natarł mu uszu z powodu jego braku zainteresowania szkołą i Jon gmerał nieuważnie patykiem w mrówczym tłumie, kiedy nagle wybuchła w nim złość. Frustracja spowodowana biciem, które uważał za niezasłużone, przepełniła czarę. Szkoła nie potrafiła zaskarbić sobie jego uwagi, a była wymysłem dorosłych,

dłaczego więc on miał za to płacić, skoro to z *ich* winy system nie działał należycie na wszystkie dzieci? Rozgniół więc kawałkiem drewna grupę insektów pochłoniętych odbudowywaniem mrowiska. Wiele małych ciałek wiło się, pozbawionych kończyn, połamanych, zmiażdżonych, nóżki i czułki drgały w bezładnych konwulsjach. Jon przyglądał im się, z nosem kilka centymetrów od ich gehenny, i nie zdołał oderwać wzroku, zafascynowany, dopóki nie minęło ostatnie drgnienie. Nowy dreszcz przeniknął go od krzyża aż po mózg, pozostawiając po sobie gęsią skórkę. Jon po raz pierwszy poczuł swego rodzaju musowanie w dole brzucha, chmurę motyli tańczących poniżej żołądka, wewnętrzne łaskotanie. I było to przyjemne. Nie miał żadnych wyrzutów sumienia, samo pojęcie żalu musnęło go za ledwie, zmiecione owym zaskakującym przyływym mocy.

Jon sięgnął po gałązkę i począł siać zamęt na zboczach mrowiska, robił to z metodyczną starannością, przez długie minuty wywołując chaos i zadając śmierć, wciąż z coraz większym podnieceniem, z coraz większą wściekłością, a kiedy wreszcie się podniósł, u jego stóp znajdował się zrujnowany teren i setki, jeśli nie tysiące zwłok. Chłopiec dyszał, zanurzony po kostki w pyłe swojego holokaustu, ze spojrzeniem zwróconym w stronę białych chmur unoszących się na lazurowym niebie. W kącikach ust utworzyła mu się delikatna piana, która pulsowała przy każdym ciepłym oddechu, niczym żagle statku złapane między podmuchy wciąż zmieniającego się wiatru. Armada motyli pod żołądkiem upijała go pieścotami podnieconych skrzydeł.

Tym sposobem Jon po raz pierwszy odkrył boską władzę nad cudzym życiem i śmiercią. Oczywiście chodziło tylko o mrówki i w pełni mu to wystarczało, nie miał absolutnie ochoty na nic innego, tylko na maleńkie stworzonka niezdolne do stawienia mu oporu, do krzyczenia, bronienia się. Spodobało mu się kontrolowanie. Panowanie. Ujarzmianie. Niszczenie.

Hanna, młodsza z jego dwóch ciotek, obserwowała całą scenę z progu tylnych drzwi, trzymając cebrzyk wypranej pościeli do rozwieszenia. Z początku zaciekawiona, później pełna niedowierzania, poczuła ukłucie niepokoju, które doradziło jej nic nie mówić i odwrócić wzrok. Są w życiu młodego chłopca chwile, w których lepiej jest nie

uczestniczyć, i to właśnie była jedna z nich, pomyślała. Jon nie miał trudnego dzieciństwa w powszechnie rozumianym znaczeniu tego słowa, ale w końcu zrodził się wśród krwi i musiało to ciążyć na jego biednej duszy. Hanna szarpnęła cebrzyk, żeby oprzeć go na biodrze i wzruszyła ramionami, po czym skierowała się w stronę sznurów rozpiętych między ścianą kuchni i słupem pełnym powbijanych gwoździ. Jon odkrywał wściekłość, zabawę, frustrację i musiał je w taki czy inny sposób wyrazić – miał do tego pełne prawo.

Zachowała się więc tak, jak gdyby niczego nie zauważyła, i poszła swoją drogą.

Kawałek dalej Jon, z rozłożonymi ramionami, wciąż wpatrywał się w chmury.

Kojarzył się sobie z Chrystusem.

Jak to dobrze mieć boską moc.

#### 4.

Pewnego sierpniowego poranka, kiedy Jon miał dwanaście lat, siedział na wykręconym pniaku na opadającej zboczem polanie wielkiego lasu, który otaczał Carson Mills od południa, i studiował ruchy zwierzęcego świata. Były oczywiście ptaki, kilka sójek, wróble, a nawet myszołów, ale najbardziej interesowały go ssaki, a w szczególności para wiewiórek przeskakujących z gałęzi na gałąź. Jon spędził część lata, nie licząc codziennych obowiązków gospodarskich, na spacerowaniu po pobliskim lesie, obserwowaniu natury i w ciągu półtora miesiąca wypowiedział najwyżej sto słów. Dorośli być może wcale się nie pomylili, chłopiec istotnie miał bogaty świat wewnętrzny. Łowił ryby nad jedną z odnóg rzeki Slate Creek, godzinami włóczył się po wrzosowiskach, z dłońmi zanurzonymi w fioletowo-różowej gęstwinie, wyłuskiwał pożyłkowane liście każdego napotkanego drzewa, grzebał patykiem w otworach między korzeniami z nadzieją, że wypłoszy stamtąd żmiję albo kunę, a od czasu do czasu chował się za gospodarstwem Mackiech albo Stewartów, skąd – ukryty wśród paproci – szpiegował całą rodzinę, zaintrygowany przesadną autorytatywnością matki, głupotą jednej z córek i pijaństwem ojca. I każdego dnia tylko różowiejący horyzont przypominał mu, że powinien już wracać na kolację. Chromatyczne niebieskie koło kręciło się, jego osobisty kosmiczny zegar ze wskazówkami ze słońca, jego własna wytyczna, myślał z dumą Jon.

Tego ranka postanowił wrócić na polanę, gdyż widział tam kilka mrowisk, trzy piękne kopce, które przez całe lato trzymał w odwodzie na euforyczny seans destrukcji. Nie chciał ich zniszczyć, nie chodziło mu o zdeptanie pierwszego lepszego stosu, zdecydowanie nie! Jon zauważył, że im bardziej interesował się swoim celem, im dłużej przyglądał mu się ze wszystkich stron, im bliżej „poznawał” jego mieszkańców, tym większa była przyjemność ze spustoszenia. Istniał osobliwy związek między bliskością, żeby nie powiedzieć intymnością, i radością z destrukcji tego, co poznał w najdrobniejszych szczegółach. Niszczyć dla samego niszczenia było ostatecznie dziecięcą reakcją. Jon

natomiast przy każdym kopniaku, przy każdym wzburzeniu ziemi naprawdę *wiedział* wszystko, co się działo pod jego pięściami, miał świadomość każdego maleńkiego ciała wylatującego w powietrze, wszystkich tych mikroegzystencji, które rozkawałkował, a wreszcie tej cywilizacji, którą pustoszył, ponieważ ją *znał*.

Aby przejść do czynu – Jon rozumiał to z biegiem lat – należało wprowadzić się w odpowiedni nastrój. Bezmyślne zniszczenie najbliższego kopca, bez głębszej potrzeby, nie wywołało w nim żadnego uczucia, było wręcz nudne. Nie, on pragnął poczuć *ciśnienie*. A to latem nie rosło zbyt szybko. Wzbierało powoli, z każdą nieprzyjemną uwagą dziadka i ciotek, z każdym obowiązkiem domowym, który mu przydzielano, i który kazano wypełniać w wyznaczonym terminie, żeby się nie obijał. A potem również w miarę upływających tygodni, gdyż Jon rozumiał, że ciśnienie zawsze rośnie samo, jak gdyby urodził się z wewnętrznym ciekącym kurkiem i dzień po dniu jego zbiornik nieprzerwanie się napełniał. Ale nic na świecie nie podnosi ciśnienia tak szybko jak szkoła. Mówiąc dokładniej, koledzy i nauczyciele. Czasami wystarczyło tylko ich spojrzenie, ale znacznie częściej chodziło o reakcję na jego osobę: ów rodzaj niezadowolenia, jakie okazywali na jego widok, szepty, kiedy ich mijał, jak gdyby był nienormalny. Jon coraz bardziej ich nienawidził i fakt, że przez całe lato nie uczęszczał do szkoły, znacznie obniżył ciśnienie. Naturalnie z Ingmarem i ciotkami wielokrotnie bywał w mieście, i tutaj również, sam nie wiedział dlaczego, jego zbiornik się napełniał. Wolniej niż w szkole, ale mimo wszystko bardziej, niż kiedy zostawał w gospodarstwie. Z powodu chichotów i szyderstw za jego plecami. Świat go nie kochał, był tego w pełni świadomy. Wszyscy cały czas się z niego naśmiewali.

W rezultacie przez całe lato powstrzymywał w sobie ciśnienie, ale teraz, kiedy zbliżał się już koniec sierpnia, wiedział, że zaraz wybuchnie. Nadszedł czas. Nie ogarniało go uczucie nagłego i kompletnie nieprzewidywalnego skoku napięcia, jak to się czasami zdarza w wyniku głębokiego upokorzenia, kojarzyło się ono raczej z jedną z owych bobrzyń tam, jakie widywało się w odnogach rzek: powstrzymując wodę, tworzyły duży zbiornik, który należało opróżnić, nim woda porwie wszystko, co znajdzie na swojej drodze. Trzeba było zadziałać

z wyprzedzeniem, zanim tama pęknie i Jon straci kontrolę.

Jon spędził wiele lipcowych dni na polanie i wrócił tam ostatnio, by ponownie zająć się obserwacją mrowisk poprzedzającą ich zniszczenie. Czekał na właściwy moment, aż ogarnie go podniecenie, aż nie będzie mógł usiedzieć w miejscu, aż nie będzie mógł myśleć o niczym innym, aż motyle znów zaczną mu tańczyć w brzuchu. To była już kwestia dni, o ile nie godzin.

Całkowicie pogrążony w kontemplowaniu tańca wiewiórek, nie zwrócił uwagi na zbliżające się za jego plecami sylwetki, a kiedy pod stopami trzech nastolatków trzasnęły gałązki, było już za późno, żeby zniknąć. Otoczyli go.

– Patrz, debil na wzgórzu! – zawołał najstarszy.

Jon natychmiast go rozpoznał. Ten, który przemówił, był od Jona co najmniej trzy lata starszy, miał na imię Tyler, jasne, sterczące włosy i spojrzenie tak ostre jak brzytwa Ingmara. Dwaj pozostali byli jego goryłami: wysoki chudzielec, którego Jon ledwo znał, oraz Roger Tronkhstein, głupi brat jednej z dziewcząt z klasy Jona, którą ten lubił ze względu na jej łagodność.

Jon wstał z pnia, instynktownie wyczuł kłopoty i wszystko mówiło mu, że powinien jak najszybciej uciekać. Tyler zatrzymał go, kładąc mu dłoń na piersiach.

– Niczego cię nie nauczyli w domu? Uprzejmości? Żadnego „dzień dobry”, żadnego „do widzenia”?

– Zostaw mnie, Tyler – powiedział Jon, patrząc wysokiemu blondynowi prosto w oczy.

– Co ty tu robisz? Trzepiesz konia?

Jon zalał się rumieńcem. Policzki i uszy mu płonęły, zawstydził się na myśl, że ktoś mógł go zobaczyć, jak się dotyka. To była dla niego nowość, odkrywał się zaledwie i nie do końca panował nad szczegółami oraz efektem końcowym, czuł tylko, że chodzi o coś bardzo osobistego, co należy praktykować z dala od cudzych spojrzeń, podobnie jak wydalanie, chociaż podobało mu się to coraz bardziej, znacznie bardziej niż chodzenie do toalety.

Tyler zarechotał.

– Ja nie mogę, patrzcie na tę czerwoną gębę! On naprawdę trzepał

konia!

– Nie! Wcale nie!

Mina Tylera gwałtownie się zmieniła. Ze złośliwej kpiny przeszedł w coś znacznie bardziej chłodnego, okrutniejszego, nie rezygnując ze złego uśmiešku, przy którym mięsiste wargi zasłaniały mu dolną część twarzy.

– Są w mieście tacy, którzy mówią, że jesteś zwyrodnialcem, że twoją matką jest jedna z ciotek, czy to prawda?

Tym razem Jon wolał się nie odzywać.

– A widziałeś swojego ojca? – dodał wysoki chudzielec. – Jest tak stary, że z jaj sypie mu się cuchnący proch!

– Więc nie ma się co dziwić, że jesteś zidiociały – szydził Tyler.

Jon zrobił krok w bok, usiłując się wymknąć. Słowa odbijały się od niego, wiele ich już usłyszał, czasami znacznie gorszych, potrafił się więc ugiąć i nie zwracać na nie uwagi.

– Hej, dokąd idziesz? – nalegał Tyler, robiąc również krok naprzód, żeby zablokować Jonowi drogę.

– Wracam do domu, zostaw mnie w spokoju.

– Tyler! – zawołał Roger. – Chyba wiem, co ten debil tutaj robił, popatrzcie na te mrowiska! Siostra mi mówiła, że kiedyś widziała, jak zniszczył jedno z nich!

Tyler wyszczerzył poźółkłe już od tytoniu zęby w parodii uśmiechu.

– Więc, zboczeńcu, zachowujesz sobie największe na sam koniec? Ja, gdybym miał taką ciotkę jak twoja, miałbym gdzieś mrówki! Jak ona właściwie ma na imię?

Jon odwrócił wzrok, szukając sposobu ucieczki.

– Są dwie ciotki – wtrącił wysoki chudzielec.

– Ta ładna, młodsza – wyjaśnił Tyler. – No, jak ona się nazywa?

Twardziel klepnął Jona w ramię, żeby zaakcentować swoje pytanie.

– Hanna – rzucił Jon wbrew sobie, odgadując, że nie zostawią go w spokoju, dopóki nie da się wciągnąć przeciwnikowi w jego grę.

– Ach tak, *Hanna*!

Tyler przeciągnął pierwsze „a” imienia w lubieżny jęk. Dwaj pozostali członkowie bandy rechotali bezmyślnie. Jon czuł się coraz

bardziej zakłopotany. Nie rozumiał, dlaczego Tyler tak bardzo naciska, przecież niczego mu nie zrobił, cała sytuacja zaczynała napawać go lękiem.

– Gdyby to była moja ciotka, wciskałbym jej palce do cipki co wieczór, przed pójściem spać. A może nawet nie tylko palce!

Cała trójka parsknęła obleśnym śmiechem.

– Widziałem, jak się kąpała w stawie za torami kolejowymi – dorzucił Roger – była kompletnie naga! Jakie piersi! Różowe i ciężkie!

– Słyszysz, debilu? – ciągnął Tyler. – Jestem pewien, że w cipce twojej ciotki jest cieplej niż w piekle, a to warte jest więcej niż wszystkie mrowiska!

Uwaga ta ujęła Jona równie mocno, jak go zbulwersowała. W tym, co powiedział Tyler, było coś niedorzecznego, a jednocześnie dziwnie fascynującego.

– Z takimi cyckami musi mieć ogień w tyłku! – rzucił Roger.

Jon usłyszał już za wiele. Tym razem zebrał się na odwagę i odepchnął ramię Tylera, żeby utorować sobie drogę.

– Chwileczkę! – warknął wysoki blondyn, łapiąc go za kark. – Nie chcesz się podzielić ciotką, więc będziesz musiał przeprosić! Rob, trzymaj mi tego zdechlaka.

Wysoki chudzielec chwycił Jona za ramię i kopnął go w wewnętrzną stronę kolana, zmuszając do osunięcia się na ziemię. Tyler rozpiął sprzączkę paska i spodnie.

– Myślisz, że możesz mi go possać?

Jon odwrócił głowę. Rob i Roger, również zaskoczeni, zeszywnieli.

– Tyler, co ty robisz? – spytał pierwszy.

– Zamknij się i przytrzymaj go. No więc, debilu? Odpowiedz mi? Myślisz, że mógłbyś go wziąć do gęby równie dobrze jak twoja ciotka?

Tym razem wtrącił się Roger.

– Nie wygłupiaj się, Tyler, mógłby ci go odgryźć.

Ale brutal wyciągnął blady członek ze slipów i podsunął Jonowi pod nos. Ten ostatni wygiął się, usiłując się oddalić jak najbardziej, co wywołało wesołość Tylera.

Ciepły i cuchnący strumień zaczął spływać na Jona. Rob puścił go



gwałtownie i chłopak zrozumiał, że Tyler właśnie na niego sika, śmiejąc się głośno. Jon przetoczył się na bok, żeby uniknąć żółtego moczu i wpadł na ciernistą gęstwinię – ta rozdarła mu koszulę na ramionach. Tyler stłumił śmiech, schował z powrotem przyrodzenie, po czym ruszył w stronę polany.

– Dupek, niczym się nie chce dzielić! Ani ciotką, ani gębą, ani zabawami! Masz za karę!

Kiedy wymierzył gwałtownego kopniaka w mrowisko, rozpadło się na pół, później w następne i jeszcze jedno, zdeptał pierwsze i poszedł zrobić to samo z dwoma pozostałymi. Pył unoszący się z ruin wirował wokół niego, tymczasem koledzy przyglądali się wszystkiemu sceptycznie.

W żołądku Jona powstała kula. Czuł się zbrukany, upokorzony, ponizony do głębi ludzkiej natury. Ale co ciekawe, najbardziej bolał go widok niszczenia *jego* mrowisk przez kogoś innego, czegoś, co stanowiło dla niego całą przyjemność tego lata.

Tyler radośnie wyżywał się na kopcach, sypiąc ziemią w twarz Jona. Brukając jego miłość własną. Ale przede wszystkim niszcząc zbiornik ciśnienia.

Wewnętrzna tama Jona właśnie zaczynała puszczać.

## 5.

Koło chromatyczne przesunęło się, wypełniając horyzont ciemnym skrzydłem z motywem gwiazd. Tego wieczoru Jon nie zdąży do domu na kolację, ale nie dbał o to. Ingmar zbeszta go za to porządnie, być może nawet zdzieli go kilkakrotnie pasem, bo zmuszanie rodziny do czekania na niego z posiłkiem było wyrazem braku szacunku, ale Jon był na to przygotowany. Miał wycucie priorytetów, od zawsze, od dziecka, i kiedy coś wydawało mu się ważne, wszystko inne przestawało istnieć, skupiał umysł na tym, co się liczyło, i potrafił odciąć się od całej reszty, nawet jeśli ta reszta wiązała się z porządną karą.

Jon siedział na małym białym kamieniu, w cieniu wawrzynowego żywopłotu, z którego zerwał garść liści, żeby zmiażdżyć je między palcami. Czekał, wdychając ich zniechęcający komary zapach. Miał pewność, że nie czeka na próżno, znał okolicę lepiej niż ktokolwiek inny, wiedział, któredy przejść, każdy skrót należał do niego. Prześlizgnął się szybko przez opuszczony teren tartaku, skierował wzdłuż torów kolei towarowej, które zmuszały do pokonania mostu nad rzeką, jak lina linoskoczka bez poręczy, co groziło unieruchomieniem nad otchłanią w chwili, gdyby z przodu lub z tyłu wyłonił się pociąg. Większość dzieciaków z Carson Mills nie zapuszczała się tam, zniechęcona ostrymi niczym otwarta paszcza rekina skałami w dole, na poziomie strumienia Slate Creek. Ale Jon nie należał do większości dzieciaków. Przekroczył rzekę, aby uniknąć długiego obejścia od zachodu, i dotarł na stanowisko obserwacyjne, zanim ktokolwiek zdołał go dogonić. Wraz z nocą ogarniającą coraz bardziej niebo i księżycem, który objął się gdzieś pod ziemskim dywanem, Jon nie widział już zbyt wiele, szczególnie że gruba warstwa chmur przysłoniła wszystko głęboką czernią. Ale doskonale słyszał skrzypienie kroków i tarcie materiału spodni zbliżającej się postaci. Pochylił się ostrożnie, żeby nie dać się zobaczyć mimo otaczającego go półmroku, i rozpoznał sylwetkę Tylera wracającego do gospodarstwa rodziców.

Blondyn minął go, niczego nie zauważywszy, tymczasem Jon, skradając się, wyszedł z ukrycia. Co ciekawe, jego dłonie nie były

wilgotne, serce nie łomotało, czuł tylko odległe podniecenie, które pozwalało mu zachować zimną krew. I kiedy Jon zachodził Tylera od tyłu – w ciemnościach, po cichu – zaczął się zastanawiać, czy to właśnie czują wilki tropiące zwierzynę, sunące jej śladem, kiedy wyostają wzrok, a ich spojrzenie skupia się powoli na celu. Jon miał wrażenie, że tylko Tyler miał kolor, a wszystko inne było czarno-białe. Już niemal znalazł się na jego wysokości. Teraz serce nieco mu przyspieszyło, w brzuchu motyle rozwinęły skrzydła. Palce zbieleły w stawach, kiedy zacisnął pięść na żelaznym pręcie, który podniósł z ziemi w opuszczonym tartaku kilka godzin wcześniej. Rozłożył ręce, żeby wziąć zamach.

I Jon uderzył. Wycelowawszy w tył kolan. Uderzył ze wszystkich sił. Frustracja, rozpacz i upokorzenie, jakie odczuwał, kiedy Tyler niszczył mrowiska, uwolniły się nagle w chwili, gdy pręt natrafił na ciało i powalił nastolatka na ziemię, z nosem w trawie. Tyler wydał z siebie swego rodzaju czknięcie, bardziej z zaskoczenia niż z bólu, i w panice zaczął się odwracać, a wtedy kij zmiażdżył mu prawą rękę, zahaczywszy o kość policzkową, która pękła pod wpływem ciosu. Tym razem Tyler wrzasnął, zakwiczał jak świnia, zaczął kopać nogami w powietrzu, żeby odepchnąć napastnika. Niczego jednak nie widział, a Jon zdążył już zmienić pozycję i celował bronią w boki Tylera. Kilka żeber pękło. Druga dłoń przyjęła kolejny cios, palce wykrzywiły się boleśnie, niczym roztrzaskane gałązki konaru. Podeszwa buta Jona opadła na mięsiste wargi Tylera, by zgnieść je jak przejrzałą mandarynkę. Chłopiec nie przestawał, uderzał wciąż i wciąż, dopóki nie usłyszał zgrzytu kawałków zębów w ustach leżącego na ziemi nastolatka i nie stwierdził, że Tyler jęczy zbyt głośno, żeby móc się bronić, i że wije się z bólu. Wtedy usiadł okrakiem na jego klatce piersiowej i spuścił na jego twarz kłykami grad ciosów. Przenikliwe spojrzenie drapieżcy ulotniło się, Jon niewiele widział, wszystko było zamazane w wyniku podniecenia i szału. Dyszał, strużka potu spływająca wzdłuż kręgosłupa sprawiała, że jego ubranie namakało. Jon chciał zmienić rysy twarzy Tylera. Sprawić, by stały się nierozpoznawalne. Zrobić z nich ohydny miazgę, na którą nikt nigdy nie ośmielił się spojrzeć. Nie myślał już o niczym innym. Przepęniała go wściekłość. Zalewały bulgoczące fale ciśnienia.

Tymczasem Tyler puchł. Jego oczy znikwały pod zdeformowanymi łukami brwiowymi, nos obrzmiewał, kości policzkowe pęczniały, wargi rozrastały się. Krwawa miazga spływała mu aż do uszu. Wszystko to działo się z jego winy. Ponoślił pełną odpowiedzialność za to, że jego tożsamość właśnie się zamazywała. Nie powinien był tego dnia przychodzić na polanę. Jon o nic go nie prosił. Wcale nie chciał robić mu krzywdy. A przecież Jon mógł machnąć ręką, był gotów znieść sarkazm i strumienie moczu, nie należał do odważnych ani kłótliwych. Miał porowatą skórę, potrafił przyjmować ciosy, chylić kark i czekać, aż burza minie i pozostawi po sobie blizny. „Co cię nie zabije, to cię wzmocni”, powtarzała nieustannie Hanna i Jonowi podobała się ta myśl.

Ale zniszczenie mrowisk oznaczało pozbawienie Jona możliwości dania upustu ciśnieniu. A ciśnienie musi znaleźć ujście. Mrowiska były zbyt poważnym nadużyciem.

Jon oddychał chrapliwie, pojękując od czasu do czasu z rozkoszy. Dał z siebie tyle, że kręciło mu się w głowie, nie zdawał sobie nawet sprawy, że za każdym razem, kiedy nieco bardziej okaleczał Tylera, jego własne ciało reagowało. W brzuchu wirowały mu setki motyli, mile drażniąc go i wywołując cudowną wewnętrzną pieśczętę, co wkrótce wyzwoliło w nim falę letniej piany.

Kiedy się podniósł, głowa Tylera przypominała arbuza zrzucony ze szczytu dzwonnicy na chodnik. Tyler oddychał jeszcze, pełnym skargi świstem, a powyginane palce próbowały się poruszać, ale to było wszystko.

Jon przyglądał mu się, ze śliną spływającą po podbródku. Gorączka podniecenia podszyta diabelską wściekłością wznieciła błysk w jego oczach. Piekły go pięści, a każdy mięsień swojego ciała miał tak napięty, że odnosił wrażenie, jakby przez cały dzień biegł bez przerwy. Ledwo trzymał się na chwiejnych nogach.

Nie miał pojęcia, czy Tyler przeżyje, i było mu wszystko jedno.

Liczyło się tylko szalone, powoli zanikające bicie motyli skrzydeł. Burza minęła, pozostawiając za sobą małą, wyczerpaną, lecz naelektryzowaną istotę.

Nazajutrz rano szeryf opuścił samochodem posiadłość Petersenów po godzinnej rozmowie. Nie przyjechał żaden z jego zastępców, pojawił

się on we własnej osobie. Świadczyło to o powadze sytuacji, gdyż od czasu „incydentu” między Larsem i Hodgsonem, mimo licznych okazji, które mogłyby go do tego skłonić, nigdy nie bywał u Petersenów. Ingmar często wszczynał kłótnie podczas zakrapianych wieczorów w mieście lub też z powodu swojej skłonności do prowokowania konfliktów religijnych między sąsiadami.

Ingmar śledził przez okno starego czarno-białego chevroleta znikającego za szeregiem dębów. Znajdował się tak blisko szyby, że jego oddech pokrywał krajobraz przeźroczystą warstwą pary. Mężczyzna o zapadniętych policzkach oddychał powoli. Rakel, jego najstarsza córka, weszła do pomieszczenia, w którym unosił się jeszcze zapach smażonych na śniadanie jajek na bekonie. Usłyszała tylko część rozmowy, samą końcówkę, i nie bardzo rozumiała, o co chodzi, jedynie to, że Jon czemuś zawinił; jednocześnie wiedziała, że sprawa jest poważna, i spodziewała się zastać ojca ogarniętego lodowatą wściekłością, z gatunku tych najgorszych. Zamiast tego stał wsparty o filar, zadziwiająco spokojny.

– Czego chciał?

Westchnienie ojca przysłoniło ogród za szybą delikatną mgiełką.

– Powiedzieć mi, że Jon posunął się za daleko.

– Co zrobił?

– Pobił się z młodym Clawsonem. Wysłał go do szpitala.

– Tego brutala Tylera? Przecież Jon jest od niego trzy razy mniejszy! Jak mu się to udało?

– Chłopak został oszpecony, ma miazgę z kości. Dojście do siebie zajmie mu wiele tygodni. Szeryf skonfiskował Edowi strzelbę, boi się, że ten przyjdzie tutaj i użyje jej przeciw nam.

Rakel uniosła ręce do ust.

– Aż tak? Ale co go napadło? Czy szeryf chce zamknąć naszego Jona?

– Nie. Ma co innego do roboty i przemówił Clawsonowi do rozsądku. Nie wniosą skargi, jeśli pokryjemy wszystkie koszty. Leczenie będzie kosztowało fortunę, a oni nie mają pieniędzy.

– Co zrobimy?

– Zapłacimy.

– Ale...

– To już postanowione – uciał Ingmar, nie ruszając się ze swojego punktu obserwacyjnego. – Nie dyskutuj.

Rakel nie mogła uwierzyć. Jakim sposobem ich wątpy Jon zdołał doprowadzić Tylera do takiego stanu? I co wywołało w nim tę lawinę nienawiści? Usiadła na taborecie i oparła się o stary opalany drewnem piec w salonie. W głowie tłoczyły jej się różne pytania. Jak się czuje Jon? Co powiedzą ludzie z miasteczka? Czym zapłacą? Ale najbardziej dziwił ją pozorny spokój ojca. To nie wróżyło niczego dobrego. Nie ma większej furii niż ta, której nic nie zapowiada – sprawdzało się to zwłaszcza w przypadku Ingmara Petersena.

– Zanim ukarzesz Jona, musisz go spytać, dlaczego to zrobił. Być może miał dobry powód albo...

– Rakel, Jon nie ograniczył się do sprania po gębie drugiego nastolatka, on mu kompletnie zdeformował twarz. Chłopak będzie prawdopodobnie oszepecony do końca życia, nie mówiąc już o reszcie ciała.

Rakel zanurzyła dłoń we włosach już poprzetykanych siwizną mimo wczesnej trzydziestki i owinęła kilka kosmyków wokół palca, co robiła zawsze, kiedy szczególnie się denerwowała. Nie rozumiała opanowania ojca, to było do niego niepodobne i zamiast dodawać otuchy, przerażało ją. Obawiała się najgorszego.

– Tato, powinieneś trochę odczekać, zanim pójdziesz do Jona, przemyśleć to wszystko – nalegała.

– Nie martw się, nie zabiję go.

Istotnie, mówił nie zaciskając szczęki, co miał w zwyczaju, kiedy starał się nad sobą zapanować. Przeciwnie, wydawał się niemal spokojny.

– Nie jesteś wściekły? – spytała szeptem.

– Nie.

Tym razem Rakel wydało się, że śni, musiała się nachylić, żeby mieć pewność, że dobrze zrozumiała.

Ingmar zacisnął wargi, a jego spojrzenie powędrowało w stronę brudnej i nierównej podłogi salonu.

– Uważasz, że jestem wobec niego zbyt surowy? Powiedz szczerze.

Rakel przestała owijać włosy wokół palca i wyprostowała się, zaciekawiona i nieco zakłopotana.

– No cóż... nie, chyba nie. Nie bardziej niż byłeś wobec nas. A Jon jest czasami *trudny*. Twoje kary nigdy nie były bezpodstawne.

Gospodarz skinął głową, ze wzrokiem utkwionym w pustce.

– Od małego jest trudny – rzucił. – Nie niszczy go moja surowość, nie, chyba nie. Ma w sobie pierwiastek zgnilizny. Czuję to. Wiem to.

– Jon jest inny, ale mówiąc, że jest zdeprawowany, przesadzasz.

– To, co zrobił wczoraj Tylerowi Clawsonowi, będzie nas drogo kosztowało, ale może dobrze się stało. Kiedy w chłopcu w wieku Jona jest tyle wściekłości, tyle złych rzeczy, czasami lepiej, żeby mogły się wydostać, w taki czy inny sposób. W przeciwnym razie Bóg jeden wie, co w nim z czasem wykiełkuje. Musi się od tego uwolnić. Jest w nim wiele rzeczy, których nie rozumiem, wątpię też, żeby on sam mógł je kiedykolwiek naprawdę zrozumieć, ale wiem, że musi umieć je wyrażać. Na swój sposób.

– Bijąc się? Roztrzaskując kości trzy lata starszemu od siebie chłopcu?

Ingmar wzruszył ramionami.

– Zło potrzebuje żywych naczyń, żeby przenosić się z miejsca na miejsce – powiedział – i wydaje mi się, że Jon jest jednym z nich. Został wybrany. Modlę się, żeby zły duch opuścił naszego chłopca wraz z przemocą, która wylała się z jego duszy.

Chłopiec stojący za drzwiami usłyszał wszystko. Ale nie dbał o to. Interesowało go tylko to, co działo się na tyłach gospodarstwa. Od poprzedniego dnia w głowie kołatało mu się tylko jedno pytanie, którego nie umiał się pozbyć. Z początku wybrzmiewało intonacją Tylera, ale odkąd Jon się obudził, w głowie dźwięczał mu jego własny głos.

Jon obserwował Hannę zbierającą na kolanach warzywa w ogródku. I zastanawiał się, czy to prawda, że jej cipka jest gorętsza niż piekło.

## 6.

Uroda nie stanowiła wartościowego kryterium u Petersenów. Co gorsza, była nieco podejrzana, uważana za przyczynę konfliktów, kłopotów, i nikt nie próbował jej poprawiać w jakikolwiek sposób; upiększanie się było stratą czasu, pieniędzy i źródłem próżności, która nie mogła spodobać się Panu. Hanna była wyjątkiem.

Młoda kobieta ledwo pamiętała matkę, zachowała jej mgliste wspomnienie, na które składała się postawa i zwiewna, odległa obecność. Nie miała pojęcia, czy była piękna, ale podejrzewała to po sposobie, w jaki ojciec opowiadał o niej czasami, rozmarzony. Widziała też, jak jej starsza o trzynaście lat siostra Rakel przejmowała rolę utraconej pani domu, powoli się w niej zatracając. Brzemie obowiązków tak ją przytłoczyło, że przestała rozpoznawać swoje odbicie w pocętkowanym lustrze w łazience. Praca zostawiła ślady na jej i tak już niezbyt pociągającym ciele, miała prawdziwe dłonie gospodyni, wyżłobione, zaczerwienione, zagrożone artrozą, zgarbione plecy, wątłe włosy i twarz pokrytą zmarszczkami powstałymi na skutek wysiłku. Hanna nie chciała stać się podobna do siostry, ale nikomu nie mogła się z tego zwierzyć, to by nie było chrześcijańskie; Rakel, która wszystko poświęciła bliskim, nie powinna budzić litości, lecz przeciwnie, powinna wzbudzać podziw. A jednak, wobec zbliżających się jej dwudziestych pierwszych urodzin, Hanna pragnęła czegoś zupełnie innego. Urodziła się piękna i do tej pory gospodarskie życie za bardzo jej nie zniszczyło. Zaczęła to pojmować z początku w szkole, później w mieście, dzięki spojrzeniom mężczyzn. Podobała się i ten fakt nie pozostawiał jej obojętną. Rakel była już starą panną, ale ona, młodsza od niej, nie miała zamiaru spędzić reszty swoich dni pod jednym dachem z ojcem. Szczególnie teraz, kiedy Jon dorósł, miał piętnaście lat, i każdy znalazł swoje miejsce. Dlatego zawsze, gdy trzeba było zrobić zakupy w mieście, Hanna zgłaszała się na ochotnika, kiedy trzeba było wypełnić dokumenty – brała to na siebie, ona także sprzedawała nadmiar warzyw z ogródka. Każdy pretekst był dobry, żeby pokazać się światu, żeby wyjść, żeby zobaczyć i być widzianą.



Od niedawna do długiej listy zajęć dodała jeszcze jedno: pracę. Fred Tanner, szef małej restauracji na tyłach kina, zaoferował jej stanowisko kelnerki. Fred lubił otaczać się ładnymi dziewczynami, a Hanna, ze swoim pieprzykiem nad wargą, dużymi orzechowymi oczyma o nieskończone długich rzęsach i ciemnymi wijącymi się włosami, podniecała niektórych mężczyzn, i to nie tylko tych najmłodszych. Na początku Ingmar skrytykował samą myśl, że miałyby służyć w *diner*, na dodatek wieczorami, co nie godziło się poważnej luterance i szacownej Petersenównie. Ale pensja była dobra, a zyski z gospodarstwa zbyt niepewne, by mógł długo się opierać. Wobec regularnych wpływów pieniędzy odpuścił, spotęgował tylko częstotliwość surowych kazań, jakie prawił córce.

Przez trzy miesiące pracowała w restauracji przez trzy dni w tygodniu, po czym poproszono ją o przychodzenie również w sobotnie wieczory. W każdym razie oficjalnie. W rzeczywistości Hanna poznała chłopaka, Thomasa Dickenera, i zakochała się w nim. Klientela bardzo ją ceniła i okazywała jej hojność, z napiwków zebranych w ciągu tygodnia Hanna oszczędzała więc niewielką dodatkową sumę, oprócz tej, którą przekazywała ojcu. Szybko zauważyła, że wystarczyło założyć bluzkę z dekoltem, żeby zarobić nieco więcej i móc wyjść w sobotni wieczór z Thomasem, nawet jeśli często to on za wszystko płacił. Mogła za to przynajmniej kupić sobie w tajemnicy nowe ubrania, które nie spodobałyby się ani trochę Ingmarowi Petersenowi. Ukrywała je w szatni *diner*, razem ze swoimi obdartymi fartuchami. Hanna nigdy z taką radością nie szła do pracy jak w sobotnie popołudnia. Nie obawiała się, że jej kłamstwo wyjdzie na jaw, gdyż nikt z jej klanu nie bywał wieczorami w mieście. Nawet Ingmar, który dawniej lubił wypić kilka głębszych przy bilardzie, od jakiegoś czasu nie opuszczał domu. W miarę jak się starzał, coraz bardziej zamykał się w sobie, co było dobrą rzeczą – myślała ze wstydem Hanna. Bo gdyby zaskoczył ją w takim stroju, zamknąłby ją w szafie w pokoju na resztę życia.

Tego dnia Hanna weszła do restauracji tylnymi drzwiami i zajrzała do swojej szafki w szatni. Wypełniała ją kolorowa flanela, muślin, jedwab i len. Piętrzyło się kilka par butów na wysokim obcasie i Hanna musiała przytrzymać je stopą, żeby nie wysypały się na podłogę, kiedy

otwierała metalowe drzwiczki. Niezdecydowana, wybrała wreszcie granatową sukienkę w czerwone kwiaty, odpowiednią na łagodny majowy wieczór. Uwielbiała swoją sylwetkę rysującą się w tym kroju, wiedziała, że Thomas nie może wtedy przestać patrzeć łakomie na nią i na jej wyeksponowane piersi.

Talita, duża blond kelnerka, którą Hanna uważała za swoją przyjaciółkę, wyszła z toalety, poprawiając fartuch.

– Hanna i jej magiczna garderoba! – zażartowała, przeglądając się w lustrze nad umywalką w szatni. Spotykasz się z nim dzisiaj?

– Zabiera mnie do kina.

– Ach, kino... Cudowny przedsięwzięcie spółkowania!

– Proszę? – spytała Hanna, udając zszokowaną.

– Och, nie ze mną takie numery, wiadomo, co się dzieje na tej wielkiej ciemnej sali. Ręka tu, ręka tam... A ty w sukience! Masz rację, będzie praktyczniej.

– Taly, Thomas to nie ten typ chłopaka.

– On *jest* tym typem chłopaka. Albo wcale nie jest chłopakiem. Nie robiliście tego jeszcze?

– Co, jak to? Chcesz powiedzieć...

– Nie przeleciał cię?

Tym razem Hanna poczuła, że policzki zalewa jej rumieniec.

– Nie.

– To będzie twój pierwszy raz?

– Tak – przyznała ze wstydem młoda kobieta.

– Nie poprzestawaj na pierwszych razach. Zobaczysz, seks jest jak dobry papieros, z początku nieprzyjemny, ale potem nie możesz się bez niego obejść.

Hanna wahała się, czy opowiedzieć jej o swoich uczuciach względem Thomasa. O swoim zażenowaniu. Miała tę romantyczną naturę, niemal śmieszna w jej wieku, zdawała sobie z tego sprawę, ale pragnęła, żeby ten chłopak okazał się tym właściwym. Nie chciała oddawać się w głupi sposób, musiała mieć pewność. Pilnowała swojego dziewictwa jak cennej szkatułki i nie zamierzała zniszczyć wszystkiego przy pierwszym uniesieniu. Thomas nie był po prostu przejściową miłością, czuła to. Być może był tym właściwym. *Na pewno był.*

Talita, która poprawiała fryzurę, dostrzegła zmartwioną minę koleżanki w odbiciu lustra i przerwała swoją czynność, po czym odwróciła się.

– Kochasz go? – spytała.

– Tak.

– Tak jak mlecznego shake’a ze śmietaną od Freda?

– Taly!

– Aż tak?

– Tego nie można porównywać!

– Szalejesz za nim. Piłabyś go, leżąc na łóżku pełnym karaluchów, gdyby ktoś ci go oferował.

– Lubię go o wiele bardziej!

– Więc idź dalej. Podaruj mu swoją pierwszą krew.

Hanna się uśmiechnęła.

– Tak to rozumiałaś? Porównywałaś go z ulubionym daniem?

– Nie, ja czekałam na faceta, którego mój ojciec będzie najbardziej nienawidził, i temu wszystko podarowałam.

– Stevenowi?

Talita uniosła brwi i pokręciła głową, żeby dać przyjaciółce do zrozumienia, jak bardzo się myli.

– O nie, to było na długo przed nim. Miał na imię Spider.

Hanna parsknęła śmiechem.

– To nie jest imię!

– Nie, to nie jest imię i dlatego go nie poślubiłam. To ksywa, chyba wzięła się od jego fury. W zasadzie powinnam pamiętać, zrobiliśmy to przecież w jego aucie.

– W samochodzie? Nie brakowało temu trochę romantyzmu?

– Dałabyś radę to zrobić, mając obok swojego starego?

Hanna wzruszyła ramionami.

– Nie, oczywiście, że nie.

– Lepsze to niż parszywy pokój w przydrożnym motelu, uwierz mi. Krótka mówiąc, Spider miał piękny samochód, ale tylko z nim nie miał problemów. Wielkie auto, małe libido. Mam nadzieję, że twój gach lepiej się sprawdzi. Czym jeździ?

– Starym poobijanym chevroletem!

– A! Więc będziesz miała używanie, moja mała. Nienawidzę cię.

Po czym Talita puściła do niej oko i ruszyła w stronę sali. Przed wyjściem odwróciła się jeszcze do dziewczyny.

– Przedstawisz go rodzinie?

– Nie.

– Powinnaś, jeśli naprawdę go kochasz. Oni w końcu się o tym dowiedzą, a historia miłosna, która zaczyna się wśród rodzinnej nienawiści, nigdy nie kończy się dobrze, uwierz mi, mam doświadczenie.

Hanna spojrzała za oddalającą się przyjaciółką i westchnęła. W tym cały problem. Ingmar nigdy nie zaakceptowałby Thomasa. Sama myśl, że najmłodsza córka mogłaby pewnego dnia opuścić gospodarstwo dla innego mężczyzny, byłaby trudna do zniesienia, a po tym, co się przytrafiło jego jedynemu synowi Larsowi, nigdy nie zgodziłby się, żeby poślubiła Żyda. Jedynie dobry luteranin byłby godzien jego małej Hanny. Kłótnie między luteranami i metodystami wybuchały co chwila, ale przynajmniej dotyczyły sporów między katolikami. Wprowadzenie do rodziny Żyda stałoby się równoznaczne z wypowiedzeniem wojny, ni mniej, ni więcej. Mieszanie krwi, dlaczego nie, mieszanie klas społecznych w ostateczności, ale nie religii. Istniała tylko jedna droga ku Bogu.

Thomas czekał na nią przed kinem. Miał na sobie kurtkę z czarnej tkaniny z rękawami z białej skóry, a włosy lśniły mu od pomady. Kiedy dostrzegł Hannę przechodzącą przez ulicę w jego kierunku, jego twarz się rozjaśniła: źrenice się rozszerzyły, policzki oblały rumieńcem, rozświetlając go od środka, a uśmiech wyrażał całą radość świata. Podarował jej krótko ściętą różę przebitą szpilką, żeby mogła ją sobie przypiąć do ramiączka sukienki. Miał nieco niezdarne gesty, śmiał się dość sztucznie, ale potrafił o nią zadbać: płacił za jej bilet, przytrzymał drzwi, żeby weszła jako pierwsza, kupował popcorn i pamiętał, by nigdy nie usiąść przed nią, nawet na rozkładanym krześle w kinie. Podczas reklam rozmawiali trochę o niczym, muskając sobie nawzajem to ramię, to kolano, a kiedy zaczął się film, Thomas ośmielił się położyć swoją dłoń na ręce Hanny, która od razu splótła ich palce razem.

Kiedy wyszli z kina, Hanna wciąż była pod wrażeniem Nowego Jorku, który zobaczyła na filmie. Jego niekończące się architektoniczne perspektywy, jego dynamizm, nowoczesność, tłum zdobywców: Nowy Jork migotał i mrowił się możliwościami. Żyjąc w Carson Mills, trafiało się na jedno skrzyżowanie raz na dwadzieścia lat, ale przyszłość w Nowym Jorku przypominała sieć rozwidleń oferujących tysiące możliwości w każdym momencie egzystencji.

– Chcę kiedyś pojechać do Nowego Jorku – powiedziała przekonana, że jej życie jest właśnie tam.

Thomas nie miał nic przeciwko temu, w dużym mieście nie brakowało pracy, a jeśli przeprowadzka miałaby ją uszczęśliwić, on chętnie opłaciłby podróż autobusem albo pociągiem, żeby tam się udać. Powiedział to spontanicznie, bez namysłu, a Hanna, słysząc, jak rozważa wspólne życie z nią, zrozumiała, że jest tym właściwym.

Zamówili truskawkowego mlecznego shake'a ze śmietaną u Freda i wypili go razem (na co Hanna nigdy by się nie zgodziła, gdyby chodziło o kogoś innego), przeszli wzdłuż parku Niepodległości, po czym wsiedli do samochodu Thomasa. Zazwyczaj jechali aż do rozstajów, skąd odchodziła droga prowadząca na farmę Petersenów, żeby przypadkiem nie zauważył ich stary Ingmar, po czym Thomas parkował pod pierwszym dużym dębem i wyłączał reflektory. Radio samochodowe grało kawałek The Monotones „Book of Love” i Hanna odebrała to jako znak. Kiedy Thomas nachylił się, żeby ją pocałować, przesunęła się na siedzeniu, żeby się do niego przytulić. Nieśmiały pocałunek przerodził się w poryw namiętności. Język Thomasa miał smak truskawkowego milk-shake'a ze śmietaną i to sprawiło, że Hanna zakochała się jeszcze mocniej. Kiedy chłopak ośmielił się położyć wilgotną dłoń na jej piersiach, jej ramiona i uda pokryła gęsia skórka, słodkie ciepło zaczęło jej spływać między nogami, a promienista kula zatańczyła w podbrzuszu. Z bijącym sercem Hanna zapragnęła przyłgnąć do niego całą sobą, tak, by żadna cząsteczka jego osoby jej nie umknęła, żeby złączyli się w jedno, na poziomie skóry, ciała, organów wewnętrznych, aż po duszę. Chciała spijać jego myśli, wdychać to samo powietrze, dzielić tę samą krew, tworzyć z nim jedność. Dłoń Thomasa wsunęła się pod jej sukienkę, do biustonosza, a ciepło jego palców

pieszczących twarde sutki wywołało u Hanny jeszcze silniejszą falę pożądania. Ich języki zachowywały się jak oceaniczna fala przybojowa, niestrudzone wiły się, bijąc pianę w swym miłosnym zapale. Dłoń Thomasa powoli wessała seksualną siłą grawitacji i kiedy chłopak musnął koronkowy brzeg fig Hanny, cały aż zadrżał, odkrywszy, że może przekroczyć rubikon, nie będąc odepchniętym. W końcu się tam znaleźli. Na progu świata. Na matrycy wszystkich ludzkich historii. Osiągnęli kwintesencję motywacji, nadziei, podbojów i upadków. Byli o krok od napisania własnej historii o geście, o pożądaniu, o harmonii, która wyryje na zawsze tę chwilę w marmurze ich życia, użyje aktu cielesnego jako znacznika czasowego, by skryzalizować uczucie, zapach, wrażenie, twarz, westchnienia oraz, ostatecznie, zwykły impuls. To było przejście w wiek dorosły. Premiera długiej serii inicjacyjnej, którą zakończy prawdopodobnie dopiero śmierć.

A potem wszystko runęło. Thomas wydał się niezdecydowany, pokonany i zakłopotany, źrenice rozszerzyły mu się ze strachu i oczarowania jednocześnie, skulił się w sobie. Hanna zauważyła tę zmianę i czar prysł, euforia opadła. Oswobodziła się z jego objęć. Wymienili kilka słów zakłopotania. Thomas był czerwony na twarzy i dziewczyna uświadomiła sobie, że to jego ciało go zawiodło. W miarę jak w samochodzie opadało napięcie seksualne, zaczynała pojmować, że to nic strasznego, że pokonali pewien etap i że dobrze się stało. Nawet w tej chwili niepewności kochała go. Chciała od niego wszystkiego. Jego dumy i wstydu. Pocałowała go z czułością w policzek i kazała obiecać, że wpadnie ją odwiedzić w *diner* we wtorkowy wieczór.

Już za nim tęskniła, patrząc za oddalającymi się światłami samochodu. Sowa uczyła swoje młode pohukiwać gdzieś w niewidzialnej koronie dębów i Hannie wydało się to wzruszające. Była szczęśliwa.

## 7.

Jon był zajęty produkowaniem karmelu z owadów. Było to jedno z jego głównych zajęć, kiedy miał problem ze snem. Opuszczał za gorące łóżko, ubierał się szybko, zazwyczaj w jeansowe ogrodniczki, i wychodził oknem z pokoju, żeby pospacerować po terenie gospodarstwa, pod zaniepokojonym okiem księżycy. Jednym z jego najważniejszych zadań było zapalanie świeczki i czekanie, aż ćmy zlecą się do światła, łapanie ich i przysuwanie do płomienia. Stworzenia wydzielaly zapach smakowitego karmelu, wijac się w konwulsjach w miarę spalania, a Jon uwielbiał tę chwilę kulinarnego okrucieństwa. Na tym polega cała ironia świata, myślał: podążając ślepo za światłem, kończymy w najgorszym mroku.

To i zraszanie kosmosu – jego inny wynalazek. Kiedy Jon skończył piętnaście lat, urosł trzydzieści centymetrów i nadal był równie chudy, bez grama tłuszczu pod skórą. Jego żylaste ciało nadawało mu obecnie wygląd młodego dorosłego. Wszystko się w nim budziło, co gorsza, rozkwit przybierał formę obsesji. Właśnie z tego powodu często nie mógł spać, szczególnie podczas ciepłych nocy. Pragnął chodzić, oddychać świeżym powietrzem, a kiedy nie mógł już wytrzymać, rozpinał sprzączki w ogrodniczkach i wyciągał swój „interes”, by penetrować gorączkowo świat. Obserwował gwiazdy, wdychał pełną pierśią aromat lawendy i soków roślinnych, rozkoszował się brakiem jakichkolwiek granic, barier, nawet tych fizycznych. Kopulował z pustką, rozsiewał się w nieskończoności, zapładniając swoje najciemniejsze myśli. Zraszał kosmos, wyobrażając sobie, jak pieprzy dupę piekieł, tam, gdzie cipki płoną, emanując karmelowym zapachem, ociekając pożądaniem, wygwizdując jego imię. Ponieważ odkąd Tyler Clawson wbił mu tę myśl do głowy, Jon miał już tylko jeden punkt odniesienia: swoją ciotkę Hanne, którą oglądał codziennie, z ciężkimi, krągłymi piersiami, z cipką płonąca diabelskim żarem. Wieczorami nie mógł przestać śledzić z ukrycia jej kształtów, kiedy się rozbierała, pozostawiając drzwi do sypialni otwarte, szczególnie od kiedy sam zniszczył jeden z zawiasów.

Tego wieczoru szedł jakiś czas, żeby się zmęczyć, po czym zrozumiał, że to moment, kiedy zmęczenie przestawało mieć znaczenie, całkowicie przysłonięte przez popęd. Chciał upoić się rozkoszą. Niemal już rytuałem stało się zapalenie na początek świeczki i robienie karmelu z owadów, jakie znalazły się w jego zasięgu. Reszta nastąpi w swoim rytmie, gdy podniecenie sięgnie zenitu. Spalił już żywcem z dziesięć motyli, gąsienicę, skarabeusza, a nawet ważkę znaną na liściu, kiedy dostrzegł zbliżające się drogą reflektory. Z ostrożności zdmuchnął płomień i skulił się za krzakiem jeżyn, których nauczył się już nie jeść, gdyż wywoływały u niego piekielną biegunkę.

Dopiero po dłuższej chwili, kiedy auto zatrzymało się w odległości kilkudziesięciu metrów, Jon ośmielił się zbliżyć, rozumiając, że wyłączenie silnika oznaczało, iż kierowca nie ma zamiaru jechać aż do gospodarstwa. Stał, gdy znalazł odpowiedni punkt obserwacyjny za jednym z dębów. W poświacie roztaczanej przez lampkę oświetlającą wnętrze samochodu ukazało się oblicze Hanny. Całowała faceta, którego Jon nigdy wcześniej nie widział, a ze sposobu, w jaki tulili się do siebie, wywnioskował, że ciotka musiała być nim zauroczona. Jon zmarszczył brwi. Dostrzegał ich lśniące języki wyłaniające się pomiędzy wargi i wijące się wokół siebie, ślinę iskrzącą się niczym odłamki lustra odbijającego ich zaślepione pożądanie i taniec rąk żądnych zmysłowości, myszujących wśród ubrań w poszukiwaniu szczeliny, otworu. Chłopak trafił na jeden z nich i obrzydliwy palczasty pajak wślizgnął się w dekolt dziewczyny, by objąć ciepłą pierś swoją miękką dłonią.

Jon obserwował widowisko z otwartymi ustami, zafascynowany, nie mógł nawet mrugać, żeby nie stracić ani sekundy. Jego ciotka wyginała się, ocierała o kierowcę, odpowiadała na wezwanie żądy, przyciągała mężczyznę do siebie – niemal słyszał jej jęki. Tyler miał rację. *Cipka gorętsza niż piekło. Prawdziwa kurwa.*

Ciśnienie na wysokości krocza Jona stawało się nie do zniesienia, jak gdyby miał eksplodować. Wrzało w nim, stęchlizna podchodziła do brzucha, do głowy. Czerwona oślepiająca materia przysłaniała umysł aż po najdrobniejszą myśl, zniekształcała rozum, dławiała moralność, wywoływała pulsowanie w skroniach w fascynującym, obsesyjnym rytmie. Jego źrenice znieruchomiały, lśniły wśród nocy karminowym,



rozpustnym blaskiem, a szczęki poruszały się pod cienką skórą policzków. Jon oddychał głośno przez nos z dłońmi zaciśniętymi na wypukłości między udami.

Kiedy jego ciotka wyszła wreszcie z samochodu, Jon był zawiedziony, że nie udało mu się zobaczyć nic więcej; frustracja wywołała u niego zawroty głowy. Przestał myśleć, cały pochłonięty pożądaniem. Czekał na ciąg dalszy, tymczasem ciotka machała na pożegnanie odjeżdżającemu kierowcy. Kiedy się odwróciła, na jej twarzy widniał bezmyślny uśmiech.

Jon usiłował myśleć, ale nie potrafił, nie wiedział, co robić, oślepiiony czerwoną materią napływającą z wnętrza obolałego przyrodzenia. Kiedy Hanna ruszyła drogą w stronę gospodarstwa, przestał sobie zadawać jakiegokolwiek pytania i wychynął z kryjówki. Dziewczyna stłumiła krzyk i przyłgnęła do pnia drzewa, żeby nie upaść. Gdy rozpoznała Jona, nie wiedziała sama, czy czuje ulgę, czy przerażenie. Wymamrotała kilka słów, głównie po to, żeby się dowiedzieć, co tutaj robi, a może chcąc się upewnić, czy niczego nie widział, ale Jon pokręcił głową.

– Ingmar zamknie cię w twoim pokoju aż do trzydziestki – powiedział lodowatym tonem. – Nigdy więcej nie zobaczysz tego faceta, już nigdy nie pójdziesz do pracy.

W ciągu jednej chwili Hanna została wytrącona ze słodkiej miłosnej euforii i wpadła w gorzką rzeczywistość pełną podłych instynktów. Odrętwiała z szoku, pokręciła głową z przerażeniem, myśląc zapewne o swoich uczuciach względem Thomasa, o marzeniach dotyczących przyszłości, być może nawet o Nowym Jorku rozpadającym się pod wpływem gniewnej miny Ingmara Petersena.

– O niczym mu nie mów! – błagała. – Nie musisz! Niech to będzie naszą tajemnicą!

Usiłowała pochwycić spojrzenie Jona, błagać o litość, ale jego wzrok był wbity poniżej, w jej piersi.

– Twoje życie będzie zniszczone, Hanno, pożegnaj się z tym debilem, pożegnaj się z pracą w mieście wieczorami, pożegnaj się z restauracją i z rozpustą.

– Nie! Jon, błagam cię, nic nie mów!

– Akurat się powstrzymam! Dlaczego miałbym milczeć?

– No... dla mnie. Ze współczucia.

– Co na tym zyskam?

Hanna nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– No więc... moją wdzięczność...

– Co mi z niej? Nie, stracisz wszystko!

– Zapłacę ci! Dam ci pieniądze za milczenie!

– Nie potrzebuję ich.

Dziewczyna upadła na kolana przed bratankiem, ze łzami w oczach.

– Proszę cię! Nie mów mu! Zrobię, co zechcesz!

Twarz Jona się rozjaśniła, chłopak przyłożył palec wskazujący do ust. Z jego rozszarpanych źrenic biła determinacja, jakiej Hanna jeszcze nigdy nie widziała; pożałowała natychmiast, że domagała się jego współczucia. Następnie Jon obszedł ją i stanął z tyłu. Gwałtownym gestem popchnął ją i dziewczyna wylądowała na czworakach na trawie. Dłonie chłopca chwyciły za krawędź sukienki i łagodnie ją podniosły. Hanna sprzeciwiła się z oburzeniem i chciała się odwrócić, ale Jon kuksańcem w krzyż wprawił ją w przerażenie.

– Zamknij się teraz – rozkazał zimno – wtedy ja też będę milczał. Twoja przyszłość, Hanno, tu chodzi o całą twoją przyszłość.

Kiedy zaczął ją pieścić, broniła się jeszcze, krzycząc, płacząc, machając rękami niczym rozhisteryzowana kocica, ale Jon uspokoił ją kopniakiem wymierzonym w żebra, który aż zaparł jej dech. Oczy młodej kobiety poruszały się w ciemności, spanikowane, z niedowierzaniem, jak gdyby nie mogła pogodzić się z faktem, że świat potrafi być tak okrutny. Była oszołomiona, niezdolna do jakiegokolwiek reakcji, kompletnie sterroryzowana i zamroczona.

Jon popchnął ją w zarośla i podciągnął sukienkę, tym razem już całkiem obcesowo. W jego ruchach nie było nic prócz żądzy. I nieludzkiego chłodu.

Hanna krzyknęła cicho i Jon nie mógł przestać myśleć o tym, co ciągle mu powtarzała. *Co cię nie zabije, to cię wzmocni, więc zamknij się!* Bolało ją. Gdy członek Jona nabrzmiał jeszcze bardziej, chłopak poczuł się podobnie jak wtedy, kiedy niszczył mrowiska. To uczucie

władzy, pełnej kontroli. Dominował nad nią i czerpał z tego wyjątkową przyjemność. A kiedy zauważył, że nieco na niego krwawi, że jego członek ma moc przekłuwania, rozdzierania niczym niszczycielski miecz, eksplodował w piekielnej wilgotności, w „diabelskim tyłku” swojej ciotki, jak go nazywał. W ciągu jednej krótkiej chwili przelał całe ciśnienie swojej krótkiej egzystencji, usuwając kilkoma uderzeniami lędźwi całą zgromadzoną w nim frustrację, nienawiść i wściekłość. Cały mrok, jaki go przepełniał, został wessany przez zbiornik gówna, jakim była cipka Hanny.

Tego wieczoru Jon zrozumiał, do czego służą kobiety, pojął również, że sperma to substancja zła, wcielenie negatywnych męskich aspiracji.

Kiedy z niej wyszedł, dłuższą chwilę przyglądał się jej waginie. Mimo krwi wydała mu się piękna. Przypominała mu jakiś kwiat, chociaż nie wiedział za bardzo jaki. W końcu rzucił jej zerwane wcześniej majtki i poszedł oddać mocz na boku, podczas gdy ona ubierała się, łkając, zszokowana.

Jon miał wrażenie, że cały drży. To było cudowne. Był tylko olbrzymim porem skóry otwartym na świat, wolnym i obmytym z wszelkich grzechów, z całej swej złości. Serce biło mu szybko, ale umysł pracował na zwolnionych obrotach.

Wrócili do domu bez słowa. Hanna poszła się położyć, zaciskając ręce na brzuchu, a kiedy nazajutrz się zbudziła i poczuła pieczenie w kroczu, zrozumiała, że to wszystko nie było tylko koszmarnym snem. Otworzyła drzwi i zobaczyła na kłamce świeżo zerwany kwiat.

Czerwony mak.

## 8.

Ostatecznie pewnego październikowego poranka Hanna uciekła z walizką, nie pozostawiając bliskim żadnej wiadomości prócz bukietu zwiędłych maków. Zdołała przekonać Thomasa, żeby zabrał ją do Nowego Jorku, i tam właśnie ulubiona córka Ingmara świętowała swoje urodziny. Zadzwoiła trzy tygodnie później, żeby uspokoić ojca, powiedzieć mu, że mieszka w dzielnicy Queens i że kiedy wieje południowy wiatr, który oczyszcza horyzont, widzi ze swojego okna ocean. „Ocean to obraz wieczności”, powiedziała z uśmiechem. Ingmar słuchał, nie przerywając, wyznań na temat miłości, jaką żywiła do Thomasa, Żyda, którego zamierzała poślubić, jej przemożnej potrzeby wyjechania daleko od Carson Mills, stawienia czoła wielkiemu miastu, prawdziwej cytadeli cywilizacji, rozwinięcia skrzydeł i decyzji, że już nie wróci. Kiedy skończyła i czekała na jego reakcję, odłożył starannie słuchawkę, nie wypowiedziawszy ani słowa, po czym pochylił się i oderwał kabel od aparatu. Był to ostatni raz, kiedy stary człowiek słyszał głos swojej najmłodszej córki, podejrzewał jednak, że Rakel miewa od czasu do czasu od niej nowiny.

Pierwsze płatki śniegu spadły w święto zmarłych. Opadały z typową dla siebie gracją, powoli, mimo swojej grubości. Najwcześniejsze od razu wchłonęła ziemia i stworzyła legowisko dla tych, które spadną z nieba w ciągu najbliższych dni i przykryją całą dolinę szarawym całunem.

Tamtego poranka stary telefon z bakelitu Jarvisa Jeffersona dzwonił długo, rozbrzmiewając przenikliwym dźwiękiem w całym domu, aż wreszcie Emma, jego żona, która była właśnie w trakcie osłaniania róż jutową tkaniną, usłyszała dzwonek i odebrała. Zaczęła szukać Jarvisa i znalazła go w suterenie, zajętego szlifowaniem bujanego fotela.

- Ogłuchłeś czy co? – zawołała. – Telefon dzwonił bez przerwy!
- Wiedziałem, że w końcu podejdziesz, Rosie.

Jarvis jako jedyny używał jej drugiego imienia. Biorąc pod uwagę jej zamiłowanie do kwiatów, zawsze uważał, że pasuje ono do niej lepiej

niż Emma. Było bardziej szlachetne, krągłejsze.

– Przykrywałam akurat róże, a ty zmusiłeś mnie, żebym wróciła do środka i wszystko pobrudziła!

– Co roku to samo, czekasz do ostatniej chwili, żeby osłonić te przeklęte krzaki, nie mów mi, że to moja wina, jeśli nie znalazłaś czasu, żeby się nimi zająć przez całą jesień!

– Już ci mówiłam: jeśli owinę je za wcześnie, zgniją z gorąca. Dobrze, Doug czeka przy telefonie, odbierzesz czy nie?

Tym razem Jarvis wyprostował swój długi szkielet, wstając sprzed ulubionego fotela, i spojrzał na żonę.

– Douglas? Czegóż on może chcieć?

Douglas był jego pierwszym zastępcą, najbardziej kompetentnym, i w przeciwieństwie do Bennetta, który wymagał nadzoru, potrafił odnaleźć się w niemal każdej sytuacji. Skoro dzwonił w wolnym dniu, musiał się pojawić prawdziwy problem.

– Powiedział tylko, że chce z tobą rozmawiać. Mam go spławić?

– Nie, nie, odbiorę – odparł Jarvis, odkładając papier ścierny na stół warsztatowy.

Emma patrzyła, jak mąż mija ją zaniepokojony, zwróciła też uwagę na nachylenie jego głowy w stosunku do tułowia i stwierdziła, że bardzo się postarzał od czasu wyjazdu ich ostatniego syna do Denver, gdzie ten zamierzał założyć warsztat samochodowy. Jarvis przekroczył już pięćdziesiątkę, jego niegdyś czarne włosy siwiały teraz, podobnie jak krzaczaste wąsy, a trądzik różowaty ze skrzydełek nosa rozprzestrzenił się na policzki. Od blisko dwudziestu lat był szeryfem w Carson Mills i nie miało sensu doradzać mu, żeby sobie odpuścił i trochę odpoczął: nie traktował tej funkcji jako zawodu, lecz jako odpowiedzialność, misję. Znał Carson Mills i jego mieszkańców od urodzenia. Czuwanie nad ich spokojem było raczej nieuchronnym przeznaczeniem niż ludzkim wyborem.

Jarvis wspiął się po drewnianych stopniach wiodących z sutereny, stukając podeszwami kowbojskich butów. Emma ledwie zdążyła opróżnić do zlewu wypitą w połowie butelkę Lucky Lagera i zgasić światło, kiedy jej mąż już skończył rozmowę i wciągał tweedową marynarkę o przetartych rękawach.

– Wyjeżdżasz?  
– Chodzi o córkę Mackiech – odparł ponuro. – Roy mówi, że została zgwałcona.  
– O mój Boże.  
– Dołączę do Douga na miejscu. Dziewczynka nie pozwala, by zbadał ją lekarz.

– Wiedzą, kto to zrobił?  
– Nic nie powiedziała.  
– Czekaj, nie pojedziesz, mając tylko to na grzbiecie, pada śnieg!  
Emma wyciągnęła kozuch z owczej skóry z szafy pod schodami i podała go mężowi, po czym przemknęła do kuchni. Wróciła stamtąd z poobijanym metalowym pudełkiem, do którego wrzuciła w pośpiechu butelkę piwa i kanapkę owiniętą w folię.

– Masz, weź to, pewnie zejdzie ci do wieczora, przynajmniej coś zjesz.

Jarvis wetknął pudełko pod pachę. Wiedział, że Rosie dała mu kanapkę, którą przygotowała na swoje spotkanie brydżowe – tę z plastrami indyka w miodzie, za którym przepadała i którego specjalnie na tę okazję kupiła u Marvina, dostawcy ze sklepu za kościołem luterańskim, i z piklami. Podziękował jej pocałunkiem, zbyt zaaferowany tym, co właśnie usłyszał, żeby wyrazić wdzięczność słowami, złapał beżowy kapelusz i wskoczył za kierownicę swojego pick-upa.

Gospodarstwo Mackiech rozciągało się na zachód od Carson Mills, między błotnistym stawem a ciągiem porośniętych pożółkłymi trawami pagórków, na których pasły się ich owce i barany. Jarvis zaparkował obok czarno-białego wozu Douga, naprzeciw rozchwierutanej stodoły. Od jak dawna Roy nie naprawiał niczego na swojej posesji? Wszystko tu popadało w ruinę, łącznie z samym gospodarzem, zgarbionym rudzielcem, który sprawiał wrażenie, jakby miał dwa razy więcej niż swoje czterdzieści lat, chudym niczym kojot zimową porą. Zaskrzeczał kruk, a tuż po nim kolejny zaintonował tę samą pradawną pieśń żalobną z gałęzi jednej z wysokich sosen, które otaczały gospodarstwo od zachodu i tworzyły roślinny półwysep wysunięty z wielkiego lasu wyznaczającego w oddali granicę ziem Mackiech.

Jarvis stłumił westchnienie. To nie był dobry dzień, czuł to w powietrzu, przez te wszystkie płatki śniegu wysypujące się powoli z wnętrzości nieba. Większość jego problemów ograniczała się do pijackich kłótni wieczorami, sprzeczek między sąsiadami i rzadkich drobnych kradzieży w centrum miasteczka. Czasami jakiś włóczęga wywoływał zamieszanie, aż wreszcie mundurowi Jarvisa odprowadzali go do granicy hrabstwa, zdarzało się też raz na trzy lub cztery lata, że banda bezczelnych motocyklistów robiła sobie postój w Carson Mills, zazwyczaj jednak szeryf miał na nich oko. Ale tym, czego Jarvis nienawidził najbardziej, były wykroczenia przeciw obyczajności. Nie czuł się z tym swobodnie, nie wiedział za bardzo, jak te sprawy rozwiązywać. Mężowie bijący swoje żony, cudzołóstwa wychodzące na światło dzienne, dzieciaki uciekające przed nadużywającym władzy rodzicem, a na ostatnim miejscu cholerne napaści na tle seksualnym. Nie można mieć złudzeń, nawet tych przestępstw nie brakło na przestrzeni dziesięcioleci. Jarvis powtarzał to za każdym razem: wszędzie, gdzie są mężczyźni, będą się trafiać te „cholerne napaści na tle seksualnym”. Niektórzy mają to we krwi. Coś tym spryciarzom uderza do głowy, niczym wstrząśnięta lemoniada, i eksploduje.

Zima osiedlała się w okolicy, nikt nie miał już co do tego wątpliwości, w ten późny poranek było wciąż tak ciemno, że przez brudne okna domu sączył się pomarańczowy blask. Jarvis zapukał do drzwi. Gdy wszedł, zobaczył niemal całą rodzinę zgromadzoną wokół dużego drewnianego stołu, tymczasem Doug, w służbowym mundurze khaki, czekał na stojąco w głębi pomieszczenia służącego za salon i kuchnię. Roy wstał, żeby przywitać się z szeryfem, wydawał się jeszcze bardziej przygarbiony niż zwykle. Jego oczy były zaczerwienione od zmęczenia i złości, Jarvis natychmiast zauważył też, że czuć od niego alkoholem. Zapewne whisky z kontrabandy, którą kupował za grosze od jednego z plantatorów kukurydzy z północy. Jarvis nigdy nie chciał w tym węszyć, dopóki obywało się bez awantur. Od tych spraw wolał trzymać się z daleka. Spokój w Carson Mills opierał się na połączeniu tolerancji i stanowczości, którego złożony splot pojmował tylko on.

Maggie, żona Roya, siedziała razem z synem, którego imienia Jarvis sobie nie przypominał, i z dwoma córkami. Nie wiedział

dokładnie, ile dzieci liczy rodzina Mackiech, ale był pewien, że brakuje najstarszej, rudej dziewczyny, na którą wszyscy w mieście patrzyli jak na dziwoląga z powodu jej zbyt długich nóg, ognistej czupryny i podskakującego chodu.

– Dziękuję, że przyjechałeś, Jeff – powiedział Roy, siadając obok żony.

Jarvis nienawidził, kiedy go tak nazywano. Już samo zwrócenie się do niego po imieniu dość by go zirykowało, ale zdrabnianie nazwiska zakrawało na brak szacunku. Jednak ze względu na okoliczności szeryf postanowił tego nie komentować.

Douglas wyciągnął w jego stronę blaszany kubek.

– Kawy, szefie?

Jarvis pokręcił głową i podszedł do stołu. Wszyscy sprawiali wrażenie przygnębionych, przytłoczonych tym, co się wydarzyło.

– Czy jesteście pewni tego, co opowiedzieliście Douglasowi? – spytał szeryf najłagodniejszym tonem, na jaki go było stać.

Roy wbił wzrok w jakiś punkt poza stołem, gdzieś w pustce, po czym odetchnął głęboko i odwrócił się do żony. Maggie wyprostowała się, jej duże wyłupiaste oczy wypełnione były łzami.

– Została napadnięta, szeryfie – powiedziała, powstrzymując emocje.

– Tej nocy?

Maggie przytaknęła.

– Sprawdziłem okno w pokoju dziewczyny – wtrącił Douglas – widać świeże ślady, zostało podważone.

Nie zwracając uwagi na swojego zastępcę, Jarvis pochylił się w stronę Maggie.

– Opowiedz mi – powiedział poważnym głosem.

– Znalazłam ją dzisiaj rano w łóżku, załamana. Płakała. Nie chciała mi niczego powiedzieć, ale kiedy zobaczyłam, w jakim jest stanie i jak idzie do toalety, zrozumiałam. Szczególnie że na pościeli była krew i...

Reszta zdania zawisała na chwilę na jej wargach, po czym rozplynęła się gdzieś między rozmówcami.

– No więc, Maggie? – nalegał Jarvis.

Gospodyni rozejrzała się z zakłopotaniem po zebranych wokół



stołu, po czym dodała niemal bezgłośnie:

– To chyba była sperma.

Jarvis nerwowym ruchem przesunął dłonią po wąsach. Z biegiem lat gest ten zmienił się u niego w tik, chociaż nie chciał się do tego przyznać; wszyscy mężczyźni z wąsami gładzili je regularnie, myślał, bo to było przyjemne i równie oczywiste, jak przeczesywanie włosów palcami.

– A ona co powiedziała? – spytał, przeszukując pamięć, żeby przypomnieć sobie imię najstarszej córki Mackiech.

– Louise nic nie powiedziała – odparł Roy – ani słowa.

*Louise. Louise wysoki rudzielec.* Czy milczała dlatego, że była w szoku, czy też знаła swojego napastnika i bała się go?

Jarvis zerknął na syna rodziny. Mógł mieć najwyżej jedenaście lat. To załatwiało problem. Był zbyt młody, żeby można było go podejrzewać.

– I nikt w rodzinie niczego nie słyszał ani nie widział – dodał Douglas – już zgłębiłem temat.

Nikt w ostatnim czasie nie zgłosił obecności włóczęgi w okolicy, pomyślał Jarvis, a zachodnia część hrabstwa była wyjątkowo dzika i pusta, nie należała do miejsc, w które zapuszczałby się przybysz, nie było tu nic do roboty. Kto mieszkał w najbliższym sąsiedztwie? Stewartowie. Nie, z ich strony nie było się czego obawiać. Nieco dalej na południe żyli Petersenowie.

Palce na wąsach Jarvisa znieruchomiały. Petersenowie. Problematiczna rodzina. Zamknięty w sobie i choleryczny dziadek z pijacką przeszłością i jego stuknięte córki: jedna ładna, która niedawno uciekła, druga starsza i opryskliwa. No i ten dzieciak. Jon.

– Nic nie powiedziała? – nalegał Jarvis.

Maggie pokręciła głową.

– Czy mógłbym się z nią zobaczyć? – spytał.

Maggie wstała i skierowała się w stronę zamkniętych drzwi, ale Jarvis powstrzymał ją uniesioną dłonią, rzucając jej swoje najbardziej stanowcze spojrzenie, mające wyrażać determinację.

– Sam – powiedział.

Wszedł, zapukawszy trzykrotnie, po czym natychmiast zamknął za

sobą drzwi. Zdjął kapelusz i trzymał go przy klatce piersiowej, po czym zbliżył się do łóżka, na którym pod wełnianym kocem leżała skulona Louise. W pokoju nie paliła się ani lampa naftowa, ani świeczka, niebieskawe światło śnieżnego poranka wypełniało pomieszczenie mglistą poświatą, zacierając kontury głębokimi cieniami. W nogach łóżka piętrzyła się zmięta pościel. Maggie wpadła na to, żeby niczego nie prać, to już coś. Jarvis przyciągnął sobie krzesło przed biurka i usiadł na nim okrakiem. Nie chcąc nękać dziewczyny, pilnował się, żeby jej nie dotknąć, chociaż miał ochotę pogłaskać ją po włosach albo po dłoni, dla dodania otuchy.

– Louise, poznajesz mnie? Jestem szeryf Jefferson. Wiesz, dlaczego tu jestem, prawda?

Ruda czupryna poruszyła się pod kołdrą i kręcone kosmyki przesunęły się, odsłaniając ściągniętą twarz. Ma najwyżej szesnaście albo siedemnaście lat, ocenił Jarvis, i spojrzenie łasicy osaczonej przez drapieżcę.

– Tej nocy przyszedł do ciebie mężczyzna, zgadza się?

Przez chwilę łudził się, że sprawa dotyczy nieostrożnych zakochanych, a matka pomyliła się w ocenie sytuacji, ale ujrzawszy stan nastolatki, zrozumiał, że chodzi o coś innego.

– Skrzywdził cię, prawda?

Tym razem, po lekkim wahaniu, Louise nieśmiało przytaknęła.

– On... robił ci różne rzeczy...

Jarvis nienawidził poruszać tego tematu z młodą kobietą, właściwie z dziewczynką, i zaklął w głębi duszy, szukając odpowiednich słów.

– Chcesz powiedzieć, że cię *spenetrował*?

Louise westchnęła głęboko, a jej ciało skuliło się, żeby zająć jak najmniej miejsca pośrodku łóżka. Skinęła głową.

– Chciałbym aresztować tego, kto cię skrzywdził tej nocy, wiesz? Czy go widziałaś?

Po chwili namysłu Louise pokręciła głową.

– Nie masz pojęcia, kto to mógł być?

Tym razem łzy zatopiły jaspisowe spojrzenie, po czym dziewczyna raz jeszcze zaprzeczyła ruchem głowy. Jarvis westchnął, rozczarowany. Usiłował wyciągnąć z niej chociaż jakiś znak szczególny, pobieżny opis,

budowę ciała, wzrost, fryzurę, ale dziewczyna tylko coraz bardziej płakała. Została obudzona w środku nocy przez swojego napastnika, zbita i zgwałcona, a jej jedynym wspomnieniem był szok.

Jarvis wolał na tym poprzestać. Wyszedł, żeby obejść dom, zanim śnieg przykryje wszystkie ślady, lecz na twardej ziemi nie widniał żaden odcisk. Zauważył zadrapania na ramie okna pokoju Louise; zresztą ono jedno zostało zniszczone, podważone śrubokrętem albo innym podobnym przedmiotem, a biorąc pod uwagę jakość drewna, nie trzeba było wielkiego wysiłku, żeby je otworzyć. Okiennice były wyłamane najwyraźniej od dawna, ale Jarvis zauważył wewnątrz grube zasłony. Zresztą nawet gdyby nie zostały zaciągnięte, nocą nie sposób byłoby zobaczyć Louise śpiącej w łóżku. Nie, napastnik wiedział, którędy ma wejść. Znał gospodarstwo i jego mieszkańców, nie był to przygodny włóczęga, żaden oportunistą szukający okazji do popełnienia psoty. Określenie to od razu nie spodobało się Jarvisowi – wyrzucał sobie, że przyszły mu na myśl takie słowa.

Odszedł kawałek, żeby się przyjrzeć niewielkiemu gospodarstwu z pewnej odległości. Czyli chodziło o chłopaka z okolicy. Kogoś, kto mijał Louise wysokiego rudzielca, kto wiedział, gdzie ją znajdzie. Faceta na tyle pewnego siebie, żeby zgwałcić ją pod nosem rodziców, albo kompletnie niepoczytalnego. Być może to recydywista, wystarczająco doświadczony w tej materii, żeby wiedzieć, jak zmusić dziewczynę do milczenia, zasłaniając jej usta dłonią i jednocześnie rozchylić jej uda... To nie było dzieło amatora, ale starego przestępczego wygi. Jarvis znał w Carson Mills trzy lub cztery indywidua, które dokonały już kiedyś napaści seksualnych albo byłyby do nich zdolne. Zacznie od przesłuchania ich, i lepiej, żeby każdy dysponował wiarygodnym alibi, jeśli nie chce, żeby skopał mu tyłek i wysłał na ten cholerny Księżyc, o którym cały czas mówią w telewizji. Już on mu prześle kosmonautę, temu dziobatemu ciału niebieskiemu!

Wróciwszy znów pod okno, Jarvis dostrzegł kolorowy kształt na ziemi i kucnął, żeby mu się przyjrzeć. Ani on, ani Douglas wcześniej go nie zauważyli, bo był częściowo przykryty śniegiem. Nie byłoby w nim nic nietypowego, gdyby nie pora roku. Jarvis zastanowił się, czy to nie rodzaj wskazówki, którą powinien wziąć pod uwagę, po czym pokręcił

głową. Na pewno Louise położyła go na parapecie okna. Miał pełne ręce roboty. Dzień dopiero się zaczynał.

Jarvis odłożył delikatny drobiazg na śnieżny kobierzec, który zaczynał pokrywać krajobraz.

Zasuszony mak, rozplaszczony, jakby ktoś zbyt długo przechowywał go między kartami książki.

## 9.

Gwałt na Louise Mackie przywarł do serca Jarvisa Jeffersona niczym nieusuwalny skrzep, dając mu od czasu do czasu o sobie znać bolesnym ukłuciem w piersi. W ciągu kolejnych tygodni szeryf przesłuchał wszystkich możliwych podejrzanych, zbadał szczegółowo ich alibi, wysondował nielicznych sąsiadów w poszukiwaniu choćby śladu świadectwa i trzykrotnie wracał, żeby porozmawiać z ofiarą, która nie miała mu nic więcej do powiedzenia. Draniowi się upiekło i Jarvis przez wiele lat sądził, iż przyjdzie mu umrzeć z tą porażką, kolejną wśród garstki tych, które zebrały mu się w ciągu dziesięcioleci. Był przekonany, że któregoś dnia zabierze je wszystkie do grobu – każda z nich tworzyła ciemną plamę na jego duszy, budując gniazdo dla raka lub ataku serca. W tamtym okresie nawet do głowy by mu nie przyszło, że wszystko w końcu się wyjaśni, i to w sposób zupełnie nieoczekiwany.

Instynktownie wiedział jednak, że to był mroczny okres w Carson Mills, czas słabości, dziura cywilizacji, do której wlewa się mętna i mulista woda, by jak najlepiej zakryć otchłań. Chwila, w której część natury ludzkiej wycofuje się, a dzikie zwierzę drzemiące jeszcze w człowieku rośnie w siłę. Jarvis zawsze w ten sposób postrzegał ewolucję: jako długą bitwę między inteligencją, owocem tysięcy lat rozwoju, który ciągnie nasz gatunek ku górze, a zwierzęcymi korzeniami, humusem naszych najgorszych instynktów, które umożliwiły nam tak długie trwanie w mimo wszystko nieprzyjaznym środowisku. Tak więc, kiedy Louise została zgwałcona, światło na jakiś czas opuściło małe miasteczko, a warstwa ciemności, która je przykryła, obudziła to, co w ludziach najgorsze. Coraz częściej wybuchały wieczorne bójki, Dereck MacHanoran strzelił pewnej nocy do swojego szwagra i zabił go, po czym odmówił wyjaśnienia swojego czynu; natychmiast znaleźli się tacy, którzy twierdzili, że szwagier utrzymywał nieczyste stosunki ze swoją własną siostrą, żoną Derecka. Piorun trafił w dzwonnice kościoła metodystów i wybił wszystkie witraże, co dla wielu wiernych było wyjątkowo przerażającym znakiem. Tej samej nocy urodziło się cielę o dwóch głowach – ów fakt przekonał najbardziej

pobożnych, że na przedmieściach Carson Mills zaczęło działać Zło. Jarvisowi Jeffersonowi, który bardziej wierzył w fakty niż w znaki, chociaż uczęszczał do kościoła metodystów, dopiero zwłoki Teresy Turnpike uświadomiły w pełni, że właśnie zapuścili się w mroczny tunel i że należy wzmóc czujność, by ochronić miasteczko i jego mieszkańców.

Theresa Turnpike jako pracownica społeczna opiekowała się dziećmi z miasteczka. Nieoficjalnie, gdyż tak naprawdę była bibliotekarką, ale wszystkie dzieci borykające się z problemami mogły do niej przyjść, potrafiła uważnie ich wysłuchać, doradzić, a czasami, kiedy było to naprawdę konieczne, udzielała im konkretnej pomocy – w postaci pożywnej ciepłego posiłku, noclegu na jedną lub dwie noce, albo nawet interwencji u rodziny, w merostwie, a w kilku skrajnych przypadkach wręcz u władz w Wichicie. Theresa Turnpike taka właśnie była: czytała książki i potrafiła czytać w istotach ludzkich, szczególnie w tych najmłodszych. Z biegiem lat dzieci zaczęły sobie po cichu przekazywać informacje o niej na szkolnych podwórkach i w bocznych uliczkach, jak członkowie francuskiego ruchu oporu za czasów nazistowskiej okupacji, którzy dzielili się nazwiskiem szefa siatki szpiegowskiej, żeby opuścić kraj i wyjechać do Anglii. Theresa przyjmowała je w bibliotece i zazwyczaj wszystko toczyło się podobnie: pierwsza wizyta miała na celu wybadanie terenu, pod pretekstem wypożyczenia książki – dzieci nie miały śmiałości o nic prosić, nie chciały się ośmieszyć. Theresa od razu je zauważała, miała do tego oko. Przede wszystkim nie miały karty bibliotecznej, a podczas zapisu przyglądały jej się uważnie, szczególnie kiedy odwracała się do nich plecami, żeby wypełnić kartę albo przybić pieczętkę – nigdy nie zauważały, że obserwowała ich odbicie w małym lusterku z wygrawerowanym cytatem z Marka Twaina. Następnie myszkowały wśród półek, niczego tak naprawdę nie szukając, rzucały ukradkowe spojrzenia w stronę bibliotekarki, a nie na kolorowe grzbiety książek, po czym pożyczały lekturę nieodpowiednią dla ich wieku, wziętą na chybił trafił, którą kładły nieśmiało na ladzie pokrytej laminatem. Tym Theresa oddawała kartę i nachylała się, żeby złapać je za rękę i powiedzieć za każdym razem to samo: „Proszę, miłej lektury. Gdybyś następnym

razem potrzebował pomocy, śmiało przyjdź, po to tu jestem”. Nigdy nie posuwała się dalej. Resztę drogi dzieci musiały pokonać już same. Wiedziała jednak, że to zdanie pozostawało w ich umysłach, dźwięczało wciąż i wciąż, a każdy słyszał je na swój sposób. Najbardziej zmotywowani w końcu wracali – zerkali na pozostałych użytkowników biblioteki, chcąc się upewnić, że nikt ich nie usłyszy. Szybko mówili Theresie, że słyszeli o niej, że być może będzie mogła im pomóc. Zauważała, że znajdujący się w najtrudniejszej sytuacji nie prosili jej bezpośrednio o pomoc, zaczynali raczej od: „Mam problem, proszę pani”. Wyznaczała im wówczas spotkanie w porze swojego obiadu, zdarzało jej się nawet zamknąć bibliotekę i nikt w mieście, włącznie z merem, nie ośmielił się zaprotestować.

Wszyscy znali jej ogromne zaangażowanie i poświęcenie dla dzieci. Wielu było zdania, iż rzadko się zdarza, by ktoś nosił tak niepasujące do siebie nazwisko<sup>2</sup>. Działała bezinteresownie, z czystej dobroci i miłości dla innych. Złe języki, zazwyczaj pod przywództwem pani Bromish (wielkiej organizatorki wieczorów Tupperware w Carson Mills, przewodniczącej klubu brydzowego i zagorzałej działaczki kościoła metodystycznego), twierdziły, że ponieważ Theresa Turnpike nie miała własnych dzieci i nie zdołała uwieść żadnego mężczyzny nadającego się na męża, oddała w całości serce książkom. Dla innych była po prostu życzliwą i porządną kobietą, czasami tylko niektórzy przypominali sobie, że jest jedną z nielicznych zwolenniczek demokracji w mieście lub też – o czym szeptano, jak gdyby chodziło o opętańczy taniec sabatowy – dawną sympatyczką socjalizmu, której nie wyłowił makkartyzm.

Jej zwłoki znaleziono dziesięć dni po gwałcie na Louise Mackie, przy torach kolejowych we wschodniej części miasta, w strefie opuszczonych magazynów, które postawiono w okresie gorączki złota i które powoli pustoszały, w miarę jak pociągi do Kalifornii i Arizony przestawały korzystać z tej linii, po czym zmieniły się w przestronne hale, gdzie w czasie prohibicji niekiedy ukrywali się przemytnicy alkoholu. Obecnie było to ohydne miejsce, którego unikały nawet pary poszukujące zacisznego kąta, odwiedzane jedynie przez dzikie psy, kilku wędrownych pijaczków i, jak mawiano, żonatych mężczyzn szukających

sprzecznych z naturą doświadczeń z innymi mężczyznami.

Odkrywszy tam kobietę, szeryf i jego zastępca Bennett trwali przez dłuższą chwilę z kapeluszami przyciśniętymi do serca. Smutny widok zwłok leżących twarzą do ziemi, z członkami rozciągniętymi w dziwnej pozycji, nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do jej stanu. Był późny, zimny poranek, śnieg, który spadł kilka dni wcześniej, nie zachował się, lecz lodowaty wiatr od wschodu szalał po równinie i gwizdał wśród ulic. Anonimowy mężczyzna o drżącym głosie, który zadzwonił do biura szeryfa, powiadomił ich, że znajdują ciało w pobliżu „magazynów wstydu”, „kobieta, pokój jej duszy”. „Magazyny wstydu”, tak nazywano tę strefę w dobrych domach Carson Mills z powodu jej złej sławy. Mężczyzna natychmiast się rozłączył i Bennett był pewien, że to tylko świadek, zapewne „bywalec” tamtej okolicy, który trafił na zwłoki, nie zabójca, w jego głosie było „zbyt dużo emocji, drżenia”.

Szeryf pochylił się, żeby przyłożyć dwa palce do szyi Theresy Turnpike w poszukiwaniu pulsu, który oczywiście już zaniknął. Chłód jej skóry potwierdził, że kobieta nie żyje od dłuższego czasu. Co najmniej od jednego lub dwóch dni. Miała odwróconą na bok głowę i odsłoniętą lewą część twarzy. Jarvisa ogarnęło głębokie wzruszenie na widok zaniepokojenia widocznego jeszcze na obliczu, nawet tak długo po śmierci. Smutne, że tak dobra kobieta musiała umrzeć w ten sposób, w wyniku przemocy. Ani trochę sobie na to nie zasłużyła. Było jeszcze gorzej. Kiedy ją odwrócili, odsłonili napuchniętą siną maskę, w jaką zmieniła się jej twarz: ktoś musiał ją zabić na śmierć. Jarvis zauważył kilka wyrwanych paznokci, sterczących niczym maska samochodu podczas przeglądu, i co najmniej dwa złamane palce. Podejrzewał, że w raporcie sporządzonym po wykonaniu autopsji w szpitalu w Enid znajdzie się wzmianka o licznych sińcach na całym ciele. Ale to było zadanie lekarzy, nie jego. Jarvis nie miał ochoty kontemplować okaleczonego ciała Theresy Turnpike. W ogóle nie lubił oglądać zwłok ludzi, których znał, a tym bardziej kobiet. Wprawiało go to w zakłopotanie – kwestia skromności i szacunku.

Kilkakrotnie pogładził się po wąsach, starannie chwytając gęste włosy palcem wskazującym i kciukiem.

– Tego nie zrobił nikt z okolicy – stwierdził Bennett. – Nikt stąd



nie skrzywdziłby Theresy.

Jarvis się skrzywił. Nie podzielał tego zdania.

– Przeciwnie, Benny, tylko ktoś od nas mógł mieć powody.

Theresa wtrącała się do spraw wielu rodzin, często wyciągała na wierzch to, co inni zamiatali pod dywan, a kilkorgu rodzicom z naszego hrabstwa odebrano dzieci z jej powodu czy też dzięki niej.

Na przestrzeni dwudziestu lat za sprawą Theresy Turnpike dobry tuzin dzieci umieszczono w rodzinach zastępczych. Były to dzieci maltretowane, bite do krwi, terroryzowane przez ich własnych rodziców. Jeszcze większa była liczba tych wszystkich, dla których nie mogła nic zrobić.

– Facet pastwił się nad nią, widziałeś tę jej nieszczęsną głowę? – dodał Jarvis. – Był wściekły. To ktoś stąd, jestem pewien. Ktoś, kto miał do niej ogromny żal. Nie wiesz, jak stały jej sprawy z dziećmiakami ostatnimi czasy?

– Nie, o niczym nie słyszałem od historii z synem Edwina Jamesa.

Szeryf dobrze pamiętał Marcusa Jamesa. To jego koledzy z klasy poszli do bibliotekarki, tak bardzo bowiem dzieciak bał się jej zwierzyć. Niemal co wieczór bił go ojciec alkoholik. Marcus się bał, nie chciał nic powiedzieć nawet Theresie, a już tym bardziej ludziom szeryfa, i to mimo siniaków widocznych na jego rękach. Nazajutrz nie pojawił się w szkole, wrócił w poniedziałek bez jednego zęba i z pękniętą wargą. Jarvis wciąż miał to sobie bardzo za złe. Zainterweniował z opóźnieniem, do tego stopnia, że to Theresa Turnpike udała się do mieszkania nad nieużywaną pracownią krawiecką, żeby pogrozić Edwinowi złamanym kijem od miotły, a alkoholik wymierzył jej w końcu siarczasty policzek. Następnego ranka Jarvis złożył wizytę Edwinowi w towarzystwie Douglasa, by dać mu solidną reprimendę i przypomnieć, że w Carson Mills nikt nie ma prawa się w ten sposób zachowywać. Potem Douglas osobiście wylał mu na głowę trzy butelki whisky znalezione w szafach, co rozpało ogień w rozciętych kościach policzkowych i łukach brwiowych, dając tym samym do zrozumienia, że odtąd będą go mieli na oku. Jeśli Marcus pojawi się w szkole z choćby zaczerwienioną skórą, szeryf i jego zastępca wrócą i tym razem wsadzą ojca do aresztu na kilka tygodni, z dala od jego butelczyny. W gruncie

rzeczy żaden z nich by sobie tego nie życzył, tylko Edwin, jako jedyny krewny Marcusa, mógł go wyżywić i opłacić czynsz, aresztowanie go byłoby równocześnie karą dla syna, mieli więc nadzieję, że na jakiś czas opanowali sytuację. To wszystko, co mogli zrobić, by ograniczyć szkody. Tak się miały sprawy z wymierzaniem sprawiedliwości w Carson Mills.

Jarvis Jefferson rozejrzał się wokoło. Ulice strefy kolejowej były puste, wypełnione jedynie starymi kartonami, kawałkami tkanin wplątywanymi w krzaki i powiewającymi niczym flagi zaginionej od dawna załogi. Większość małych okrągłych okienek w barakach była potłuczona, a w tych, które pozostały nienaruszone, odbijały się strzępki szarych chmur, podobne do oczu nawiedzonych przez ducha nicości, jak gdyby odmawiały przyglądania się temu, co się tutaj działo. Nie było to miejsce dla Theresy Turnpike. Jakim sposobem się tutaj znalazła? Jarvisa ogarnęła nagła, przemożna potrzeba zapalenia papierosa. Rzucił palenie na prośbę Emmy, ponieważ nie znosiła zapachu tytoniu, szczególnie w jego oddechu – z miłości do swojej kobiety pozbył się owego złego, choć tak przyjemnego nałogu już dwadzieścia lat temu, po siedemnastu latach wiernej służby w rytmie półtorej paczki dziennie. Emma wiedziała, jak się zabrać do rzeczy, gdy chodziło o osiągnięcie zamierzonego celu! Umiejętność mądrego dawkowania – znana jedynie kobietom – uśmiechów, szantażu, gróźb i komplementów sprawiła, że Jarvis zrezygnował. Chociaż aby uległ każdemu z jej kaprysów, wystarczyłoby czułe spojrzenie, to samo, które rzuciła mu owego wieczoru podczas balu z okazji Dnia Niepodległości, kiedy pocałował ją po raz pierwszy (wydawało mu się, że zdarzyło się to wieki temu, a jednak wspomnienie żony tuż przed tym, zanim ich wargi się zetknęły, pozostawało w jego pamięci żywe, niczym utrwalone na fotografii). Nikotyna jednak przylega do skóry silniej niż świeża żywica i potrafi, nawet po długim czasie, wyjść z ukrycia i zalać krew aromatami, przez co w głowie kręci się z pożądania.

- Daj mi papierosa, Benny – rozkazał Jarvis.
- Szeryfie, znowu będę miał kłopoty z panią Jefferson.
- Nie przejmuj się. Daj mi jednego.
- Ona wyczuje.

- Wezmę pastylkę miętową.
- Potrzebne będzie całe pudełko, jeśli ma pan nadzieję oszukać nos pańskiej żony.

Gestem dłoni Jarvis ponownie zażądał papierosa. Zaciągnął się z rozkoszą, niczym ćpun przyjmujący działkę. Dym wypełnił mu płuca i rozszedł się po drżącym organizmie, każdej komórce, aż po mózg. Jarvis wypuścił go przez nozdrza i wbił wzrok w rozżarzone liście tytoniu. Odkaszlnął lekko, żeby przyzwycząić się do nowego tlenu. Prawdziwe cholerstwo, ale cholerstwo tak cudowne. Upodlało i jednocześnie wypełniało luki. Dym potrafił zagnieździć się w każdym otworze, we wszystkich szczelinach, pozwalał poczuć się spokojniej.

Jarvis pstryknięciem odrzucił papierosa na peron załadunkowy. Za bardzo kochał żonę, żeby się bardziej zatruwać. Na dodatek będzie musiał za to drogo zapłacić. Będzie go to kosztowało cały wieczór masowania jej stóp kremem tak tłustym, że trzeba myć ręce przez dziesięć minut, żeby je z niego oczyścić, a także dostanie zakaz całowania jej przez dzień lub dwa, dopóki przeklęte wąsy nie zaczną pachnieć wyłącznie wodą kolońską z grzebienia, którym rozczesywał je co rano.

Jarvis przyłożył dłoń do zimnego nadgarstka Theresy Turnpike.

- Przykro mi, Thereso – powiedział cicho.

## 10.

Życie człowieka jest prawdziwym zegarem świata. Jeśli chodzi o Edwina Jamesa, twarz służyła mu za tarczę, na której wskazówki czasu zostawiły swój ślad w postaci skóry pokrytej dziesiątkami maleńkich blizn, bruzdami czterech dekad i żłobieniami przypominającymi o wydarzeniach minionych lat.

Na widok szeryfa z ostrożności cofnął się o krok, Jarvis Jefferson przypomniał mu, że jeśli nie tknął swojego dzieciaka, nie ma powodu do obaw. Mężczyźni rozmawiali dłuższą chwilę, szeryf badał rozmówcę, zadając mu pytania: czy widział ostatnio Theresę Turnpike, jakie były ich relacje, tego typu sprawy. Edwin niczego nie ukrywał. Przyznał, że nienawidzi tej „wścibskiej baby”, powtórzył, że jeśli przyjdzie odebrać mu syna, będzie ją ścigał aż do piekieł, żeby za to zapłaciła, że Marcusowi jest dobrze u ojca, że on sam zapanował nad sobą, próbuje mniej pić, w każdym razie wieczorami, kiedy jest w domu sam z dzieciakiem. Ponieważ od pewnego czasu Edwin był w związku z kelnerką z Samotnego Wilka. To była nowość. Jarvis natychmiast wyobraził sobie, jakiego rodzaju musi to być dziewczyna. Bar Samotny Wilk znajdował się przy wyjeździe z miasta, na północy. To miejsce zatracenia odwiedzali ludzie z marginesu, nieliczni młodzi i przypadkowe osoby poszukujące nocnego życia. Kiedy Jarvis wyjaśnił, że Theresa Turnpike nie żyje, że została zamordowana, Edwin zareagował dwójako. Z początku na jego twarzy pojawił się zły uśmieszek, nieco arogancki, po chwili jednak, kiedy uświadomił sobie konsekwencje całej sytuacji, uniósł obie ręce w geście protestu. Dziesięć razy powtórzył, że to nie on, że niczego nie zrobił, aż Jarvis musiał podnieść głos, żeby go uciszyć. Na zakończenie szeryf spytał, czy Edwin ma może papierosa, a wtedy on, nieco zbity z tropu, podał mu paczkę Pall Malli.

– Ciągłe palisz te same? – spytał Jarvis.

– Oczywiście. Kiedy jest się do czegoś przyzwyczajonym, po co zmieniać?

Po chwili wahania Edwin dodał:

– Wie pan, nienawidzę tej starej harpii, ale żeby aż ją zastrzelić, mimo wszystko...

Do Theresy nie strzelono, ale szeryf wolał nie wyprowadzać go z błędu.

– Wierzę ci, Edwinie. Wierzę.

Jarvis oparł się pokusie wzięcia papierosa i wrócił do samochodu. Na miejscu zbrodni niewiele znaleźli, nie licząc licznych niedopałków wokół zwłok. Po dokładniejszych oględzinach Bennett zauważył nawet ślad przypalenia na czole nieszczęsnej kobiety. Strawiona skóra, bez bąbla ani ropienia. Jarvis wiedział, że to dlatego, iż Theresa już nie żyła, kiedy rozgnieciono jej papierosa na głowie, ciało zareagowało na przypalenie podobnie jak serwetka. Wokół tej kobiety zgromadziło się zdecydowanie zbyt dużo nienawiści. Do tego stopnia, że ktoś zbił ją na śmierć, po czym palił papierosy przy jej zwłokach, zapewne rozmyślając, co z nimi zrobić, po czym upokorzył ją po raz ostatni, okaleczając jej szczątki. Jarvisa interesowały głównie niedopałki. Papierosy Herbert Tareyton, nie byle jakie, nie te nowoczesne z typowym filtrem, nie, dawne tareytony z charakterystyczną korkową końcówką. Z gatunku tych, których nie spotyka się już zbyt często. Siadając na skrzypiącej skórze fotela w swoim samochodzie, szeryf wykreślił tymczasowo ze swojej głowy nazwisko Edwina Jamesa. Wierzył mu, mężczyzna wyznał mu szczerze, że nienawidzi bibliotekarki, po czym spontanicznie zareagował na wieść o jej zgonie. Poza tym papierosy nie pasowały.

Jarvis ruszył. Zanim przekroczył próg biura, przeszedł na drugą stronę ulicy i wstąpił do butiku Ala Metzera. Dwaj mężczyźni przywitali się, znali się od dzieciństwa, byli w tym samym wieku z dokładnością do kilku miesięcy. Al jednak ważył obecnie ponad dwukrotnie więcej niż szeryf.

– Wciąż masz na stanie herberty tareytony, Al? Te z końcówką z korka i bez filtra?

Potężny mężczyzna odwrócił się do ściany pełnej kolorowych pudełek i z trudem pochylił, żeby sięgnąć po białe opakowanie z niebieską koroną pośrodku.

– Wracasz do tytoniu? Emma się ucieszy.

– Często je jeszcze sprzedajesz?

– Te? Nie, nie za bardzo, tylko kilkorgu starym nałogowcom, których nie sposób przekonać.

– Mógłbyś mi przygotować listę nazwisk?

Al zmarszczył brwi, przez co na jego obrzękłej twarzy pojawił się dość komiczny wyraz.

– Czy to oficjalne żądanie?

– Powiedzmy.

– Coś poważnego?

Jarvis zacisnął tylko wargi i Al skinął głową. Znał swojego przyjaciela na tyle, by wiedzieć, że naleganie nie ma sensu, Jarvis był zdolny zabrać najmroczniejsze tajemnice do grobu, jeśli uznał to za stosowne.

– Zapiszę ci tych, którzy przychodzą mi do głowy, ale nie będzie ich wielu i na pewno o kilku zapomnę.

– Od tej pory będziesz zapisywał nazwiska klientów kupujących tę konkretną markę.

– Możesz na mnie liczyć. Przez chwilę się bałem, że chcesz wrócić do palenia.

Jarvis przyjrzał się naprędce rzędom wielobarwnych paczek. Natychmiast rozpoznał swoje ulubione.

– Daj mi raczej paczkę suszonego mięsa, od rana nie miałem nic w ustach – rzucił nieco nerwowo.

Jarvis nie zdążył jeszcze przekroczyć progu swojego biura, kiedy Diana, jego sekretarka, rzuciła się ku niemu.

– Musi pan się udać do Monroe'ów, dzwoniła Elaine.

– Nie mam czasu.

– Mówiła, że to pilne.

– Theresa Turnpike nie żyje, Diana, została zamordowana.

Diana upuściła filiżankę z kawą. Ta rozbiła się u jej stóp i stworzyła na kosztownym dywanie brązową aureolę. Po chwili oszołomienia sekretarka wybełkotała przeprosiny i uklęknęła, żeby zebrać skorupy.

Jarvis schylił się, żeby jej pomóc.

– I... wie pan, kto ją zabił? – spytała.

– Nie. Bennett wrócił?

– Jeszcze nie.

– Proszę zadzwonić do Douga i powiedzieć mu, że będziemy go tu dziś potrzebować.

– Dobrze, szeryfie.

– Czego chciała Elaine Monroe?

Palce Diany drżały, kiedy zbierała kawałki filiżanki. Jarvis dał jej znak, żeby przerwała tę czynność, nie chciał, by się zacięła i dorzuciła jeszcze krwi do plamy na jego dywanie.

– Dowiedziała się o Louise Mackie. Całe miasto już wie. I...

Elaine sądzi, że jej córka przeżyła to samo ubiegłej nocy.

Tym razem to Jarvisowi wypadły z rąk szczątki filiżanki.

\*

Monroe'owie mieszkali w południowej części Carson Mills, tam, gdzie zamiast małych dwupiętrowych budynków typowych dla centrum stawiano większe domy, otoczone ogrodami z drewnianymi huśtawkami i altanami ozdobionymi różami. Był to ten rodzaj okolicy, gdzie ulice są zawsze czyste, a zaparkowane samochody lśnią. Monroe'owie zajmowali jedną z najpiękniejszych posiadłości, białą i przestronną, podobną do jednej z owych dawnych rezydencji z Luizjany, o wysokich zaokrąglonych oknach i idealnych kolumnach dźwigających balkon.

Cormac Monroe czekał na Jarvisa na schodach prowadzących do domu, z cygarem w dłoni. Szeryf szedł długą aleją wytyczoną małymi latarenkami. Przed oczami tańczyły mu duże płatki śniegu, wysypujące się znikąd, a może z wielkiego worka w kolorze sadzy, który ciążył niczym olów na niebie, tak nisko, że wydawało się, iż wieże kościelne przebijają go na wylot i opróżniają z puchu niczym olbrzymią bezkształtną maskotkę.

– Powinien był pan zaparkować pod dachem, szeryfie – odezwał się Cormac – a nie tam, nie zmókłby pan tak.

– Och, w moim wieku odrobina ćwiczeń nie zaszkodzi – odparł Jarvis, uchylając kapelusza na powitanie.

Jarvis nigdy nie czuł się swobodnie przy Cormacu Monroe. Było to równie idiotyczne, co denerwujące, ale postawa tego mężczyzny robiła

na nim wrażenie i narzucała pewną uległość, nad którą nie potrafił zapanować. Cormac, bogaty i potężny, był prawnikiem poszukiwacza złota, który dzięki wadze aptekarskiej w ciągu kilku lat stał się milionerem. Był właścicielem głównego banku w mieście, a także gazety oraz udziałów w lokalnej spółdzielni rolnej, gdyż należała do niego jedna trzecia pól wokół Carson Mills, nie licząc biznesów w Kansas City, które było jednak zbyt daleko, by zainteresować okolicznych mieszkańców.

Rozumiało się samo przez się, że Cormac Monroe dostanie od miasta to, czego sobie zażyczy. Niemniej jednak nigdy nie korzystał z tego przywileju, etyka Monroe'ów czyniła ich nie tylko godnymi podziwu, ale i – czasami – niemal podejrzanymi. Zasilali budżet organizacji charytatywnych hrabstwa, inwestowali w projekty rozwoju przemysłowego, w które jednak nie angażowali się osobiście, nie opuszczali ani jednego nabożeństwa w kościele luterańskim i dbali o to, by gazeta zachowywała swoją niezależność, nawet wtedy, gdy chodziło o krytykę niektórych działań Cormaca. Przede wszystkim zaś, w przeciwieństwie do dwóch innych ważnych rodzin z Carson Mills, nie angażowali się politycznie. Dopóki Cormac Monroe miał wolne pole do walki w lokalnym sektorze finansowym i gospodarczym, nie mieszał się do spraw merostwa. Jarvis Jefferson zawsze mógł liczyć na jego wsparcie i nigdy nie musiał o nie prosić. Czuł się przez to nieco zakłopotany, nienawidził psów kłusujących rękę, która je karmi, a mimo to chciał wierzyć, iż nie jest nic winien rodzinie Monroe, gdyż nigdy jej o nic nie prosił. Chodziło też o jego stosunek do osób zamożnych: wobec ludzi bogatych czuł się onieśmielony, jak gdyby pieniądze nadawały im jakąś wartościową aurę. To było silniejsze od niego, kompletnie idiotyczne – sam się z tym zgadzał – ale nie mógł nad tym zapanować.

Cormac wpatrywał się w szeryfa ciemnymi oczyma. Przypominał Cary'ego Granta, z idealnym przedziałkiem i czarnymi jak węgiel włosami. Kiedy Jarvis wszedł po stopniach, biznesmen położył mu dłoń na przedramieniu.

– Dziękuję za przybycie, szeryfie – powiedział cicho, odwróciwszy głowę. – Nie jestem pewien, czy Elaine dobrze oceniła sprawę, ale byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan przynajmniej stworzyć pozory,



że jej pan uważnie słucha.

Jarvis zawahał się. Zauważył, że w przypadkach gwałtu ojciec często lekceważy powagę sytuacji – aby nie wywoływać skandalu, ochronić potomstwo przed „co powiedzą inni”, a przede wszystkim utrzymać szanse na dobre małżeństwo córki – co w rezultacie bardzo utrudniało śledztwo. Tym razem jednak, wiedząc o obecności potencjalnego drapieżcy w okolicy, szeryf był raczej skłonny uwierzyć podejrzliwej matce niż opiekuńczemu ojcu. Skinął głową w milczeniu i ruszył za Cormakiem Monroe’em do środka, aż do salonu rozmiarów jego domu, ozdobionego obrazami, dużymi bukietami kwiatów (co zdziwiło szeryfa najbardziej, biorąc pod uwagę porę roku) i długimi białymi kanapami z poduszkami.

Cormac był nieco podobny do Cary’ego Granta, a Elaine, jego żona, kojarzyła się z Kim Novak, ze względu na wysokie czoło, jasne włosy i porcelanową cerę. Mimo okoliczności miała policzki podkreślone lekkim różem, oczy starannie obrysowane kohlem, a wargi w kolorze żywej czerwieni. Wstała, żeby przywitać szeryfa – przez krótką chwilę poczuł się jak na planie filmu, otoczony dwoma gwiazdami czekającymi, aż kamery zostaną wyłączone, żeby móc się uśmiechnąć, poklepać po plecach i przyjąć bardziej rozluźnioną pozę. Nic z tych rzeczy jednak się nie wydarzyło, a napięcie elektryzujące pomieszczenie, które sprawiało, że na karku Jarvisa aż jeżył się meszek, ani trochę nie osłabło. Pierwszy raz znalazł się w domu Monroe’ów i już samo wewnątrz nieco go przytłaczało.

Elaine bezbarwnym tonem zaproponowała mu gorącą herbatę, za którą uprzejmie podziękował. Kobieta siedziała na skraju kanapy, naprzeciw Jarvisa, wystrojona w garsonkę z węzełkowatej wełny jak spod igły, sprawiającą wrażenie delikatniejszej niż skóra niemowlęcia, i nerwowo pocierała dłonie, wpatrując się w niego z niebieskim chłodem kontrastującym z jej pozorną życzliwością.

– Dowiedziałam się o Louise Mackie – powiedziała znienacka. – On chyba zrobił to po raz kolejny, u nas.

Zamrugnęła szybko powiekami, a kiedy otworzyła oczy, lodowate tęczęwki skierowały się w stronę męża, jak gdyby chciała zachęcić go do przeciwstawienia się jej. Cormac odpowiedział jej sztucznym

uśmiechem. Najwyraźniej nie miał zamiaru sprzeciwić się małżonce, jednocześnie wyrażając swój sceptycyzm.

– Ma pani na myśli... córkę? – spytał Jarvis szeptem.

Elaine wypięła klatkę piersiową, żeby dodać sobie odwagi, jej piersi naciągnęły moherowy sweterek. Mimo że w jej wnętrzu rozgrywał się dramat i wypełniała ją złość rozwścieczonej matki, zachowała swoją godność, ryzykując, że wyda się nieczuła i nieznośnie zdystansowana. Ale Jarvis dobrze wiedział, że walczy ze sobą, by nie eksplodować.

– Od kilku dni Ezra nie jest sobą.

– Od kiedy dokładnie? Diana, moja asystentka, mówiła, że chodzi o ostatnią noc.

– Nie, zeszłej nocy znalazłam ją zapłakaną w toalecie, wtedy zrozumiałam, ale zachowuje się inaczej od mniej więcej pięciu dni. Twierdzi, że to nic, że to z powodu jej... wie pan, kobiecych spraw, ale ja w to nie wierzę. Unika nas, przez większość czasu ukrywa się w sypialni, a kiedy wreszcie wychodzi, przemyka się pod ścianami, ma zaczerwienione od łez oczy i przypomina ducha. Ona, zawsze tak zabawna i żywa!

Słowa dosłownie trysnęły z ust Elaine Monroe, jak gdyby powtarzała je starannie przez wiele godzin, by być przygotowaną w odpowiedniej chwili. Jarvis potarł dłonie. Bóg jeden wiedział, jak bardzo miał ochotę na kolejnego papierosa. Tylko na jedno lub dwa zaciągnięcia się, żeby dodać sobie nieco odwagi.

– Co pozwala pani sądzić, że została...? – ośmielił się spytać Jarvis, nie mogąc wypowiedzieć właściwego słowa, nie przy nich.

– W ubiegłą sobotę mnie nie było, wyjechałam do siostry w Tulsie, Cormac miał zebrania w pracy, te, które kończą się grą w karty, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

Ponownie rzuciła mężowi spojrzenie i tym razem Jarvis odniósł wrażenie, że przygważdża go do ściany swoimi oczyma, tak jak to potrafią tylko kobiety.

– Ezra wiosną skończyła szesnaście lat – ciągnęła Elaine – to wystarczający wiek, by mogła zostawać sama w domu. Szczególnie że na tyłach jest służba, więc właściwie nie jest tak całkiem sama. To ona o to poprosiła, dwa miesiące temu nalegała, żebyśmy nie ściągali Lavinii

do pilnowania jej, domagała się większej niezależności, zaufania. I Cormac uznał, że to dobry moment, lubi uczyć odpowiedzialności.

– Wróciła pani tego samego wieczoru?

– Nie, przenocowałam u siostry, żeby uniknąć podróżowania nocą, wróciłam rano. Ezra była w swoim pokoju. Z początku niczego nie zauważyłam, w południe powiedziała, że źle się czuje, i nie zeszła na obiad. Wieczorem zaczęłam podejrzewać, że jest jakiś problem, ona jednak zaprzeczała, przywdziała swoją maskę i uśmiechała się blado, żeby mnie podnieść na duchu. Nie można jednak oszukać matki w takich okolicznościach. Z początku zaczęłam podejrzewać, że ma ukochanego, poczekałam, aż będzie w szkole i przeszukałam jej pokój, ale nic nie znalazłam. Należę do osób upartych, szeryfie, jestem prawdziwą hieną, gdy chodzi o moje potomstwo.

Jarvis bez trudu jej uwierzył, wystarczyło posłuchać, jak mówi: każde słowo wypowiadała z niemal denerwującą precyzją, a jej spojrzenie nie zostawiało miejsca na sprzeciw.

– Podejrzeń nabrałam w suterenie. Znalazłam tam świeżo wypraną pościel.

Odwróciła głowę w stronę męża, po czym mówiła dalej, nieco podniesionym głosem, mającym uprzedzić wszelkie kontrargumenty.

– Służba zmienia pościel tylko w czwartki, nigdy na początku tygodnia, żebyśmy mieli czystą na weekend, z wyjątkiem nieprzewidzianych sytuacji. Spytałam Precious, naszą intendentkę, czy Ezra prosiła ich o to, ale zaprzeczyła. Ezra sama wyprała pościel. Nigdy tego nie robiła. A wie pan, co znalazłam obok balii? Słój grubej soli.

Jarvis cofnął się na kanapie i skrzyżował ramiona. Żył z królową organizacji i intendentury od blisko trzydziestu lat i w międzyczasie tyle razy słyszał, jak Emma powtarza wszystkie swoje drobne sztuczki, że znał je na pamięć. Gruba sól w zimnej wodzie rozpuszcza plamy krwi na ubraniach: to podstawowa zasada, szczególnie gdy ma się w domu trzy dziewczęta.

– To by mogło pasować do tego, co córka pani powiedziała, jeśli mogę się wtrącić – zauważył Jarvis, który nie potrafił się zdecydować, czy ma przed sobą autorytarną matkę, którą przerosło zachowanie córki, czy też rzeczywiście kryło się za tym coś dramatycznego.

– Nie gdyby znał pan moją Ezrę, szeryfie. Jej zachowanie zmieniło się z dnia na dzień. Zamknęła się w kokonie, przestała się śmiać, jest nieobecna, chodzi z głową w chmurach i widzę to w jej oczach: coś w niej pękło. Poza tym wiem dokładnie, kiedy moja córka jest kobietą, to coś, co mi nie umyka, a czas się nie zgadza.

Nagle Elaine się pochyliła. Po raz pierwszy, odkąd Jarvis przekroczył próg domu, poczuł ulgę, że wszystko tu jest takie przestronne, gdyż dzięki temu żona Cormaca nie mogła go złapać za rękę, ten gest bardzo by mu się nie spodobał, zgadywał bowiem, jak zimna i nieprzyjemna musiała być jej dłoń. Zamiast tego, objęła jego duszę uściskiem swoich niebieskich oczu i dodała niemal drżącym głosem:

– Skradziono jej niewinność, szeryfie. Moja córka została zgwałcona, to nie ulega wątpliwości. Zrobił to ten sam mężczyzna, który zaatakował Louise Mackie, słyszałam całą historię, robi to w domach, w ich łóżkach, nocą, niewinnym nastolatkom, które nie potrafią się bronić. To on, szeryfie, jestem pewna. I chcę, żeby go pan natychmiast zatrzymał. Chcę, żeby wszyscy pańscy ludzie pracowali dniem i nocą, żeby go zidentyfikować i wsadzić za kratki, chcę patrzeć, jak jego mózg skwierczy na krześle elektrycznym i zaczyna wypływać uszami. Czy wyrażam się jasno?

Tym razem ani jednego słowa nie wymówiła głośniejsz od pozostałych, powoli wyrecytowała swoją wolę, nie drgnęła jej nawet powieka. Jarvisowi zaschło w ustach. Spojrzał na porcelanowy czajniczek do herbaty, wciąż parujący, i rozważał, czy się nie poczęstować, ostatecznie jednak zrezygnował. Niemal usłyszał głos swojej żony i poczuł trzepnięcie w palce, co pozwoliło mu wziąć się w garść.

Cormac wyciągnął z kieszeni zapalniczkę i zapalił wygasłe cygaro. Kiedy spowił go szary i pachnący dym, wyglądał jak przebrany za ducha.

– To pan wrócił tamtego wieczoru, jeśli dobrze rozumiem? – spytał szeryf biznesmena, a ten skinął głową, zaciągając się głęboko cygarem. – Niczego pan nie zauważył? Sforsowanych drzwi, uchylonego okna?

– Nie, a wie pan, jaka ostatnio panuje aura, zauważyłbym.

– Zajrzał pan do córki?

– Nie, wróciłem dość późno, od dawna już nie całuję jej na dobranoc, ona jest... już prawie kobietą.

– Czy mógłbym z nią porozmawiać?

– Ona niczego panu nie powie – odparła natychmiast Elaine – musi mi pan wierzyć na słowo. Wewnętrzne przekonanie matki. Elaine będzie grała miłą i uśmiechniętą, będzie zaprzeczać, że padła ofiarą czegokolwiek. Ale znam ją lepiej niż ktokolwiek inny i *czuję* to. Gdyby pańska żona twierdziła, że *wie*, że coś się przydarzyło waszemu dziecku, czy zaufałyby jej pan?

– To trochę bardziej skomplikowane, pani Mon...

– Szeryfie, gdyby pańska żona stanęła przed panem tu i teraz, głęboko przekonana, że waszemu dziecku przytrafiło się coś dramatycznego, czy by jej pan posłuchał?

Wobec absolutnej determinacji Elaine Monroe Jarvis przełknął swoje argumenty i zagryzł dolną wargę, po czym skinął łagodnie głową.

– Chyba tak – stwierdził.

– A zatem wie pan, co ma robić.

Tym razem to on został przyparty do muru przez dwa niebieskie promienie oczu Elaine. Czuł się zakłopotany. Westchnął ciężko, po czym wstał z kapeluszem w dłoni.

– W takim razie lepiej będzie, jeśli pójdę, zanim śnieg wszystko zasypie – powiedział.

– Potrzebuje pan pomocy? – zapytał Cormac.

– Nie, proszę się nie kłopotać, sam wyjdę, znam drogę. Ach, i proszę się nie przestraszyć, widząc mnie na państwa terenie, rzucę mimo wszystko okiem na zawiasy, nigdy nic nie wiadomo.

Elaine wstała i stanęła przed szeryfem. Tym razem nie mógł nic poradzić, gdy położyła mu dłoń na rękawie: nawet przez tkaninę wydało mu się, że czuje lodowate ukąszenie.

– Chcę zostać powiadomiona jako pierwsza, kiedy znajdzie pan śmiecia, który to zrobił.

Jarvis nie odpowiedział i przesunął dłonią po wąsach, po czym skinął głową na pożegnanie i oddalił się. Kiedy mijał Cormaca Monroe'a, ten wypuścił kłęb ostrego dymu i dodał:

– Liczę na pana, szeryfie, że cała ta afera nie zostanie nagłośniona. Tu chodzi o reputację naszej córki. To sprawa między panem, nami i tym mężczyzną.

Jarvis założył kapelusz na siwiejące włosy i wyszedł.

## 11.

Po zaledwie dziesięciu sekundach Emma nachyliła się nad wąsami męża, powęszyła i cofnęła się, jak gdyby się okazał wcieleniem samego diabła. Nie odezwała się ani słowem, tylko wyciągnęła w jego stronę palec wskazujący, a na jej zazwyczaj tak łagodnej twarzy malował się cały gniew tego świata. Jarvis poczuł, że ma kłopoty. Boczyła się na niego przez pięć dni, co nie przeszkadzało jej w przygotowywaniu mu lunchu w metalowym pudełku, które zostawiała co rano na stole razem z kożuchem, w pozostałych kwestiach musiał jednak ograniczać się do minimum. Wieczorami czytał gazetę, podczas gdy ona robiła w milczeniu sweter na drutach dla Leistera, drugiego chłopca, który urodził się niedawno ich najstarszemu synowi i jego żonie. Jarvis tęsknił za dziećmi, życiem rodzinnym, hałasem w domu, przepełnionymi dniami, wszystkim, co obecnie było już tylko nostalgicznym wspomnieniem. Na szczęście miał Rosie, chociaż ta kazała mu teraz słono płacić za dotknięcie papierosa – wiedział, że jej to minie, jeśli będzie zachowywał się poprawnie i nie odpowiadał na zew tytoniu. Miał szczęście, że się spotkali, myślał. Nieczęsto się zdarzało, by ludzie, nawet z jego pokolenia, rozumieli się tak dobrze po trzydziestu latach małżeństwa. Inni żyją obok siebie z przyzwyczajenia, jedni w stanie swego rodzaju wzajemnej życzliwości, drudzy obojętności, o ile po prostu nie w stanie wojny. Ale on i Rosie kochali się naprawdę i nie było cienia wątpliwości, że umrą razem, z wytartymi obrączkami na palcach. To był jego powód do dumy, to i jego chłopaki, chociaż teraz mieszkali daleko stąd. Nadeszła być może pora, żeby usunąć się w cień, oddać odznakę. W końcu Douglas był kompetentny, gotów przejąć stanowisko, przy nim Carson Mills będzie bezpieczne. Tak, być może należałoby pomyśleć o spoczynku, żeby mieć trochę czasu dla siebie, dla Rosie, dla chłopców. Poza tym tutaj sprawy zaczynały go przerastać. Najpierw biedna Louise Mackie, później zabójstwo Theresy, a teraz ta historia z Monroe'ami, której nie potrafił odpowiednio zinterpretować. Czy to ze światem coś jest nie tak, czy on zaczyna robić się za stary na te głupstwa?

Emma przestała traktować go z ową raniącą obojętnością z dnia na dzień: odbył karę. W środę rano obudziła go i przygotowała śniadanie, które przyniosła do sypialni. Zjedli jajka sadzone na chrupiącym bekonie w łóżku, jak gdyby mieli po dwadzieścia lat, a potem Rosie zaproponowała, żeby pojechali do miasta, miała listę zakupów do zrobienia, a poza tym od wieków nie spacerowali razem. Jarvis zgodził się, nieco zaskoczony. Mógł wziąć sobie wolne przedpołudnie, śledztwa biegły swoim torem, Doug mógł się wszystkim zająć. Zresztą nie mieli żadnego poważnego tropu i nie dlatego, że nie szukali: przesłuchali wszystkie przygodne osoby, włóczęgów, niektórych dobrze znanych, ludzi z marginesu i tych nielicznych, którzy zdaniem szeryfa byliby zdolni do popełnienia takich czynów, i nic z tego nie wynikło. Spędzali nad tym codziennie całe godziny z Dougiem i Bennettem, łącznie z niedzielą, bez rezultatu. Al Metzger przygotował mu listę kilku klientów kupujących herberty tareytony z korkową końcówką, ale żaden nie miał profilu kryminalisty. Wśród nich były trzy kobiety i czterech mężczyzn bez przeszłości – Jarvis ich przesłuchał i nie zauważył niczego podejrzanego. Ale jak Al Metzger sam stwierdził, mogli mu umknąć inni nabywcy, poza tym nie był jedynym sprzedawcą tych papierosów na terenie stanu. W wyniku tego wszystkiego Jarvis czuł lekkie zniechęcenie, niemal wstyd. Carson Mills było jego miastem, miał za zadanie zaprowadzenie w nim porządku i szukanie sprawiedliwości, kiedy ktoś zagrażał jego mieszkańcom. To, że nie miał ani jednego podejrzanego w sprawie, a raczej w sprawach o gwałt i zabójstwo, sprawiało mu ból. Potrzebował nabrać dystansu, odetchnąć przez kilka godzin, żeby rozjaśnić umysł.

Poszedł razem z Rosie do Mo's po większe zakupy spożywcze – skorzystał z okazji i podrzucił do koszyka dwie puszki wieprzowiny z fasolką w sosie pomidorowym Campbella, swoje ulubione danie, które zje, kiedy żona będzie na jednym z wieczorów brydżowych – a potem udali się do dostawcy za kościołem, żeby kupić słynne plastry indyka w miodzie. Gdy kogoś mijali, Jarvis kiwał głową i zaciskał kciuk oraz palec wskazujący na rondzie kapelusza w ramach powitania; Rosie uwielbiała ten ceremoniał. Nawet po dwudziestu latach była dumna, że jest żoną szeryfa – Jarvis wiedział więc, że musi rozwiązać te sprawy,



z powodu własnego poczucia dumy, by ocalić honor miasta i żeby Rosie nadal mogła chodzić ulicami z zadowoloną, niemal chełpliwą miną.

W drodze do dostawcy Marvinna spotkali Connie McCarthy, przyjaciółkę z klubu brydżowego. Rosie rozmawiała z nią przez chwilę, tymczasem Jarvis przeglądał nagłówki lokalnej gazety, siedząc na pobliskiej ławce. Kiedy żona wróciła po niego, ujęła go pod rękę i powiedziała:

– Powinieneś rzucić okiem w okolice Petersenów, wiesz, tych gospodarzy nieco... *ciężkich*, którzy mieszkają na zachodzie. Connie uważa, że ich dzieciak nęka okoliczne koty i psy.

– Jon?

– Tak. Pamiętasz, jak ci opowiadałam, że wiele rodzin straciło psa albo kota w ostatnich miesiącach? Prosiłam cię, żebyś się tym zajął, ale nic nie zrobiłeś.

– Rosie, koty i psy nie stanowią priorytetu, jeśli wiesz, o co mi chodzi. Szczególnie teraz.

– Są priorytetem dla tych rodzin! Co byś zrobił, gdyby Raffy zniknął z dnia na dzień? Wyobrażasz sobie miny chłopców?

– Raffy zdechł w wieku szesnastu lat w swoim koszyku. Jak na psa, a na dodatek kundla, miał więcej niż piękne życie.

Jarvisowi nie spodobało się, że jego dawny pies został wmieszany w tę dyskusję; wyjątkowo kochał tego uparciucha, wciąż za nim tęsknił, chociaż od jego odejścia minęło już dziesięć lat. Ale Rosie wystartowała pełną parą niczym pociąg towarowy, nie sposób było jej zatrzymać.

– Uwierz mi, jeśli ktoś będzie musiał tłumaczyć swoim dzieciom, że nigdy więcej nie zobaczą swojego ulubionego zwierzęcia, i nie będzie potrafił wyjaśnić dlaczego, kiedy nadejdzie czas wyborów szeryfa, pomyśli dwa razy, zanim zagłosuje!

Coraz lepiej. Jak tak dalej pójdzie, Jarvis zorganizuje kampanię wyborczą wokół zwierząt domowych, żeby zapewnić sobie mandat.

– Wysłałem Bennetta – bronił się – a on nie znalazł nic szczególnego. Koty i psy przychodzą i odchodzą, żyją swoim życiem, ruszają na polowanie na myszy i gubią się, wpadają pod koła...

– Bennett nie znalazłby własnej żony, gdyby ją zgubił między regałami Buck'sa w Wichicie! Prosiłam o to ciebie! – powiedziała

Emma, wciskając niemal do bólu palec w ramię męża.

– A! Rosie! Już dobrze! Zrozumiałem. Powiedz Connie i jej przyjaciółkom, że podjadę do Petersenów. Ingmar znowu się na mnie rzuci, bo podejrzenia padły na jego wnuka, a stary uważa, że wszyscy na niego krzywo patrzą, bo się urodził wśród krwi.

– Kiedy wszyscy spoglądają w tę samą stronę, to znaczy, że coś jest na rzeczy. Connie zrobiła to, co było twoim zadaniem: zebrała świadectwa wszystkich osób, które niedawno straciły zwierzę, i nakreśliła obszar. Znalazły się w nim niemal wyłącznie rodziny żyjące na zachodnich obrzeżach miasta. Od strony Petersenów. A wiesz, że ten dzieciak jest... dziwny.

Jarvis skinął głową i zapewnił żonę, że osobiście zajmie się tą sprawą. Przynajmniej co do jednego się nie myliła: Jon Petersen różnił się od innych chłopców, szeryf wierzył, że dzieciak byłby zdolny porwać się na zwierzęta, żeby odsprzedać skóry jakiemuś handlarzowi. Bycie dobrym mężem nie zawsze jest łatwe, to rzecz pewna, ale bycie dobrym mężem *i* dobrym szeryfem jednocześnie zakrawało na wyczyn – Jarvis zaczął żałować, że nie przyznaje się medalu za tę zasługę.

Był tak głęboko pogrążony w swoich myślach, że dopiero w ostatniej chwili zauważył wątłą postać, która wchodziła do kościoła na ich oczach. Przez dłuższą chwilę szukał w pamięci, skąd zna tę twarz, dlaczego instynkt podpowiada mu, że to coś ważnego, po czym zdał sobie sprawę, że chodzi o Ezrę Monroe. Znieruchomiał natychmiast i ujął ramię żony.

– Rosie, idź do Marvina beze mnie, spotkamy się przy samochodzie.

Zaskoczona Emma popatrzyła na niego, po czym podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem.

– Nie mów mi, że zamierzasz zmienić parafię! Oszczędziłeś mi kochanki przy czterdziestce, za to teraz zamierzasz zrobić woltę przy pięćdziesiątce!

Jarvis uświadomił sobie wówczas, że stoją na dziedzińcu kościoła luterńskiego, i zaczął się zastanawiać, co on, metodysta, ryzykuje, zapuszczając się tam. Nigdy wcześniej nie zadał sobie tego pytania, dywagacje między teologami zawsze go przerastały. Parafia, podejście

mistyczne, wszystko to dla niego nie miało większego znaczenia, był metodystą ze względu na tradycję rodzinną, nic poza tym, zresztą i tak ostatecznie liczył się odbiorca, a nie sposób komunikacji. Kiedy wysyłał podróżującemu po Europie synowi wiadomość, nie dbał o to, czy list poleciał samolotem czy popłynął statkiem, byleby słowa nie zostały pozmieniane i całość dotarła pod właściwy adres.

– Nie martw się, wydaje mi się, że lokator jest ten sam, co po naszej stronie ulicy!

Jarvis zdjął kapelusz, pocałował żonę w policzek i ruszył śladem nastolatki.

Płomyki licznych świec wiły się w półmroku, którego blade zimowe światło wpadające przez wąskie ostrołukowe okna nie potrafiło rozjaśnić. Ławki stały w idealnie równych rzędach, po obu stronach głównej nawy, i na pierwszy rzut oka Jarvis nie zauważył żadnej różnicy między tym kościołem a jego własnym. Jeśli taka istniała, zapewne ograniczała się do kazań. Zobaczył Ezrę Monroe w pierwszym rzędzie, z pochyloną głową, jej długie złociste włosy opadały niczym kurtyna, która miała odgradzić ją od reszty świata. Jarvis opadł bezgłośnie kościstymi pośladkami na ławkę za nią i oparł się o tył tej, na której siedziała nastolatka.

– Dzień dobry, Ezro – powiedział cicho.

Dziewczyna podskoczyła i odwróciła się gwałtownie, żeby się przyjrzeć intruzowi. Przywitał ją budzącym zaufanie – miał taką nadzieję – uśmiechem, z podkreślonym wąsem i uwydatnionymi w grymasie zmarszczkami.

– Poznajesz mnie, prawda?

– Szeryf Jefferson – potwierdziła głosem dźwięczącym lekko w ciszy kościoła.

Przyglądała mu się swoimi dużymi niebieskimi jak u matki oczyma obdarzonymi dodatkową nutą: słodyczy i łagodności.

– Nie zamierzam ci przeszkadzać w modlitwie, chcę tylko się upewnić, że masz się dobrze.

Coś przemknęło przez jej twarz, ów rodzaj emocji lub silnej myśli napływającej pod skórę niczym olbrzymia ryba przesuwająca się pod wodą, której cień jest widoczny na powierzchni, ale której gatunku nie

sposób rozpoznać. Ezra spuściła na chwilę oczy i szeryf zobaczył, że jej pierś unosi się nieco szybciej.

– Wiesz, na czym polega moja służba w tym mieście? – dodał Jarvis. – Jestem trochę jak pastor, zbieram świadectwa, tylko zamiast Bogu, powtarzam je wymiarowi sprawiedliwości, żeby ukarać tych, którzy nie stosują się do jego zasad, którzy nas krzywdzą i którzy uniemożliwiają nam życie w spokoju.

Ezra powoli skinęła głową. Ależ ta dziewczyna jest piękna, pomyślał Jarvis. Z taką buzią i rodzinną fortuną ma pewnie u stóp wszystkich chłopaków z hrabstwa. A jednak wyczuwało się u niej niemal namacalną melancholię, dostrzegano głęboką pustkę w spojrzeniu. Jarvis przypomniał sobie słowa Elaine Monroe sprzed kilku dni. Jeśli rzeczywiście Ezra z natury była radosną i promienną nastolatką, to coś musiało w niej pęknąć. Jakaś ważna część w jej silniku.

– Wiesz, że gdybyś kiedykolwiek znalazła się w tarapatach, możesz do mnie przyjść, prawda?

– Tak – szepnęła dziewczyna, jak gdyby jej głosowi zabrakło paliwa.

– Pamiętaj, że możesz na mnie liczyć, a także na moją dyskrecję. Dziewczyna, zdenerwowana, wyginała dłonie. Jarvis odczekał dłuższą chwilę, po czym spytał tym samym poufałym tonem:

– Ezra, czy masz problemy?

Przyjrzał jej się uważnie i natychmiast pojął, że jej matka mogła mówić prawdę. Ezra wpatrywała się w odległy punkt i zastanawiała, niezdecydowana. Kiedy jednak szeryf położył jej dłoń na ramieniu, żeby spróbować okazać wsparcie, cofnęła się gwałtownie i pokręciła przecząco głową.

– Dlaczego odnoszę wrażenie, że coś przede mną zatajasz?

Nagle wielka ryba sunąca pod powierzchnią jej twarzy wypłynęła i Jarvis stwierdził, że nie był to delfin czy wieloryb, lecz raczej kolen, rodzaj białego rekina. Miała to samo ciemne spojrzenie, zaciśnięte szczęki i sunęła w mętnej wodzie.

– Sądzi pan, że ludzka sprawiedliwość stoi wyżej od boskiej, szeryfie? Myślę, że dla każdej zbrodni istnieje jeden właściwy sędzia.

A jeśli o mnie chodzi, gdybym któregoś dnia miała zwrócić się do jednego z nich, byłby nim Bóg, gdyż – proszę mi wybaczyć, szeryfie – wydaje mi się, że przestałam już wierzyć w ludzką sprawiedliwość, która nic dla mnie zrobić nie może.

Po tych słowach odwróciła się do niego plecami i powróciła do modlitwy.

## 12.

Śnieg pokrył całe południe stanu w ciągu zaledwie kilku dni. Wirował na wietrze, a w przytłumionym zbyt gęstymi chmurami światło wydawał się szary. Cały świat wyglądał tak, jakby wchodził w nową erę apokalipsy i popiołów, które opadały niestrudzenie, usiłując zdławić cywilizację. Pewnego wieczoru wyłączono prąd, przez co mieszkańcy, ogarnięci pierwotnymi lękami, nabrali zwierzęcych odruchów. Włączono go dopiero dwa dni później. Gromadzono się przy brzuchatych piecach, a w ciągu dwóch nocy wypalono więcej świec niż we wszystkich kościołach hrabstwa przez miesiąc. W Carson Mills wiedziano, że dziewięć miesięcy później będzie więcej narodzin niż zazwyczaj, zawsze tak się dzieje podczas zaciemnienia. Jarvis obawiał się, że ta ciemność będzie sprzyjać gwałcicielowi szalejącemu w mieście. Później, żeby dodać sobie otuchy, zerknął przez okno na świszczącą zamieć i tworzące się zaspę: nawet najbardziej perfidna istota nie wyjdzie na zewnątrz przy podobnej pogodzie.

Szeryf wiele myślał o swoich sprawach. Po rozmowie z Ezrą Monroe nie wątpił już, że ma do czynienia z sadystą, seryjnym gwałcicielem i z co najmniej dwiema ofiarami. To nie było byle co, nie szaleństwo jednego wieczoru, nie efekt pijaństwa, lecz czyn zboczeńca, co do którego szeryf miał obawy, że zrobi to ponownie. Czuł, że te zdarzenia, włącznie z popełnionym w międzyczasie zabójstwem Theresy Turnpike, są powiązane, choć nie potrafił określić, w jaki sposób. Ten, kto zamordował bibliotekarkę, nienawidził jej do tego stopnia, że ją oszpecił, a nawet rozgniół na jej czole papierosa. Ona nie została zgwałcona, lekarz sądowy stwierdził to kategorycznie. Nie znaleziono też żadnego innego niedopałka, ani w okolicy domu Mackiech, ani na terenie posiadłości Monroe'ów. A jednak zabójca Theresy nie ograniczał się w paleniu, szczególnie po popełnieniu zbrodni. Jarvis nie wiedział, co ma o tym myśleć. Theresa nie miała nic wspólnego z dwiema napadniętymi nastolatkami, różniła się od nich fizycznie i była w innym wieku, wykazywała się również innym stopniem wrażliwości psychologicznej. Pozostawał fakt, że cierpliwie wysłuchiwała dzieci

z miasta. Dzieci z problemami. Czyżby usłyszała coś albo odkryła? To nie do Louise albo Ezry trzeba się zwrócić, żeby się czegoś dowiedzieć. Jarvis już przeszukał biurko bibliotekarki, udał się też do jej domu, ale nie odkrył niczego interesującego.

W kolejny piątek, kiedy drogi znów były przejezdne, szeryf udał się do kościoła metodystów. Zastał pastora Alezzę siedzącego na przewróconym pniaku na podwórku, robiącego notatki do najbliższego kazania, otulonego w wełniany płaszcz i opary swojego oddechu w charakterze szala.

– Teraz jestem spokojny – powiedział na widok Jarvisa – bo skoro szeryf zdołał do mnie dotrzeć, nasz kościół nie będzie pusty w niedzielę.

– Proszę tak nie mówić, Aziel, nie przychodzę w niedziele ostatni!

– Nie mam złudzeń: gdyby nie Emma, czy przychodziłby pan równie często?

Jarvis zacisnął wargi, co uwydatniło jego wąsy, i już miał odpowiedzieć pewnym tonem, gdy nagle uświadomił sobie, że kłamanie duchownemu może nie być najlepszą rzeczą.

– Pracuje pastor na zewnątrz przy takim chłdzie? – spytał, żeby zmienić temat.

– To dobre na krew i pobudza myśli. Przyszedł się pan wypowiadać, szeryfie?

Zakłopotany Jarvis wzruszył ramionami.

– Nie, ale w tej kwestii, zastanawiałem się, czy...

Alezza odgadł, że to coś ważnego, i schował notes oraz pióro do kieszeni płaszcza, po czym zbliżył się do szeryfa. Był dość przystojnym mężczyzną zbliżającym się do czterdziestki, z cienkim przedziałkiem na boku rozdzielającym jego hebanowe włosy na dwie nierówne fale, o budzących zaufanie zielonych oczach i kwadratowym podbródku zawsze idealnie wygolonym. Złośliwe języki – głównie z obozu luterańskiego – lubiły powtarzać, że kościół jest pełen dzięki jego urokowi i nie przez przypadek wśród jego owieczek więcej jest kobiet niż mężczyzn.

– A zatem proszę mi powiedzieć, w czym mogę pomóc?

– Czy przypadkiem nie słyszał pastor ostatnimi czasy... o sprawach, które nie docierają do wszystkich uszu? Mam tu na myśli na

przykład wrażliwego wiernego, który odczuwałby potrzebę ulżenia własnemu sumieniu.

Alezza zmarszczył brwi.

– Tak bardzo brakuje panu tropów, że zwraca się pan do Kościoła?

– Zwracam się do człowieka, który pośredniczy między Bogiem a nami. Pomyślałem, że być może ktoś się pastorowi spowiadał...

– Wie pan doskonale, że gdyby tak było, nie mógłbym nic powiedzieć – uciał pastor. – Takie sprawy nie mogą wyjść poza akt spowiedzi.

Jarvis poczuł, jak gdyby jakaś jego część gwałtownie się zawaliła. Długo rozmyślał: mężczyzna, którego tropił, z pewnością był rozdarty między swoimi ponurymi żądzami i życzliwością, którą na pewno okazywał publicznie, by nie budzić podejrzeń. Podobne napięcie musi dręczyć sumienie, a cóż jest lepszego od Kościoła, by zrzucić część moralnego ciężaru? Bóg potrafił przebaczać nawet najgorsze uczynki, trzeba jedynie zwrócić się do niego i pragnąć się zmienić. Jarvis wiele sobie obiecywał po tej hipotezie.

– Nawet wyznanie zbrodni? – nalegał.

– Obawiam się, że tak.

– A gdyby chodziło o niegodziwy czyn, który tylko pastor mógłby powstrzymać, czy również nie mógłby pastor nic powiedzieć?

– Chodzi o pakt, który łączy nas z Bogiem, szeryfie. To tak jak z tajemnicą lekarską, nic nie pozwala lekarzowi wyjawiać jej bez zgody pacjenta.

Jarvis klasnął językiem.

– Czyli nie mógłby pastor niczego zrobić? Siedziałby u siebie i czekał, aż zbrodnia zacznie się szerzyć?

– No cóż... to sprawa między mną a moim sumieniem, ale w żadnym wypadku nie mogę pana powiadomić.

Jarvis pokręcił głową.

– Chwilami umyka mi logika tego wszystkiego.

– Czy uważa pan, że istnienie Boga jest logiczne?

Jarvis wziął głęboki wdech i zapatrzył się w alabastrowy pejzaż, który go otaczał. Można było się poczuć jak podczas Sądu Ostatecznego. Wszystko zastygło, otulone lodową powłoką, czy też całunem śnieżnym,



i pozostałoby w tym stanie na zawsze, gdyby wiosenne słońce już nie powróciło. Nawet odgłosy świata nie były normalne, stłumione przez śnieg.

– Nie okłamujmy się, wiemy to obaj: gdyby nie moja żona, a przede wszystkim moi chłopcy, zapewne nie wierzyłbym za bardzo w istnienie boskiej logiki, która nas przerasta. Ale mam dzieci i kocham żonę ponad wszystko, to prawda, i tylko dlatego nie potrafię nie wierzyć. Coś musi w tym być, musi być jakiś powód tego wszystkiego, jakaś ciągłość, taka lub inna. Musi być. Żebyśmy nie zwariowali.

– Tak jak pan mówi, trzeba wierzyć, owszem, ale z miłości.

Jarvis pociągnął nosem i odwrócił się do pastora.

– Rozumiem, że luteranina również obowiązuje tajemnica spowiedzi?

– Tak. A dlaczego, zamierza pan zmienić parafię?

– Nie, nie, dopóki będzie nas pastor od czasu do czasu rozśmieszał w niedziele. Chodzi o to, że... znam dziewczynę, która uczęszcza do kościoła luteranckiego i jestem niemal pewien, że opowiedziałaby to, co wie, pańskiemu koledze stamtąd.

– Dlaczego nie pójdzie pan raczej bezpośrednio do niej?

– Ponieważ ona nie chce ze mną rozmawiać.

– Niech czas zrobi swoje, szeryfie. Czas to Słowo Boże. Wystarczy umieć go słuchać.

W oddali zaskrzeczały lelki. Do tej pory były to jedyne odgłosy w promieniu kilometra.

\*

Szeryf prowadził pick-upa przez śnieg i musiał wielokrotnie manewrować, żeby nie wypaść z trasy, tak bardzo wóz się ślizgał. Nikogo nie minął po drodze, w końcu wcisnął gaz, żeby się wspiąć na wzgórze, na którym położona była posiadłość Petersenów. Armia powykręcanych dębów o pędach przypominających szpony wieńczyła szczyt pagórka, a wiele niższych gałęzi uginało się pod ciężarem śniegu, szorując po dachu samochodu jadącego drogą pod górę. Jarvis zaparkował przed drewnianą chatą, z której komina unosił się gęsty dym, długa czarna smuga wgryzała się w nisko zawieszoną powłokę chmur,

jak gdyby gospodarstwo usiłowało oderwać się od ziemi i odlecieć daleko stąd.

Szeryf zlustrował okolicę: szkielety drzew, zapasy drewna przykryte zaimpregnowanymi plandekami oczyszczonymi z puszystego płaszcza, rozchwierutaną szopę i to, co służyło za ogródek warzywny, obecnie skuty przez zimę. Nie było to złe miejsce do dorastania, choć nieco smutne, natomiast doskwierać mogło odosobnienie. Ale Jon Petersen wydawał się osobą ceniącą sobie samotność.

Zanim Jarvis zapukał do drzwi, zrobił małą rundę po gospodarstwie i zastał Jona na tyłach domu, siedzącego na resztkach połamanych włók, z papierosem w dłoni. Mimo skrzypienia śniegu pod butami szeryfa chłopak odwrócił się dopiero w chwili, kiedy Jarvis znalazł się przy nim.

– Dziadek nie uważa, że jesteś jeszcze zbyt zielony, żeby palić?

– Widział reklamy w czasopismach w mieście, które mówią, że od czasu do czasu to dobre dla zdrowia i lekarze to potwierdzają.

Jarvis skinął głową. W końcu, jeśli reklamy na to pozwalają, można im zaufać. Ci ludzie, eksperci, profesjonalści i lekarze, mają większą wiedzę niż banda kmiotów z wioski zagubionej na środkowym zachodzie. Jarvis odwrócił się w stronę, w którą spoglądał chłopiec. Pole opadało łagodnie na powierzchni ponad pięciu akrów, aż do granicy ciemnego lasu – przypominało olbrzymi dywan rozwinięty tu na pewien czas.

– Nie za długa ta zima tutaj? – spytał.

– Trochę.

– Co porabiasz w ciągu dnia, kiedy nie jesteś w szkole?

Po raz pierwszy Jon odwrócił się do szeryfa. Było w nim coś twardego, nie tylko cień otaczający jego czarne oczy, głębia i intensywność źrenic, która nadawała mu niemal dorosłe, szorstkie spojrzenie. Był dość wysoki jak na swoje piętnaście lat, kościsty, a cienkie, nieco brudne i przydługie włosy opadały mu na policzki niczym pazury.

– Czekam – odparł chłodno.

– Co to znaczy? Czym się zajmujesz?

– Po prostu nic nie robię.

– Siedzisz tu tak, z założonymi rękoma, paląc w oczekiwaniu na cieplejsze dni?

– Można tak powiedzieć.

Był to zdecydowanie dziwny chłopiec. Jarvis postanowił przejść na wyższy poziom.

– Lubisz zwierzęta, Jon?

– Niezbyt.

– Nigdy nie chciałeś mieć swojego psa?

– Nie.

– Dlaczego? Wszyscy chłopcy w twoim wieku chcą.

– Bo ich nie lubię. Czy to nie jest dobry powód?

– To twoje prawo. Nienawidzisz ich?

– Być może.

– To znaczy?

– Jeden mnie kiedyś ugryzł.

– Mocno?

– Porządnie, tak, kulałem potem przez co najmniej dwa tygodnie.

– Gdzie cię ugryzł?

– W łydkę.

– Nie, chodzi mi o to, gdzie się to wydarzyło.

– Przy starym młynie.

– Niedaleko Stewartów?

– Tak, chyba tam.

– Mieli kiedyś psa. Znałeś go? To on cię ugryzł?

– Nie wiem.

– A co robiłeś u Stewartów?

– Nie powiedziałem, że byłem u nich.

– Na ich posiadłości, na to samo wychodzi. Jeśli pies cię ugryzł, musiałeś być niedaleko gospodarstwa. Spotykałeś się z którąś z córek Stewartów?

– Nie. One nawet nie wiedzą, kim jestem.

– Więc co tam robiłeś?

– Sam już nie wiem. Spacerowałem.

– Lubisz samotnie wędrować po polach?

– Tak.

– Po co?

– Po nic. Żeby dać zajęcie nogom.

Jon wytrzymał spojrzenie szeryfa z rzadko spotykaną u nastolatków determinacją. Jarvis czuł się niemal nieswojo. Z tego co pamiętał, pies Stewartów zniknął jako jedno z pierwszych zwierząt.

– Wracałeś tam jeszcze później?

– Nie, nie sędzę.

– Nie sądzisz, czy jesteś pewien?

– Nie wiem.

– Nie wiesz, gdzie spacerujesz? W tym wieku tracisz już pamięć?

– Chodzę wszędzie, ciężko zapamiętać dokładnie gdzie.

Jarvis skrzywił się i westchnął głęboko, po czym wrócił do podziwiania krajobrazu rozciągającego się u ich stóp.

– Jon – rzekł już surowiej – czy przypadkiem nie zemściłeś się na tym psie?

– Nie.

Żrenice otoczone zielenią i siecią popękanych na zimnie naczynek przesunęły się na chłopca. Tym razem Jarvis wyostrzył spojrzenie, by wytrzymać intensywność wzroku Jona Petersena.

– Nie okłamuj mnie – rozkazał szeryf ciszej i chłodniej.

Jon wpatrywał się w niego, nieruchomy, zastygły w uścisku obręczy arogancji i obojętności.

– Sporo psów i kotów zaginęło w ciągu ostatnich tygodni w okolicy, nie masz z tym czasami czegoś wspólnego?

– Nie.

Odpowiedział, nie mrugnawszy nawet okiem, niemal przeciągając słowo, by nadać mu odpowiednią wagę. Jarvisa przebiegł dreszcz, choć nie wiedział, czy to z powodu zimna, zdenerwowania, czy też swego rodzaju niepokoju wobec tego, co odgadywał w owym przerażającym w swojej obojętności chłopcu. Po raz pierwszy ogarnęły go wątpliwości. Jon miał szesnaście lat, albo prawie, nie przypominał budową innych gospodarskich synów w jego wieku, a mimo to była od niego taka siła charakteru, że z pewnością lepiej było nie wpaść mu w ręce, kiedy był zły. Przekonał się o tym Tyler Clawson, nieszczęsny chłopak wciąż jeszcze nosił blizny po ich bójkę. Jarvis zaczął się zastanawiać, czy Jon

Petersen byłby zdolny zgwałcić kobietę. Czy osiągnął już ten wiek? Na pewno. Czy miał dość siły? Zapewne. Czy jednak był do tego stopnia zepsuty, by zakradać się do tych dziewcząt i zmuszać je do ulegania jego perwersyjnym żądom?

– Jon, znasz Mackiech?

– Nie.

– Żartujesz sobie? To twoi sąsiedzi!

– Ach, ci.

– Znasz ich córkę?

– Którą?

Bingo. A więc ich znał.

– Widzisz, wiesz nawet, że mają kilka córek. Nie cwaniakuj przy mnie. Dlaczego kłamiesz, co?

– Nie chcę kłopotów.

– Co zrobiłeś?

– Nic. Ale słyszałem, że u Mackiech miała ostatnio miejsce rozróżba.

– Co dokładnie wiesz?

– Nic konkretnego i nie interesuje mnie to. Nie chcę, żeby mnie oskarżono, to wszystko.

– Dlaczego ktoś miałby cię oskarżać?

– Kiedy w szkole czegoś brakuje albo zostaje wybita szyba, zawsze ja obrywam.

– Znasz wysoką ładną rudą?

– Nie powiedziałbym, że jest ładna.

– Znasz ją?

– Kojarzę.

– Ma na imię Louise. Powiedz mi, Jon, nie byłeś przypadkiem u nich któregoś wieczoru?

– Nie.

– Jesteś pewien?

– Pamiętałbym.

– Nie pociąga cię ta Louise? Nawet trochę?

– Wolałbym już pieścić zad maciory!

Jarvis zeszywniał. Chłopak wypowiedział te słowa z nienawiścią,

która odnosiła się nie tylko do Louise, ale do wszystkich kobiet – pomyślał, ale natychmiast nad sobą zapanował. Miał czasami tendencje do pochopnego oceniania. Mimo wszystko Jon przesadził, aż ociekał pogardą.

– A Monroe’owie, wiesz, o kogo chodzi, prawda?

– Nadziana rodzinka ze spółdzielni rolnej?

Szeryf skinął głową.

– Spotkałeś już ich córkę, Ezrę?

– Wszyscy wiedzą, która to.

– Ona jest ładna twoim zdaniem?

– Niezła.

– Zbliżałeś się już do niej?

– Ja? – zdziwił się Jon, jak gdyby chodziło o żart. – Ona nie rozmawia z wieśniakami.

Tym razem sprawiał wrażenie szczerego.

– W Carson Mills wszyscy się znają, na pewno już się kiedyś minęliście, prawda?

– Tak, ale dla takiej dziewczyny jak ona jestem nikim.

– Masz jej to za złe?

Jon zastanawiał się dłuższą chwilę, po czym wzruszył ramionami.

– Jakie to ma znaczenie? Każdy ma swoje problemy, nie?

– Pewnie masz rację – przyznał Jarvis. Teraz odnosił wrażenie, że nastolatek odpowiada szczerze.

O ile rodzina Mackiech mieszkała o rzut beretem stąd, o tyle do luksusowej posiadłości Monroe’ów trudniej było się dostać – Jarvis nie bardzo umiał sobie wyobrazić Jona wędrującego ulicami pięknej mieszczańskiej dzielnicy Carson Mills bez zwracania na siebie uwagi. Nie, to się nie kleiło. Chyba że był makiaweliczny, ostrożny i wyjątkowo dyskretny – nie można było jednak wymagać zbyt wiele od chłopca w jego wieku, nawet gdy chodziło o Jona Petersena.

Chłopak chciał zaciągnąć się papierosem, ale ten zgasł, obejrzał go więc i schował do kieszeni. Jarvis zdążył stwierdzić, że nie był to herbert tareyton. Wiedział, że od Jona nie dowie się już niczego więcej na temat zwierząt i gwałtów, a mimo to nie potrafił zakończyć rozmowy.

Pomyślał o Theresie Turnpike. Dlaczego akurat ona została

zamordowana? Skąd wzięła się taka wściekłość wobec tej nieszczęsnej kobiety? Jej zabójstwo oraz dwa gwałty były za bardzo zbliżone do siebie w czasie, by szeryf nie dostrzegł między nimi oczywistego związku. W Carson Mills poważne sprawy dało się zliczyć na palcach jednej ręki na przestrzeni dziesięciolecia – teraz było ich zbyt wiele, by nie były ze sobą połączone. Ale jak w to wszystko wmieszała się Theresa? Zbierała zwierzenia dzieci, nastolatków w tarapatach – to najbardziej oczywisty klucz. Coś wiedziała. Chyba że coś *zrobiła*. To pytanie dręczyło Jarvisa. Owa wątpliwość mu przeszkadzała, nie mógł się z nią w pełni pogodzić, musiał ją zgłębić. Szukał słów, by wyrazić się jak najlepiej, gdy jednak nie udało mu się ich znaleźć, ograniczył się do zadania Jonowi pytania:

– Znasz Theresę Turnpike, prawda?

– Tę, która nie żyje? Tak, wszystkie dzieci w Carson Mills ją znają. Została zamordowana, prawda? Wie pan w jaki sposób?

Pytanie zaskoczyło Jarvisa. W ciągu ostatnich dni, kiedy wspominał o zabójstwie bibliotekarki, ludzie pytali, kto był sprawcą, ewentualnie dlaczego to zrobił, ale nigdy w jaki sposób. Położył to na karb ponurej ciekawości.

– Byłeś kiedyś u niej, Jon?

– Nie.

– Ani razu?

Chłopak kategorycznie pokręcił głową.

– Słyszałeś o niej w szkole? Mówiono o niej same dobre rzeczy?

– Chyba tak.

– Nigdy... – Jarvis był zakłopotany własną ciekawością, ale musiał zbadać również i tę ewentualność dla dobra swojej pracy, wciąż to sobie powtarzał, zmuszając się do działania i zwerbalizowania myśli – nigdy nie słyszałeś na jej temat niczego podejrzanego? Chłopcy i dziewczęta, którzy do niej chodzili, nie opowiadali nic... *dziwnego*?

– Nie, chyba nie.

Jarvis skinął głową z ulgą. Chociaż żył na odludziu, nie był mimo wszystko idiotą. Zbyt dobrze znał ludzką naturę, aby wiedzieć, że czasami nawet najlepszej z istot może się powinąć noga – więc do czego były zdolne te najgorsze? Nie podobała mu się ta myśl, ale musiał

wyeliminować hipotezę, że zdesperowana samotnością Theresa straciła nad sobą kontrolę w obecności któregoś ze swoich małych podopiecznych. Nic na to nie wskazywało, ale sprawdzenie tego tropu było konieczne.

Potał dłonie, żeby je rozgrzać. Zaczynał zapuszczać tu korzenie.

– Dobrze, chyba już pójdę. Ostatnia sprawa, Jon. Sporo zwierząt zaginęło w okolicy.

– Już pan o tym wspominał, szeryfie.

– Miej oczy szeroko otwarte, jeśli coś zauważysz, daj mi znać, dobrze? Ja też skupię uwagę na tym problemie. Nie chcemy, żeby to dalej trwało, prawda? Ty i ja będziemy wyjątkowo czujni.

Dwaj mężczyźni przypatrywali się sobie z tą samą groźną determinacją, dwie pary pustych źrenic znajdowały się na równej linii.

– Może pan na mnie liczyć – rzucił Jon, niemal wbrew sobie.

Jarvis, raczej skłonny do kontaktu fizycznego, nie poklepał chłopaka po ramieniu, nawet nie miał na to ochoty, jak gdyby najlżejszy dotyk mu przeszkadzał. Odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę pick-upa, nie zauważywszy, że stojący przy oknie Ingmar niczego nie stracił z ich spotkania.

Jarvis jechał z powrotem ostrożnie, dwukrotnie jednak niemal wypadł z trasy i prawie wylądował w rowie. Miał dość tych niekończących się zim, dość przenikającego do szpiku kości chłodu. Zima stwarzała same problemy, od lat rozmyślał nad przeprowadzką na Południe, tylko na czas od listopada do marca, wiedział bowiem, że za bardzo kocha swoje miasto, by opuścić je na zawsze, ale już i tak owe pięć miesięcy wiązało się z przejściem na emeryturę, a na ten krok wciąż jeszcze zdecydować się nie potrafił. Bolały go stawy, co rano strzelało mu w plecach, a kark był sztywniejszy niż transparent niesiony podczas strajku przez Jimmy'ego Hoffę we własnej osobie. Poza tym lubił ponad wszystko czuć łagodne ciepło słońca na skórze, nagrzewać się powoli wśród piaszczystej bryzy, w bujanym fotelu, z chłodnym piwem korzennym między udami. Optował za Południem, Arizoną albo Florydą, choć ta ostatnia wydawała mu się zbyt wilgotna latem. Tak, pewnego dnia będzie trzeba zdecydować się na skończenie ze wszystkim, by móc zabrać Rosie do Phoenix albo do Tallahassee,



choć ona nie chciała nawet o tym słyszeć. Jej życie toczyło się tutaj, niezależnie od klimatu. Nigdy nie rozważała spędzenia emerytury na lepszych szerokościach. Zakładając, że któregoś dnia zdoła przekonać samego siebie do zrezygnowania z piastowanej funkcji, będzie musiał wybierać między ciepłym Południem a oszronionym hrabstwem Sumner i swoją żoną, chyba że przełamie jej upór.

Jarvis Jefferson zacisnął dłonie na kierownicy, jego oddech topił lodowe kryształki na przedniej szybie. Ostatnie kilometry dzielące go od domu pokonał, przeklinając śnieg – z tej zimy wyniknie jeszcze wiele incydentów, z powodu których Bennett i Doug będą musieli wielokrotnie interweniować.

Kiedy przekroczył próg kuchni i zobaczył żonę, która obierała ziemniaki przy przykrytym ceratą stole, słuchając The Marvelettes w radio, i która uniósłszy na niego oczy, uśmiechnęła się, wszystkie zimy świata zostały przegnane na wieki.

### 13.

Z kolei Jon Petersen przez długi czas uważał, że ta zima była najcieplejsza w jego krótkiej piętnastoletniej egzystencji. Nigdy nie zapomniał owego poranka, gdy on i szeryf dyskutowali, wpatrując się sobie w oczy, i poczuł osobliwy dreszcz, wybuchową mieszankę lęku i satysfakcji, kiedy stwierdził, jak łatwo jest okłamywać uosobienie autorytetu tego kraju. Nie dać się złapać dawało niemal tyle przyjemności co chwila, gdy czuł pod sobą dziewczynę, miał nad nią pełną kontrolę i rozpinał spodnie, żeby wydobyć członek. Lubił tę krótką fazę przejściową. I to bardzo. Gdyż w rezultacie cała reszta okazała się poniżej jego oczekiwań. Nigdy nie przeżył ponownie pełnej rozkoszy, jakiej dostarczył mu tyłek jego ciotki Hanny. Żadna inna nie miała cipki gorętszej niż piekło.

Kilka tygodni później Jon rzucił szkołę, zrozumiał, że system nie jest dobry, nie jest dostosowany do takich jak on, do oryginałów. Oznajmił jednak swoją decyzję dziadkowi dopiero wtedy, gdy znalazł sobie pracę w Mo's, w dziale rzeźniczym, w głębi sklepu. Jego zadaniem było pojawianie się wcześnie rano i pomaganie przy wyładowywaniu martwych zwierząt, a następnie dzielenie ich zgodnie z poleceniami Caspra Van Dilowa, rzeźnika, a także czyszczenie narzędzi, pniaków i mycie kafelków od podłogi aż po sufit. Najbardziej jednak lubił, kiedy Casper rzucał mu kij baseballowy i przykazywał „ubijać ochłapy”. Jon stawał naprzeciw tuszy zawieszanej na haku i walił w mięso wśród tępego hałasu, aż pot zaczynał spływać mu na pięty, aż dostawał zadyszki, aż chwiał się z wycieńczenia. Casper twierdził, że na tym polega tajemnica najlepszych hamburgerów w całym hrabstwie – mięso dobrze rozmiękczone uderzeniami, po czym zazwyczaj dodawał z porozumiewawczym uśmiechem: „Całe szczęście, że to się nie sprawdza z kobietami!” i wybuchał sprośnym śmiechem, który intrygował Jona. Chłopak był niezrównany w zmiękczeniu mięsa, jako jedyny wkładał w to zajęcie tyle serca i pasji. Najbardziej lubił suchy trzask, jaki wydawał kij uderzający w lśniącą skórę, słyszał też efekt ciosu głębiej, w mięsie, dźwięk trochę bardziej niewyraźny, cięższy,

odbijający się mniejszym echem od metalowych ścian chłodni, dźwięk, w którym można było odgadnąć martwienie tkanek, rozdarcie mięśni i setek maleńkich żyłek – cała ta niewidzialna praca powtarzająca się całymi godzinami zmieniała się w pulsującą muzykę. Przez kilka miesięcy Jon uwalniał ciśnienie dzięki martwemu mięsu. Mogło gromadzić się do woli, potrafił pozbyć się go, zarabiając przy okazji kilka banknotów.

Jon wrócił raz do szkoły, tuż przed wakacjami, na święto z okazji zakończenia roku. Poszedł tam, żeby zobaczyć wszystkich, których opuścił siedem miesięcy wcześniej, ponabijać się raz jeszcze z nauczycieli, ale przede wszystkim z powodu darmowych pysznych ciasteczek i słodkich soków owocowych. Wręczano różne nagrody: za koleżeństwo, za osiągnięcia sportowe, wyniki w nauce oraz najważniejszą, dla „zasłużonego ucznia” z najwyższą średnią ogólną – wszystkie nagrody, do których Jon nigdy nie mógł rościć sobie prawa, „ponieważ system został źle zorganizowany”, co powtarzał każdemu.

Tego roku zaszczytny medal przypadł Richardowi Boccettiemu, „synowi makaroniarzy”, jak mawiał Jon i inni mniej delikatni chłopcy. Nie był złym kumplem, Jon znał go dobrze, bo chodził z nim do jednej klasy i Richard zaproponował mu nawet pomoc, kiedy pojął, że jest zagrożony z matematyki, a potem z angielskiego, aż wreszcie uświadomił sobie, że nie orientuje się w większości przedmiotów. Ale Jon był zbyt dumny, żeby się zgodzić, poza tym nie interesowało go to. Richard podchodził do szkoły bardzo poważnie, wygłaszał dość idiotyczne i uciążliwe przemowy, twierdził, że nauka jest „jedyną trampoliną społeczną godną tego kraju”. Był w gruncie rzeczy miłym gościem, Jon nie mógł temu zaprzeczyć, ale nieco męczącym ze swoją naiwnością, widzącym szklankę zawsze do połowy pełną, obdarowującym wszystkich swoimi pełnymi nadziei i sukcesu przesłaniami. Jego jedyną głośną porażką były dziewczyny. Miał idealnie ścięte włosy, nosił okulary w grubych oprawkach i nieskazitelnie wyprasowane koszule, przez co bardziej przypominał jednego z tych Irlandczyków wyszykowanych na renomowany uniwersytet na wschodnim wybrzeżu i realizujących w końcu błyskotliwą, modną ostatnio, karierę polityczną niż syna włoskich

imigrantów, wychowanego w zapadłej mieścinie. Nie miał w sobie ani kpiny ojca, ani wdzięku matki; w kwestii uwodzenia ocierał się o neurastenię. Ale tego dnia, widząc go dumnego w swoim najładniejszym swetrze, przestępującego z niecierpliwością z nogi na nogę w oczekiwaniu, aż wezwą go na estradę, Jon odgadł, że Richard zdobędzie punkty wśród kobiecego gatunku. Ponieważ dziewczęta były jak komary, zawsze ciągnęły do światła, nawet kosztem spalonych skrzydeł, gotowe skończyć jako owadzi karmel – myślał, wykrzywiając wargi w uśmiechu – to było silniejsze od nich: kiedy jakiś mężczyzna wspinał się odrobinę wyżej niż pozostali, ożywiały się jak podlotki na widok jabłka w polewie na dorocznym jarmarku w Wichicie.

Richard Boccetti był tak zdenerwowany, że wypił kilka szklanek lemoniady, chcąc nawilżyć sobie gardło, ale ono i tak natychmiast znów wysychało; za nic nie chciał bełkotać, dziękując nauczycielom i kolegom, to była apoteoza jego młodego życia, chwila, która zapadnie mu w pamięć na zawsze i nie chciałby musieć żałować, że nie udało mu się stanąć na wysokości zadania. Ale gdy po kolei wzywano laureatów wyróżnień z matematyki, historii i angielskiego, Richard poczuł nagłą potrzebę skorzystania z toalety. Miał jeszcze trochę czasu. Wszedłszy do ubikacji w celu opróżnienia pęcherza, nie zauważył, że Jon Petersen korzysta z pisuaru obok.

– Wszystkie dziewczyny będą teraz miały na ciebie ochotę, wiesz?  
– rzekł ten ostatni.

– Och, Jon! Kopę lat! Dlaczego nie przychodzisz już do szkoły?

– Wolę pracować, przynajmniej płacą mi za przebywanie w zamknięciu przez cały dzień.

– To, co powiedziałeś... naprawdę tak myślisz?

– Że dziewczyny nie będą świata poza tobą widziały? Na pewno! Jeśli się postarasz, nawet zaliczysz kilka przez lato. Masz auto?

– Nie, jestem za młody, a poza tym nie mam pieniędzy.

– Ja pracuję, żeby sobie właśnie jakieś kupić. Mam skończone szesnaście lat i codziennie oszczędzam. Ech, w gruncie rzeczy to nie ma znaczenia, przy tym całym świetle reflektorów, jakie skupi się na tobie, będziesz lśnił tak, że dziewczyny pozwolą się zaliczać nawet w biały dzień pośrodku lasu.

Richard nie mógł uwierzyć w to, co słyszał. Zapierało mu dech w piersiach. Nagle poczuł coś ciepłego i wilgotnego na nodze i uświadomił sobie, że Jon właśnie na niego sika.

– Zresztą wkurza mnie, że tak je przyciągasz – przyznał swobodnie młody Petersen, polewając starannie Richardowi dół jego pięknej koszuli.

Richard był tak oszołomiony, że nie mógł się poruszyć. Jon zasunął rozporek i poklepał chłopaka przyjacielsko po ramieniu.

– Wybacz, kapnałem nieco na twoje napastowane buty.

Na zewnątrz, wśród gromkich oklasków, przez mikrofon wywoływano nazwisko Richarda Boccettiiego.

– Nadeszła chyba godzina twojej chwały – powiedział Jon, wypychając chłopca z toalety.

W ciągu dziesięciu sekund tłum zlokalizował laureata – wahadłowe drzwi znajdowały się tuż obok estrady – rozległy się głosy zachęcające go do wspięcia się po stopniach, gdy nagle zauważono, że jest cały przemoczony i że idzie zdegustowany, jak gdyby narobił w gacie. Dały się słyszeć upokarzające okrzyki. Potem głosy zamilkły, usta ułożyły się do oszołomionych „ochów”, dłonie zaczęły wyciągać kpiąco palce, a po chwili wszyscy śmiali się radosnymi „ha, ha” i „he, he”, drwiąc z zasikanego Richarda, jak od tamtej pory zaczęto go przezywać.

Richard Boccetti nigdy się nie pozbierał. Całe lato siedział zamknięty w domu i odmówił powrotu do szkoły w ostatnim roku nauki, przekreślając swoje szanse na uniwersytet. Znalazł pracę w biurze księgowym, po czym wyjechał z Carson Mills do Wichity, gdzie chwycił się różnych drobnych prac. Nikt nigdy się nie dowiedział, że nieoczekiwany zwrot, jaki dokonał się w jego życiu, które niejeden określiłby „przegranym”, został spowodowany gestem zazdrości w szkolnej toalecie. Nasze losy zależą czasami od drobnostki, Richard stanowił tego dobitny przykład, a Jona Petersena, jak w wielu innych przypadkach, nigdy z tego powodu nie niepokojono.

Tak jak to oznajmił Richardowi, Jon ciężko pracował na zakup pierwszego samochodu. Mimo iż połowę zarobków przekazywał Ingmarowi, co szybko ugasiło złość starego gospodarza związaną z porzuceniem szkoły, już w pierwszym tygodniu lipca był w stanie

zafundować sobie kilkuletni kabriolet coupé plymouth belvedere w kolorze spłowiałej żółci, z licznymi śladami rdzy i popękaną skórą na siedzeniach, jednak z silnikiem, który mrucał jak za najlepszych czasów. Samochód ten był jego zbawieniem, jego pierwszą prawdziwą zdobyczą; za każdym razem, gdy do niego wsiadał, żeby poczuć zapach starej skóry, i kiedy przekręcał kluczyk, żeby wsłuchać się w jego pomruk, nie mógł przestać myśleć o tysiącach uderzeń kijem baseballowym wymierzonych w wiszące na hakach tusze i rozpierała go duma. Opłacił ten samochód potem swojej nienawiści. Jon spędzał w nim tyle czasu, że ci, którzy widywali go zjeżdżającego ze wzgórza, twierdzili, że tego lata przemierzył więcej kilometrów niż wszyscy dostawcy mleka z całego miasta.

Jeździł dużo, po pierwsze, dlatego że lubił owo uczucie amerykańskiej wolności, a po drugie, chciał oddalić się od Carson Mills, zrozumiał bowiem poprzedniej zimy, że w domu nie zazna spokoju, że jeśli nadal ma zamiar spacerować nocą i podglądać, jak żyją inni ludzie, musi robić to tam, gdzie nikt nie będzie miał go na oku.

Od lipca do października Jon przemierzył niemal wszystkie możliwe drogi na południe od Kansas, był też w Oklahomie, a raz zapuścił się aż na północ Teksasu, w okolice Perryton, które ocenił jako bardzo interesujące ze względu na rodziny żyjące w przyczepach kempingowych. Po raz pierwszy widział coś takiego: przyczepy przerobione na domy mieszkalne o dużych oknach, przez które łatwo mógł obserwować toczące się w środku życie, siedząc w plymoucie przy zgaszonych światłach. Zdarzyło mu się oglądać kobiety z odsłoniętymi piersiami, a pewnego wieczoru zobaczył nawet współżyczącą parę, pochyloną nad wątlym stołem i dyszącą jak dwa śmieszne pieski.

W tym okresie Jon, bardziej podatny na zew asfaltu niż chłodni, coraz mniej sumiennie stawiał się w rzeźni w Mo's, aż ostatecznie stracił posadę. Początkowo brakowało mu okładania mięsa kijem, wyżywiania się, ale w końcu zrozumiał, że prowadzenie auta jest nawet lepsze, a przy tym znacznie mniej męczące. Jednak w miarę upływu tygodni zaczął odczuwać narastające w dole brzucha ciśnienie, jakby zagnieździły się tam jakieś poczwarki. Codziennie, kiedy kładł dłonie na białym plastiku kierownicy swojego belvedere, czuł, jak budzą się w nim motyle, coraz

liczniejsze i bardziej ruchliwe niż poprzedniego dnia. Nie zapomniał jednak o spojrzeniu szeryfa. Stary dureń o gęstych wąsach tańczących nad górną wargą lepiej niż gąsienica na słońcu nie budził w nim lęku, ale Jon wiedział, że to spryciarz, że przy najdrobniejszym wybryku dopadnie go. Chłopak robił więc co tylko w jego mocy, żeby się kontrolować, żeby tylko jeździć i patrzeć. Kiedy zrozumiał, że nie będzie mógł już dłużej powstrzymać ciśnienia, postarał się, żeby dać mu ujście daleko, w innym hrabstwie, a nawet w innym stanie.

Wierny swoim zasadom pamiętał, by zabrać ze sobą polny mak, taki sam, jaki zostawił na łóżku nieszczęsnej dziewczyny, silnie pachnącej blondynki, która płakała przez cały czas, gdy Jon się w niej rozlewał. Prawdę mówiąc, nie zasłużyła na mak, nie bardziej niż poprzednie, jej kwiatusek nie był czerwony, nie wypłynęła z niego krew, co mocno rozczarowało Jona, ale i tak nie potrafił zrezygnować z zaznaczenia swojej obecności makiem zerwanym poprzedniego dnia. Nie wiedział, czemu za każdym razem tak postępuje, może dlatego, że przypominało mu to ów słynny wieczór, kiedy wziął Hannę na drodze prowadzącej do gospodarstwa, a ona silnie na niego krwawiła. Jakaż to była rozkosz. Jaka uległość wobec jego męskości. Wobec jego siły. Aż do krwi! Jego pierwsze pełne spełnienie, najlepsze, najczystsze. Nigdy nie trafił na tylek równie dobry co jego ciotki. To wszystko wina diabła. On rozgrzał jej cipkę, prawdziwie piekielną cipkę. Jon na próżno szukał, nigdzie nie mógł znaleźć równie gorącej; we wszystkich sąsiadujących z Carson Mills hrabstwach i jeszcze dalej znajdował tylko smutne pochwy na spernę, które wypełniał, stękając, tyleż z powodu mechanicznych orgazmów, ile w wyniku narastającej frustracji spowodowanej brakiem szczęścia. Czuł wyraźnie, że na dodatek stawał się coraz bardziej gwałtowny. Brzydsko pachnącą blondynkę w przyczepie kempingowej trochę pobił. Najpierw, żeby się zamknęła, trochę w trakcie, bo nie dawała nic od siebie, a na koniec, kiedy wysunął się z niej rozczarowany zbyt luźną pochwą. Jon obawiał się, że porażki uczynią go zgorzkniałym, a za nic nie miał ochoty skończyć jak jego dziadek, z sercem suchym jak stara śliwka w upalny dzień. Skoro nie mógł znaleźć cipki godnej piekieł, musiał wyleczyć się ze swojej obsesji. Był na to tylko jeden sposób: musiał się ustatkować. Znaleźć sobie

dziewczynę, prawdziwą, godną jego, założyć rodzinę i na zawsze zapomnieć o tym, co pozostanie wielką chwilą jego młodości. W gruncie rzeczy, czyż nie były to tylko fantazje: odzwierciedlenie jego młodzieńczych, niezaspokojonych potrzeb?

Pod koniec lata Jon podjął decyzję. Chciał się stać mężczyzną. Pozostało mu tylko znaleźć kobietę, która pomoże mu się spełnić.



## 14.

Przez kolejne cztery lata Jon Petersen zachowywał się poprawnie, w każdym razie w stosunku do dziewczyn z makami, gdyż jeśli chodzi o resztę, nie zmienił się wcale we wzór cnoty. Znalazł sobie pracę w Wichicie; potrzebował przestrzeni, a przede wszystkim odrobiny anonimowości, zatrudnił się więc w pralni przemysłowej, co było niemal podświadomą metodą na zmywanie fantazji, która całkiem dobrze się sprawdzała. Kiedy zaczynał odczuwać upijające ciśnienie, udawał się w okolice dworca i wybierał którąś z prostytutek czekających na klienta w zadymionych barach; najczęściej nie kłopotał się nawet zaciąganiem jej do jednego z nędznych pokoi hotelowych, wystarczyło mu tylne siedzenie samochodu, gdzie wciskał takiej swoją zlewkę ciśnienia do ust i przygniatał kark, dopóki nie zaczynała dławić się olbrzymią ilością jego soków. Zazwyczaj musiał dorzucić do rachunku kilka banknotów, żeby wynagrodzić brutalność swojego finału, ale szybko nauczył się dobierać dziewczyny: najbardziej zdesperowane, zazwyczaj najmłodsze, a także te, których spojrzenie błędziło w innej rzeczywistości, ćpunkci gotowe na wszystko, byleby mieć za co kupić sobie kolejną dawkę. Te dusiły się jego włóczęgią wciśniętą w szparę głośni, jego spermą spływającą bezpośrednio do gardła, ale nic nie mówiły. To odróżnia istotę ludzką od wraku: brak godności, by zaprotestować.

Nie było to piękne, niemniej jednak Jon nie chciał ryzykować pójścia do więzienia, więc na pewien czas się dostosował. Usiłował też mieszkać w jednym miejscu, w wilgotnym mieszkaniu przy Arkansas River, lecz hałas, sąsiedztwo rodzin imigranckich i cena, jaką musiał za nie płacić, sprawiły, że ostatecznie wrócił do Ingmara i ciotki Rakeł. Codziennie rano jechał blisko godzinę do pralni i drugie tyle wieczorem; lubił siadać za kierownicą, nie przeszkadzało mu to, nie w tych czasach, kiedy galon benzyny kosztował mniej niż galon mleka.

Wieczorami Jon szedł pić do barów, w których unosił się cierpki zapach. Uważał, że miasto wzmaga uczucie samotności – te wszystkie istnienia, te wszystkie światła uwydatniały to, kim człowiek nie był albo czego nie miał; tak mało równości społecznej – czuł się jak wygłodniały

kloszard wrzucony do sklepu bez jednego dolara w kieszeni, i chociaż jego żołądek regularnie się napełniał, inaczej rzecz miała się z duszą. Wchodził więc i od razu opierał się o kontuar w barze, uciekał przed oślepiającymi światłami cywilizacji z płyty gipsowej, szukał cienia wśród alkoholowych oparów kilku piw i kończył najczęściej w mroku rozpusty. Gdy miał lepsze dni, wyjścia te często kończyły się bijatykami, pijaństwo bowiem wyzwalało w nim – delikatnie mówiąc – złość. Jon nieraz budził się na posterunku policji i tracił poranki w pralni, ale że dobrze pracował, przełożeni ograniczali się do odjęcia mu kilku dolarów z tygodniówki i dla zasady prawili kazania.

W naturze Jona leżało szukanie słabości. Każda istota ludzka rodzi się lub dorasta, rozwijając pewne zdolności w zależności od charakteru, doświadczeń i żądy. Większość ludzi, ogólnie rzecz biorąc, radzi sobie całkiem dobrze, inni kompensują braki szczególnymi talentami. Jon w wielu dziedzinach radził sobie słabo, poczynając od umiejętności współżycia w grupie, jednak nie było mu równych, gdy chodziło o wyłapywanie cudzych słabostek. Był trochę jak dzikie koty na sawannie, które wypatrują słabych lub zmęczonych osobników w stadzie i na nich skupiają się podczas polowania. Niewiele czasu minęło, by przykleił łatki każdemu z pracowników pralni, zapisując w głowie informacje o szczelinach, przez które mógłby dostać się do nich i ich złamać. Powoli nauczył się wywierać presję na najsłabszych, nastawiać jednych przeciwko drugim, a czasami, wyłącznie dla własnej przyjemności, upokarzał tego lub owego, gdyż dawało mu to poczucie, że jest potężny, lepszy od nich, że po prostu istnieje. Niektórzy nie mieli żadnej osobowości i tych łatwo było zdominować autorytetem i kilkoma policzkami; tchórzy traktował kijem służącym do zawieszania sznurów na wysokich drążkach i ich ściągania; tych zbyt głupich, żeby mieć się na baczności, którzy powierzyli mu jakąś tajemnicę, trzymał za jaja; a nierobów mógł wydać przełożonemu, żeby samemu zyskać w jego oczach. W krótkim czasie Jon stworzył sobie dwór uzależnionych od siebie sługusów i codziennie przywłaszczał sobie niewielką część ich wysiłku, by utrzymać status najbardziej efektywnego pracownika. W rezultacie nienawidzono go równie mocno, jak się obawiano, i ciężko było zliczyć układy mające na celu uniknięcie trafienia na tę samą

zmianę co Jon Petersen. Dla niego jednak najważniejsze było to, czy docenią go szefowie, dlatego też liczył się tylko rezultat.

Przez cztery lata szukał dziewczyny zdolnej wyprowadzić go raz na zawsze na dobrą drogę, wyzwolić go w pełni od ciśnienia, nie znalazł jednak żadnej, która sprostałaby temu zadaniu. Ani w pralni, ani w barach, ani na zabawach tanecznych. Jak gdyby taka w ogóle nie istniała. Wypróbował oczywiście kilka, przy których zachowywał się dość kurtuazyjnie, na tyle, na ile było to możliwe w wypadku Jona Petersena: podrywał je zgodnie z zasadami, zabierał do kina Miller albo do restauracji u Sandy, gdzie hamburger kosztował tylko pięćdziesiąt centów (rzadko w oba te miejsca, wyboru dokonywał w zależności od swojego nastroju i stanu żołądka), żadna jednak nie miała cipki godnej płonącego w nim piekła. Zbyt pruderyjne, zbyt gadatliwe, zbyt brzydkie, zbyt wystraszone jego seksualną brutalnością – zawsze coś było nie tak z tymi dziewczynami. Jon zaczynał już tracić nadzieję, kiedy spotkał Joyce Flanagan. Wydarzyło się to jakby poza czasem, zupełnie niespodziewanie, podczas przepełnionego obowiązkami tygodnia, gdy postanowił spędzić kilka nocy w Wichicie i wstąpił do jednej z pralni samoobsługowych, jakie znajdowały się w każdej dzielnicy.

Zazwyczaj, gdy miał potrzebę wyprania własnych rzeczy, Jon używał ukradkiem produktów z pralni, w której pracował (robił to za niego jeden z jego podwładnych), ale od pewnego czasu przełożony miał go na oku, zapewne zaczynał coś podejrzewać, dlatego Jon starał się nie wychylać. Tego wieczoru wszedł do Potter Laundry-Bar i napełnił bęben maszyny ubraniami z dnia poprzedniego i z obecnego, by następnie boso, w samym podkoszulku i jeansach udać się do kontuaru na kilka piw Lone Star. Ten rodzaj miejsc sprzyjał zabawnym sytuacjom, gdy część klientów czekała z butelkami w dłoniach i w skąpych strojach; kobiety, bardziej pruderyjne, zachowywały przyzwoitszy strój, jak to miało miejsce w przypadku dziewczyny, która usiadła na stołku obok Jona. Była to drobna blondynka o niesfornych lokach wymykających się z koka, o wysokim czole, jasnej cerze i wielkich zielonych oczach lalki, których koloru Jon nie zauważył z początku w ciemnym wnętrzu, a przede wszystkim o zadartym nosku nadającym jej twarzy buntowniczy wyraz oraz o wydatnych wargach proszących o pocałunek.

Jonowi od razu wydała się cudowna. Biła od niej kruchość, która niemal go wzruszyła, co nigdy wcześniej mu się nie zdarzyło na widok kobiety ani – prawdę mówiąc – jakiegokolwiek innej istoty ludzkiej.

Kiedy się do niej odezwał, musiał trzykrotnie się poprawiać, po pierwsze, żeby się nie jąkać, a po drugie dlatego, żeby uwierzyła, że zwraca się właśnie do niej. Jon nie był przystojny, ale cztery lata spędzone w Wichicie wyrzeźbiły jego rysy tak, że wydawał się nieco starszy niż był w rzeczywistości, a przez to nabrał więcej wdzięku. Nie potrafił tak naprawdę flirtować, nie miał talentu do rozśmieszania ani do opowiadania historii, dzięki którym pojawiał się błysk w oczach dziewczyn, nie umiał też ukrywać swoich wad i eksponować zalet. Miał jednak instynkt drapieżcy. I rozpoznał słabości Joyce Flanagan z większą łatwością niż ktokolwiek inny wcześniej. Zrozumiał, nie potrafiąc tego wyjaśnić, że jest to dziewczyna chorobliwie nieśmiała, odgadł, iż nie zdaje sobie sprawy ze swojej urody, uważa się wręcz za brzydką, że jest zagubiona w mieście, zagubiona w życiu, a samotność zaczyna ją powoli wytrącać z równowagi. Innymi słowy, Joyce była rozbitkiem pośrodku oceanu w czasie burzy świata, któremu codziennie musiała stawiać czoło. Jon dostarczył odpowiedzi na każdą słabość, poprowadził rozmowę, nie naciskając, komplementował jej urodę, okazał troskę, siłę, niemal autorytarność, by mogła się na nim wesprzeć, i wkrótce dziewczyna ujrzała w nim stabilny okręt, na którym mogła się schronić.

Joyce Flanagan nie zaznała wiele szczęścia w życiu – a ci, którzy znali Jona Petersena, jak wy czy ja, mogliby stwierdzić, że spotkanie go nie należało również do szczęśliwych zdarzeń. Córka kaznodziei alkoholika, który uciekł z domu, kiedy miała dziesięć lat, dorastała przy niepanującej nad sytuacją i depresyjnej matce, między udami której osiedlił się w końcu wędrowny handlarz. Kiedy te okazały się nieco zbyt jałowe jak na jego gust, wielokrotnie podejmował próby rozszerzenia swojego terytorium, zawijając do „moczarów Joyce”, jak lubił je nazywać. Dziewczyna się nie dawała i, zmęczona apatią matki i coraz gwałtowniejszymi napaściami ojczyma, pewnego ranka wyruszyła w drogę na północ, opuściła Missisipi, znalazła pracę w gorzelni w Tennessee, po czym uciekła stamtąd, jak została nieomal zgwałcona przez szefa. Joyce korzystała z pomocy pastorów i z gościnności

mieszkańców małych miasteczek. Ci czasami w zamian za drobną pomoc wymagali od niej cielesnej kompensaty, ale jej odmawiała. Przemierzyła autostopem dwa stany, również ryzykując napaści, a swoje ocalenie zawdzięczała pomyślnej gwiazdzie i sprawnej parze nóg zdolnych nieść ją szybko na długich dystansach. W Tulsie, w schronisku YWCA, spotkała Candice Coppens, młodą instrumentalistkę przekonaną o swoim talencie godnym gwiazdy. Ta pociągnęła ją za sobą w drogę, z gitarą w rękę, mianując swoją powiernicą, pierwszą fanką i przyszłą menedżerką, kiedy już jej kariera się rozwinie. Joyce była z tego dość zadowolona, przede wszystkim dlatego, że muzyka Candice nie była nieprzyjemna, a po drugie, podróżowanie we dwie okazało się mniej uciążliwe i niebezpieczne. Candice częściej występowała na ulicy niż na scenach barów, ale w końcu dziewczyny wylądowały w Wichicie, gdzie spotkały dwóch „producentów”, którzy użyli wobec nich całej swojej siły przekonywania. Prawdę mówiąc, pierwszy usiłował przede wszystkim zbałamucić Joyce, gdy tymczasem drugi uwodził Candice. Wobec braku wsparcia ze strony towarzyszki Joyce zdystansowała się, Candice natomiast zaczęła się zakochiwać w Gordonie. Mężczyzna okazał się takim samym producentem, jak i ona, ale znalazł inny sposób na obudzenie jej marzeń: uzależnił ją od narkotyków, które wkrótce sprawiły, że trafiła na ulicę. Jonowi komiczna wydała się myśl, że być może zazał rozkoszy, spuszczając się w usta tej dziewczyny, nie wiedząc, że wkrótce spotka jej była najlepszą przyjaciółkę.

Joyce zwierzyła się Jonowi, że kiedy dorastała w Missisipi, nie podejrzewała, iż świat jest tak surowy, a mężczyźni tak opętani, ponieważ niemal wszyscy usiłowali osiąść ją siłą. Nie tak sobie wyobrażała życie miłosne i była mocno rozczarowana, codziennie jednak uczyła się rezygnować z marzeń prostodusznej dziewczyny. Kiedy przyjmowała piwo, które Jon kupił jej przy barze pralni samoobsługowej, przyznała z dumą, że hartuje się w zetknięciu z wielkim miastem i jego zwyczajami, by nie płakać już równie łatwo jak dawniej. To wywarło duże wrażenie na gospodarskim wnuku, Jonie Petersenie. Widocznie w głębi duszy, tam, gdzie zazwyczaj mieszczą się nasze najśłodsze wspomnienia z dzieciństwa, pozostała jeszcze odrobina nadziei, ostatnia nić romantyzmu, której Joyce nie potrafiła zerwać.

Od kilku miesięcy Joyce pracowała jako sprzedawczyni w Henry's, w dziale bieliźniarskim, i wynajmowała maleńkie umeblowane mieszkanie w jednej ze wschodnich dzielnic. Nie było to może lekarstwo na wszystkie problemy, ale po raz pierwszy od dwóch lat miała odrobinę stabilności, dach nad głową i pieniądze na kupno jedzenia. Skończyła wyznaniem, że mimo wszystko czuje się straszliwie samotna, odkąd straciła wszelki kontakt z Candice. Wszystko opowiedziała z południowym akcentem, który ostatecznie oczarował Jona.

Trzy tygodnie po pierwszym spotkaniu poprosił ją o rękę i pobrali się w Wichicie, w reformowanym kościele luterańskim, na rogu Kellogg Drive i Mission Road. Jon nie chciał celebrować zawarcia związku w Carson Mills, nie podobała mu się myśl, że wszyscy plotkarze, jakich znał od dzieciństwa, mogliby uczestniczyć w jego ślubie. Ingmar i Rakel byli obecni, Hanna została zaproszona, ale się nie pojawiła ku wielkiemu żalowi Jona. Zdawało się, że Joyce nie ma żadnych zastrzeżeń do luteranów (nie miała uprzedzeń, a jeszcze mniej preferencji, gdyż Bóg był Bogiem, niezależnie od interpretacji, chociaż powstrzymała się od wyrażenia tej opinii), więc szybko została przyjęta do rodziny.

Przez dwa lata Jon żył u boku żony w Wichicie i przez dwa lata miłość, jaką do niej odczuwał, wystarczała mu do szczęścia. Tak jakby jej obecność pozwalała na skanalizowanie ciśnienia, a nawet lepiej, jak gdyby to, czego mu dostarczała, zajmowało całą przestrzeń w jego głowie. Nie okazywał specjalnie czułości, zdarzało mu się rzucać złośliwe docinki albo szczypać ją do krwi, kiedy był zdenerwowany, chociaż nie ona ponosiła winę. W rezultacie ich relacja rodziła coraz więcej przemocy, ale Jon zapewniał jej trwałą obecność, był mężczyzną, na którym mogła się wesprzeć. Przy nim miała wrażenie, że nic złego nie może jej spotkać, że on będzie ją chronił przed atakami z zewnątrz.

Wszystko zmieniło się z nadejściem kolejnej wiosny, kiedy Jon jechał w kierunku Carson Mills, żeby odwiedzić chorego dziadka. Przejeżdżał wzdłuż niekończącego się pola porośniętego wysokimi trawami, szmaragdowego ugoru pocętkowanego tu i ówdzie plamkami złota i lapis lazuli. Nagle jego oczom ukazał się też inny kolor. Kiedy je zobaczył, po raz pierwszy od dawna, poczuł mrowienie w dole brzucha. Motyle z trudem odkleiły skrzydła od wewnętrznych ścian, jak gdyby

przytrzymała je tam guma do żucia, kiedy tylko jednak wleciały w powietrze, zaczęły szamotać się w szale spowodowanym głodem.

Oczywiście! Dwa piękne, dorodne, rozkwitłe maki tańczyły na delikatnym majowym wietrze...

## 15.

Przez cały maj tego roku (Jon miał wówczas dwadzieścia dwa lata) coś dawnego wylaniało się powoli na powierzchnię. Jak gdyby do zimnego strumyka dołączył gorący prąd, podrywając szlam i mącąc nurt rzeki. W miarę jak osady najmroczniejszych fantazji powoli zasnuwały jego myśli, Jon ześlizgiwał się, nieuchronnie, wzywany przez demoniczne szepty. Żona stwierdzała, że jest bardziej posępny niż zazwyczaj, a kiedy musiała znosić gwałtowne najazdy jego lędźwi, gryzła poduszkę i modliła się o szybki koniec. Zresztą, jeśli mężczyźni tego świata istnieli tylko po to, żeby ją gwałcić, trzeba było pogodzić się z tymi chwilami niełaski; ten mężczyzna był przynajmniej jej mężem. W tym czasie Jon na próżno przelewał w Joyce swoją furię wściekłego psa, wciąż miał wrażenie, że jest niczym zbyt pełna butelka. Czuł, że tydzień po tygodniu coś go wypełnia, a jego powłoka staje się zbyt mała, żeby to pomieścić. Było w nim zbyt dużo substancji, jego własna materia pulsowała mu w skroniach kilka razy w ciągu dnia, było mu gorąco, za gorąco, pocił się bez powodu, złościły go byle błahostki, groził eksplozją.

Pewnego czerwcowego poranka Boomer Jackson, jeden z przełożonych w pralni, przedstawił Jona rudowłosej dziewczynie, zaledwie szesnastoletniej. Jon zauważył od razu, że jej młody wiek rekompensowały jej obfite piersi. Becky (przynajmniej takie imię podał Jon, kiedy opowiadał mi ów epizod swojego życia, ale wydaje mi się, że je zmyślił, ponieważ tak naprawdę go sobie nie przypominał) pojawiła się w mieście i potrzebowała pilnie pracy, żeby nie wylądować na ulicy. Pan Kendall, właściciel, zatrudnił ją od razu, zawsze skłonny wyciągać z rynsztoka śmiałków gotowych pracować dla niego w pocie czoła. Na widok Becky, jej wielkich piersi i miny zabraniającej ich dotykać Jon odgadł, że zasłużyła na posadę, dając się posuwać. Boomer przykazał Jonowi, jako najbardziej efektywnemu pracownikowi, by wziął ją pod swoje skrzydła i wyjaśnił tajniki profesji. Była sobota, dzień, w którym hale pralni stały na wpół opustoszałe, trzeba było tylko puścić maszyny dla hoteli, które nie próżnowały, dlatego w większości alejek nie huczały



brzuchate bębny i nie chlupotała spieniona woda. Przez cały dzień Jon wiedział, co się wydarzy. To było oczywiste. Prezent od diabła pozwalający mu odżyć, pozbyć się nadmiaru, który doprowadzał go do szaleństwa, wywoływał straszliwe bóle głowy. Becky podrygiwała, uważna na wszystko, co pokazywał jej Jon, pochylała się, sięgając po paczki z pościelą, i mimo bezkształtnej szarej bluzy jej olbrzymie piersi kojarzyły się z podświetlaną tablicą przed kinem z godzinami seansów.

Spektakl odbył się po południu, kiedy słońce rozgrzewało hangar do tego stopnia, że pracownicy pogrążali się w lepkim odrętwieniu. Jon chciał zapoznać Becky z etapem prasowania w maglu, w pomieszczeniu było jednak tak gorąco i wilgotno, że natychmiast zawrócili. Poprowadził ją w stronę suszarni, a kiedy go mijała, ocierając się o niego swoją chętną pierś, Jon pchnął ją do kosza z czystą pościelą. Becky była zbyt oszołomiona, żeby krzyczeć, a przy hałasie maszyn i tak wydawało się mało prawdopodobne, by na cokolwiek się to zdało. Jon rozerwał jej chałat i przygniótł nieszczęsną całym swoim ciężarem. Dziewczyna nie zdążyła nawet uświadomić sobie, co się dzieje, a on już penetrował ją z tą samą wściekłością, z jaką wbija się nóż w plecy najgorszego wroga. Tego popołudnia w pralni Jon pozbył się części ohydnej, dręczącej go materii, a rzeka jego myśli ponownie się oczyściła.

Nikt dokładnie nie wie, w jaki sposób historia ta dotarła do uszu Boomera Jacksona, a następnie pana Kendalla, o ile nastąpiło to inaczej niż za sprawą plotek i domysłów po nieoczekiwanej ucieczce Becky. Tak czy owak, w poniedziałek Jon został wezwany przed oblicze szefa. Kendall zapłacił mu co trzeba, lecz ani centa więcej, i rzucił w twarz, że ma szczęście, iż sprawa na tym się kończy. Jon nie prosił o wyjaśnienia, dzięki czemu sam nie musiał ich udzielać, po czym wrócił, aby oznajmić złą nowinę Joyce. Wymyślił zawiłą historię spisku, twierdząc, że Boomer go nie lubił i zaaranżował sprawy tak, by wzięto go za komunistę, czego dyrekcja nade wszystko nie cierpiała, jeszcze bardziej niż gwałcicieli recydywistów.

Przez kolejne tygodnie Jon spędzał czas na picciu piwa i pieprzeniu żony, która wracała zmęczona i zaniepokojona stanem, w jakim go znajdzie wieczorem. Ich stosunki szybko zaczęły się psuć, tym bardziej

że brakowało pieniędzy, a Jon niewiele wysiłku wkładał w znalezienie nowej posady. Kiedy jednak Joyce oznajmiła, że jest w ciąży, nastąpiło chwilowe wyciszenie. Jon zdecydował, że nie mogą zostać w Wichicie, a ponieważ dziecko uniemożliwi na jakiś czas matce pracę, nie będą mogli sobie pozwolić na opłacenie czynszu i włożenie czegoś do garnka. Krótko mówiąc, mieli wrócić do Carson Mills. Joyce chciała zaprotestować, że nie może „wrócić” do miasta, które nie było jej, mogła najwyżej się tam udać, z czego wynikałoby, że ma na to ochotę, a zdażyła się już zorientować, że życie z oschłym Ingmarem i niezamężną Rakel nie było zbyt pociągające. Ale poślubiła Jona i nie miała innego wyboru, jak przystać na decyzję męża prowadzącą do gospodarstwa na szczycie wzgórza.

Ingmar dobrodusznie oddał im swoją sypialnię i wprowadził się do pomieszczenia służącego za składzik, przylegającego do głównej izby. Rakel, chociaż potrafiła czasami wzbudzać lęk swoim wyglądem szalonej czarownicy, okazała się niezwykle miła i stała się niemal sojuszniczką Joyce. Prawdę mówiąc, Rakel dobrze знаła swojego bratanka i jego skomplikowaną osobowość, więc nie licząc nawet kobiecej solidarności, zwyczajnie żałowała Joyce, która wpakowała się w takie gniazdo os.

Tej jesieni w Carson Mills pojawiło się dwóch mężczyzn werbujących do armii. Zabierali ze sobą wielu młodych i zdrowych mężczyzn, aby nakarmić wygłodniałą bestię wojny, rozdziawiającą ponurą paszczę po drugiej stronie świata, w wilgotnym regionie, który – zdaniem Jona – należał do Księżyca, pod względem odległości i znaczenia. Przyjechali do gospodarstwa Petersenów, żeby zobaczyć się z Jonem, który zgodnie z ich niekończącą się listą był w wieku poborowym. Rozmawiali z nim, siedząc na masce samochodu przez blisko dwie godziny i w rezultacie skreślili jego nazwisko. Skreślili go mocno, kilkakrotnie, by zniknął na zawsze z rządowej pamięci. Nikt nie wie, co sobie powiedzieli ani o co ostatecznie wypytywali Jona, lecz odjechali prędzej, niż się pojawili, i nigdy więcej armia nie zapukała już do tych drzwi.

Przez pierwsze miesiące ciąży Joyce Jon nie uświadamiał sobie zbyt dobrze, co się wydarzy, kiedy jednak poczuł przez skórę na brzuchu

żony, jak płód kopie w jego dłoń, w pełni dotarł do niego fakt, że zostanie ojcem, że na świecie pojawi się przedłużenie jego samego. Joyce nosiła w sobie mroczną rasę. Gdyż o ile Jon nie odczuwał ani krzty poczucia winy za całe zło, jakie wyrządził innym w ciągu swojej egzystencji, rozumiał, że nie jest człowiekiem z gruntu dobrym. Co gorsza, wiedział, że przepelnia go swego rodzaju podłość, i za każdym razem, gdy pozbywa się ciśnienia, rozsiewa wokół siebie ciemność. Taka już była jego natura. Niektórzy rodzą się na wskroś dobrzy, większość to linoskoczkowie tańczący nad przepaścią między dobrem a złem, ale garstka takich jak on pojawia się na świecie już skażona sporą ilością szlamu przy fundamentach, zbyt dużą, by moralizatorskie wody cywilizacji mogły zmyć ten bród. Mimo skromnej dozy kultury i inteligencji, jaką Jon posiadał, przynajmniej to pojął już w najmłodszych latach.

Dawanie życia oznaczało więc kosmiczne przedłużenie tego, kim był. I w jednej z rzadkich chwil jasności umysłu Jon zrozumiał na swój sposób, że stworzył dziecko Zła.

Uświadomiwszy to sobie, zgotował Joyce prawdziwe piekło. Okazywał jej coraz większą obojętność, a kiedy się do niej odzywał, rzadko używał miłych słów. Zmuszał ją do wykonywania coraz większej ilości obowiązków i wciąż brał ją regularnie, aż do ostatniej chwili, coraz bardziej bestialsko. Zdarzało mu się nawet uderzyć ją w twarz, gdy za dużo wypił. Czasami Ingmar wychodził ze swojego pokoiku i pojawiał się w pobliżu, i już sama jego obecność wystarczała, by uspokoić Jona. Wychodził wówczas zdenerwowany, żeby pojeździć kilka godzin. Niekiedy na miejscu była Rakel –krzyczała na bratanka i stawała w obronie Joyce, co doprowadzało Jona do szału. Nigdy jednak nie uniósł ręki na ciotkę, tego nie mógł zrobić. Wspomnienie autorytetu Ingmara było jeszcze zbyt wyraźne, choć obecnie był on już tylko starym, posępnym mężczyzną.

Przez cały ten czas Joyce czuwała nad bezpieczeństwem dziecka, które nosiła w sobie, przemawiała do niego łagodnie, kiedy Jona nie było w pobliżu, wyjaśniała mu, że czekają go trudne chwile, lecz znajdą się też przyjemności i piękno, by je wynagrodzić. Za każdym razem, gdy płakała, czyli niemal co wieczór, przepraszała je i błagała niebiosy, by

nie stało się z tego powodu melancholikiem.

Ale jej głównym życzeniem, z którym zwracała się bezpośrednio do Boga, było nie urodzić dziewczynki. Świat był już i tak wystarczająco trudny, lepiej więc by było, gdyby jej dziecko nie musiało stawiać mu czoła z brzemieniem bycia kobietą. Co rano więc Joyce wypatrywała oznak, które pozwoliłyby jej się przekonać, że nosi w sobie chłopca. Chłopiec stanie się silnym mężczyzną, zdolnym znieść czekającą go przemoc.

Gdy zbliżał się już czas porodu, Jon wrócił pewnego wieczoru do domu i oznajmił, że wybrał imię dla dziecka. Niezależnie od jego płci. Gdyby urodził się chłopak, nie było mowy, by nosił jego imię, ani nawet imię własnego dziadka, w obydwu przypadkach Jon dobrze to przemyślał. Dziecko nie miało urodzić się po to, by nosić imię zmarłego.

## 16.

Tak urodził się Riley Ingmar Petersen. Zdrobniale RIP<sup>3</sup>. Gdyby okazał się dziewczynką, Jon wybrałby imię Ripley, ale ku wielkiemu szczęściu Joyce tak się nie stało. Po wielu wahaniach Jon postanowił nadać dziecku na drugie imię własnego dziadka, ponieważ było w starym nieco dobroci i na swój sposób Jon miał nadzieję, że dzięki temu uda się zakłąć los. Nigdy nie żałował, że nie nazwał dziecka swoim imieniem, absolutnie nie chciał w domu Jona Juniora. Sama rywalizacja z innym samcem groziła pewnymi problemami, kiedy syn podrośnie i osiągnie wiek pyskowania, i już na samą tę myśl jeżyły mu się włoski na przedramionach. Nie mógł znieść sprzeciwu, a już na pewno nie pod własnym dachem. Joyce szybko to zrozumiała.

Przez pierwsze lata życia dzieciaka Jon zachowywał się jak należy. Spędzał co prawda wiele godzin za kierownicą pick-upa, który zastąpił plymoutha belvedere, i nikt nie miał pojęcia, dokąd jeździł ani co tam robił, nawet wasz sługa, ale nie ściągnął na siebie żadnych znaczących kłopotów. Odzywał się coraz rzadziej, jego policzki nieco bardziej się zapadły i pokryły drobnymi popękanyimi naczynkami, a upodobanie do sprawowania władzy jeszcze bardziej nasiliło. W domu nie znosił skarg i narzekania, więc Riley nauczył się nie płakać przy ojcu. Joyce była jego powiernicą i opiekunką, a ciotka Rakel zastępowała ją czasami, gdy matka była nieobecna lub zbyt zmęczona życiem, jakie zgotował jej mąż.

Jon wziął na siebie obowiązki rakażarza na terenie hrabstwa, a gmina zgodziła się go opłacać. Zabijał dzikie psy, grzmocił młotem kamieniarskim w łby zbyt stare lub kulawe wałachy, zbierał zwłoki saren i dzików rozkładające się na drogach i na obrzeżach Carson Mills, i ogólnie pomagał każdemu, kto go zawezwał, w pozbyciu się szczątków zwierząt. Ładował je na ciężarówkę i znikał wśród przyrody – nikt nie wiedział, co działo się ze ścierwami. Podejrzewano, że palił je na polanie w pobliżu swojego domu, ale prawdę mówiąc, nikt o to nie dbał. Istnieją aspekty życia codziennego każdego miasta, których przeciętny obywatel nie ma ochoty poznawać szczegółowo, aspekty, które dotyczą zazwyczaj utrzymania porządku i śmierci. Cała rodzina żyła z tego zajęcia, czyli

z garści zielonych banknotów co tydzień, a także dzięki kilku produktom, jakie Ingmar, Rakel i Joyce uprawiali w kapryśnej glebie.

W ciągu kilku lat Jon zaczął palić coraz więcej papierosów, które sam skręcał, gdyż były tańsze, i pić alkohol, w który zaopatrywał się u grupy gospodarzy z Północy produkujących swoją własną whisky z kukurydzy zgodnie z metodą destylacji odziedziczoną po rodzicach, pamiętającą jeszcze czasy przemysłowców. Upojenie alkoholowe jak zwykle czyniło go złym. Wyjątkowo złym. Wielokrotnie Joyce krzyczała w środku nocy, budząc cały dom, a wtedy Rakel pojawiała się niczym anioł (anioł przerażający, o obliczu zniszczonym przez czas i gorzką egzystencję, anioł o ściętych skrzydłach i zachrypniętym głosie, o pustym spojrzeniu, ale jednak anioł) i wyzywała rozbawionego lub obelżywego – zależnie od humoru – bratanka, po czym zabierała Joyce do swojego malutkiego pokoiku. Kiedy Riley podrosł na tyle, że nie mógł już dzielić z rodzicami tego samego pomieszczenia, Ingmar odstąpił mu swój składzik i przeniósł się do dużej izby. W te noce, kiedy matka krzyczała, brutalnie traktowana przez ojca, chłopiec zatykał uszy poduszką i obiecywał sobie, że sam nigdy nie podniesie ręki na kobietę równie miłą jak jego matka. Z roku na rok Joyce traciła na urodzie, ale nie z własnej winy, niezależnie od tego, co mówił ojciec. Dziecko miało mu za złe jego okrucieństwo. A jednak z wiekiem Riley zrozumiał, że nie było to tak naprawdę okrucieństwo: Jon Petersen już po prostu taki był, nieprzejednany i surowy, nie zachowywał się tak specjalnie, leżało to w jego naturze. Zresztą każde dziecko potrafi znaleźć dla własnego ojca usprawiedliwienie, chociaż tak naprawdę nie ma żadnego.

Konflikty w gospodarstwie wzmogły się, kiedy Joyce zhardziała, zmobilizowana wsparciem, jakie otrzymywała od Rakel, i życzliwą neutralnością Ingmara, którego wydarzenia zdawały się przerastać, mimo że potrafił zaprotestować, gdy Jon przekraczał dozwolone granice. Pewnego dnia zażądała, żeby mąż kupił im telewizor. Cała planeta była już połączona telewizją, a oni pozostali prawdopodobnie ostatnimi istotami ludzkimi bez odbiornika. Nie mogli tak dłużej żyć: skończą jako niedorozwinięci, odcięci od postępu. Telewizja oznaczała wprowadzenie cywilizacji na łono rodziny. Jon nie chciał nawet o tym słyszeć, uważał, że to idiotyczne marnowanie pieniędzy, przede wszystkim jednak

obawiał się, że utraci część swojej władzy. Dla Jona telewizja była wynalazkiem „tych feministycznych dziwek”, narzędziem do przykuwania uwagi kobiet i niszczenia męskiego autorytetu. Poza tym rząd szybko uczynił z niej główny organ swojej manipulacyjnej propagandy. Nie, Jon nie chciał jej u siebie. Ale Rakel poparła Joyce, a nawet Riley dołączył do ich prośby, wpadając w histerię, którą Jon uspokoił suchym, piekącym policzkiem. Kiedy pewnego wieczoru wrócił do domu i zobaczył pośrodku kuchni odbiornik z dużymi antenami, nieomal udławił się z wściekłości. Joyce na próżno tłumaczyła mu, że był to prezent od Johnsonów, u których Rakel czasami sprzątała, gdyż sami kupili sobie kolorowy, Jon szalał ze złości i Ingmar musiał interweniować, by powstrzymać go przed zabiciem własnej żony gołymi rękoma. Jon nie wiedział, że to Rakel poświęciła wszystkie swoje oszczędności, żeby zadowolić Joyce i Rileyę. W wyniku tego zdarzenia zaczął spędzać coraz więcej czasu na drogach i o tyleż mniej w domu.

Bieg życia gwałtownie zmienił się jednak u Petersenów dopiero wówczas, gdy Ingmar spakował swoje rzeczy i wyjechał w kierunku Slate Creek. Od kilku dni starzec nie był sobą. Zaczęło się od tego, że sam zaczął opuszczać dom na długie godziny. Nikt nie wiedział, dokąd się udawał ani co robił, zazwyczaj jednak jego zniknięcia pokrywały się z nieobecnością Jona. Pewnego wieczoru wrócił bardziej zgarbiony niż zazwyczaj i bez słowa położył się na sofie, która służyła mu za łóżko. Przeleżał tak cały wieczór, z półprzymkniętymi oczyma, przygnębiony, nie odzywając się ani słowem. Nazajutrz powiedział córce, że wybiera się nad rzekę – Rakel nie mogła zrozumieć, dlaczego nie zabiera ze sobą wędki – i nigdy więcej już go nie zobaczyli.

Okoliczne dzieci znalazły jego ubranie starannie złożone na kamieniu w pobliżu wiecznie wzburzanego wirami nurtu, i wszyscy doszli do wniosku, że starego człowieka zmęczyło już ciężkie życie.

Zniknięcie Ingmara awansowało Jona do rangi jedyne go dominującego samca w gospodarstwie.

## 17.

Instynkt przeżycia jest najważniejszy dla istoty ludzkiej – czeka w gotowości przez cały okres jej kształtowania się, choć potrafi się przycisnąć, aby nie zniszczyć potrzeby odkrywania właściwej dla ewolucji. Riley był na to doskonałym dowodem. Od najmłodszych lat rozumiał instynktownie, jakie miejsce powinien zajmować w tej patriarchalnej rodzinie, zdołał też sobie jako tako radzić aż do ósmego roku życia, nie obrywając zbyt często. Czuł, że w imperatywie niezagrażania w żadnym wypadku zwierzęcej dominacji ojca jest coś pierwotnego. Ten ostatni jednak ponad wszystko nienawidził słabości lub przesadnej uległości. Trzeba więc było wykazywać się wytrzymałością, nosić wysoko głowę, nigdy nie spuszczać wzroku, a jednocześnie nie wyrażać spojrzeniem arogancji, tylko chłodną zgodę na zasady narzucone przez Jona Petersena. Była to równowaga złożona i niebezpieczna, za najmniejsze odstępstwo płaciło się razami pasem albo w najlepszym razie brakiem posiłku. Z biegiem lat Riley coraz lepiej odgadywał, że stawka rośnie razem z nim. Ojciec niczego mu nie przepuszczał, a kary stawały się coraz dotkliwsze.

Kiedy odszedł dziadek Ingmar, trzeba było powrócić do dotychczasowych zwyczajów i chronienia siebie, tym bardziej że Jon znów zaczął spędzać w domu więcej czasu. Rileyowi było przykro z powodu Ingmara, chociaż nie byli ze sobą zbyt blisko – dziadek nigdy się nie bawił, nie śmiał, nie okazywał mu czułości, niemniej jednak zdarzało mu się zabrać wnuka na polowanie na skunksa albo połów pstrągów wiosną, kiedy ryby te budzą się i wyłaniają z przybrzeżnych kryjówek. To były cudowne wspomnienia. Chłopak co prawda uważał, że skunksy są zbyt urocze, żeby zasługiwać na śmierć, ale duma, jaką odczuwał, trzymając karabin w dłoniach i mogąc nacisnąć spust, warta była zadania sobie trudu udawania, że chybił. Poza tym dziadek Ingmar, jak gdyby nigdy nic, potrafił zawsze odwrócić uwagę Jona, kiedy ten zaczynał znęcać się nad chłopcem, i ze względu na to Riley miał o nim nigdy nie zapomnieć.

Z pierwszych lat swojego życia Riley najdokładniej zapamiętał



zapach słodkich bułeczek wypiekanych przez matkę. Kiedy jeszcze parowały, lubił na nich rozsmarowywać masło, a następnie patrzył, jak się topi, po czym pochłaniał je jednym kęsem. Krzyki, groźby, razy, wszystko to natychmiast ustępowało, kiedy Joyce wyciągała małe przypieczone bułeczki i stawiała je w rogu stołu. Z powodu tego cudu matka miała pozostać na zawsze aniołem w pamięci chłopca.

Po zniknięciu Ingmara Jon nie zachowywał się znacząco inaczej niż w poprzednich miesiącach, ale gdy pewnego wieczoru Rakeł sprzeciwiła mu się, bo za dużo wypił i próbował zaciągnąć żonę do sypialni, patrząc na nią złym i lubieżnym wzrokiem, uczynił coś, na co nigdy nie ośmieliłby się w obecności dziadka: uderzył ciotkę. Wymierzył jej policzek płaską dłonią, i ów gest zaskoczył go równie mocno jak i ją. Gdy przekręca się stary zatarty kurek, często nie sposób go z powrotem zakręcić; popękane uszczelki nie zapewniają już szczelności, powłoka kamienia zgromadzonego z biegiem lat pęka i nie da się cofnąć tego, co się stało. Prawdopodobnie właśnie to się wtedy wydarzyło. Cała frustracja, jaka zebrała się w Jonie z powodu Rakeł, została nagle wyrażona. Karcił ją jeszcze ciosami, dopóki całkiem nie wytrzeźwiał. Warknął wówczas w stronę żony, żeby przypadkiem nie pomagała podnieść się zalanej krwią ciotce, i zaciągnął ją do sypialni, by poddać jeszcze gorszym torturom.

Tego wieczoru Riley odczekał, aż z pokoju rodziców dobiegło go przeciągłe skrzywienie (wiedział, że oznaczało ono spokój na co najmniej godzinę, nawet jeśli samo zgrzytanie drewna nie trwało dłużej niż kilka minut), po czym zamoczył szmatkę w zimnej wodzie i przyłożył ją do napuchniętej twarzy Rakeł. Kobiętę przebiegł dreszcz, zanim jej jedyne oko, które nie było przysłonięte olbrzymią opuchlizną, nie dostrzegło, że jest przy niej tylko dziecko. Kiedy chłopiec zmywał starannie krew z jej twarzy, Rakeł chwyciła go za rękę i przyciągnęła bliżej.

– Riley... kochany...

Lubił, kiedy tak się do niego zwracała. Ojciec długo przeżywał go Rip, i to mu się nie podobało, ale nie mógł mu tego powiedzieć. Na szczęście ów nieprzyjemny zwyczaj z czasem zaniknął.

– Wkrótce będziesz musiał odejść – dodała łagodnie. – Rozumiesz? Riley, chociaż sprytny jak na ośmioletniego chłopca, nie był

pewien, czy dobrze rozumie.

– Zostanę ukarany? – spytał ze słodczą typową dla dziecka w jego wieku.

– Bóg nas ukarał, aniołku. Nie wiem dlaczego...

Strużka krwi wypłynęła spomiędzy jej warg. Riley czym prędzej ją starł, po czym Rakel ciągnęła:

– Ale Pan postanowił, byśmy stawili czoło próbie, jaką jest twój ojciec.

– Więc tata jest trochę jak święty Piotr? To on decyduje, kto będzie mógł wejść do raju?

Rakel zdobyła się na cień uśmiechu.

– Nie, nic z tych rzeczy. Posłuchaj, zbliż się i posłuchaj uważnie. Kiedy osiągniesz wiek, w którym staniesz się jego rywalem, będziesz musiał odejść. W kurniku nie mogą przebywać dwa koguty, twój ojciec by tego nie zniósł.

– Przysięgam, że nie tknę jego jajek na śniadanie, jeśli to pomoże – zapewnił Riley, dokonując skrótu myślowego, do jakiego tylko dziecko może być zdolne.

Tym razem zgorzknienie zastąpiło cień uśmiechu. Rakel ścisnęła nieco mocniej dłoń chłopca i przyciągnęła do siebie tak, że ich nosy niemal się stykały.

– Riley, obiecaj mi, że będziesz uważał. Pilnuj dobrze taty, a kiedy zrozumiesz, że pora odejść, przysięgnij mi, że to zrobisz.

Riley nie miał pewności, czy dobrze zrozumiał, ale mimo wszystko skinął głową. Biorąc pod uwagę stan ciotki, nie mógł niczego jej odmówić, podjął więc zobowiązanie, które go przerastało.

Nazajutrz Jon wyrzucił ciotkę Rakel z domu. Patrzył, nieprzejejdany, jak płacze i błaga, bo nic nie posiada i nie ma dokąd pójść, po czym rzucił jej w twarz worek ubrań i przykazał, by nigdy więcej jej noga nie powstała na jego ziemiach.

Logicznie rzecz biorąc, widmo Ingmara miało więcej znaczenia za jego życia, niż po śmierci.

\*

Nieobecność Rakel szybko przysporzyła problemów rodzinie

Petersenów. Stara ciotka nie miała sobie równych, jeśli chodziło o tchnięcie namiastki ładu w gospodarstwo. To ona mobilizowała Joyce, kiedy ta była zbyt przygnębiona, żeby wstać z łóżka, to ona kierowała porządkami, zarządzała zapasami i pracami w ogródku warzywnym, a przede wszystkim przynosiła co tydzień kilka banknotów, zapłatę za sprzątanie u tych, których nie przerażała myśl o zatrudnieniu członka rodziny Petersenów. W krótkim czasie nie tylko gospodarstwo zmieniło się w trudną do opisaną graciarnię – co również bardzo złościło Jona – ale na dodatek dochody rodziny znacznie spadły.

W tamtym okresie, gdy mieszkali tylko w trójkę pod jednym dachem, Riley naprawdę zaczął obawiać się ojca: przy matce zbyt sponiewieranej, by mogła reagować, ośmioletni chłopiec stał się łatwym celem służącym do wyładowywania nadmiaru wściekłości Jona. Na dźwięk skrzypienia hamulców pick-upa dzieciak nabrał zwyczaju wychodzenia na przechadzkę, niezależnie od pogody. Zauważył, że gdy ojciec wracał z codziennych objazdów, miewał ciężką rękę, ale kiedy trochę sobie poleżał, zapominał o synu, chociaż w takich wypadkach to Joyce często zajmowała jego miejsce – Riley zrozumiał to dopiero kilka lat później, a być może tu także instynkt samozachowawczy nakazywał mu nie zastanawiać się nad tym zbyt. Zbyt.

Pewnego wieczoru, jesienią, chłopiec usłyszał rozmowę rodziców (przede wszystkim głos matki), której ton natychmiast obudził jego czujność. Od godziny leżał w łóżku, nie mogąc zasnąć, kiedy nagle dobiegło go narzekanie ojca; matka szeptała, żeby nie obudzić Riley, lecz wściekłość sprawiała, że bezwiednie podnosiła głos. Riley wyszedł bezgłośnie z łóżka, nauczony doświadczeniem, że nie powinien przypominać ojcu o swojej obecności, i podszedł do drzwi, unikając skrzypiących desek w podłodze. Stamtąd przez cienką ścianę mógł lepiej usłyszeć, na jaki temat toczy się rozmowa.

- Myślisz, że mamy wybór? – skarżył się gorzko Jon.
- Nie mogę tego zrobić. Nie mogę.
- Tak trzeba, w przeciwnym razie dzieciak będzie nie dojadł.
- Ale Jon, czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, o co mnie prosisz?
- Istotnie, dla ciebie będzie to prawdziwy wyczyn – rzucił z pogardą.

- Jak możesz tego ode mnie wymagać? Ty!
- Niech się to na coś przyda.

Na tym rozmowa się skończyła i Riley nie dowiedział się nic więcej na temat groźby, jaka zawisła nad ich głowami, jednak ziarno podejrzeń zostało zasiane.

Kolejnej wiosny jeden z kolegów nazwał Riley'a „skurwysynem”, co samo w sobie nie było niestosowne, biorąc pod uwagę, że dzieci bywają dla siebie bezlitosne, a Riley'a często wyzywano. Tym razem jednak zmieniła się reakcja innych dzieci. Nikt się nie roześmiał. Zazwyczaj najdrobniejsza obelga pociągała za sobą docinki i wybuch zbiorowego śmiechu, tym razem jednak wymieniano się tylko zażenowanymi spojrzeniami, co obudziło podejrzliwość Riley'a. Tego dnia chłopiec nie wrócił od razu do domu (w tamtych czasach w małym miasteczku takim jak Carson Mills samotny powrót dziewięcioletniego dziecka do domu nie stanowił problemu, tym bardziej w rodzinie Petersenów). Riley długo włóczył się po ulicach wschodniej dzielnicy, okolicy dość opuszczonej i zajętej przez liczne porzucone magazyny stojące wzdłuż torów kolejowych, po czym usiadł – nieświadomie – zaledwie kilka metrów od miejsca, w którym kilka lat wcześniej znaleziono ciało Theresy Turnpike. Tam wyciągnął z kieszeni niedopałek z odrobiną tytoniu i za pomocą zapalniczki wykradzionej jednemu z uczniów zapalił swojego pierwszego papierosa – drażniący dym przyprawił go o atak kaszlu. Zaciągając się, Riley zastanawiał się, dlaczego nikt się nie roześmiał, kiedy tamten chłopak go obraził. Każdy „dureń”, „debil”, „kupa gówna” albo nawet „syn pijaka” wywoływał niezmiennie chichot, a Riley nigdy nie brał tego bezpośrednio do siebie, podobnie było ze wszystkimi dziećmi, którym danego dnia przypadał los kozła ofiarnego. Jednak niemal pełna oburzenia cisza, jaka zapadła po tym, jak Simon Donaker nazwał go „skurwysynem”, dręczyła go.

Nazajutrz pocałował na wpuł śpiącą matkę i udał, że wybiera się jak co rano w stronę szkoły, po czym przystanął na końcu zacienionej dębami alei i ukrył się wśród krzaków, z których siedemnaście lat wcześniej jego ojciec obserwował, jak ciotka Hanna daje się obmacywać w samochodzie swojemu przyszłemu mężowi. Riley czekał tam wiele godzin, dopóki nie minął go pick-up ojca z matką na siedzeniu pasażera.

Chłopak przesiedział tak do końca dnia, aż zobaczył nieznajomy samochód z grubym brodatym mężczyzną za kierownicą, który odwiózł do domu jego matkę. Joyce podziękowała mu nieco chłodno, po czym ruszyła powłóczytym krokiem, który zastąpił z biegiem lat jej południowy akcent. Następnego dnia Riley postanowił ukryć się z tyłu pick-upa i uniósł głowę dopiero, kiedy pojazd się zatrzymał. Znajdowali się na rozległym otwartym parkingu, wokół którego rozciągały się wrzosowiska a w oddali wznosiły zalesione wzgórza. Na skraju drogi stał duży dom. Na szczycie słupa umieszczono kolorowy szyld otoczony światełkami: „Witajcie w Samotnym Wilku”. Chłopak naliczył około dziesięciu zaparkowanych pojazdów. Ojciec nie odezwał się ani słowem, nie powiedział nawet „do widzenia” czy „miłego dnia”, kiedy matka wysiadła z pick-upa, milczał, a to nie spodobało się Rileyowi.

Nie chcąc ryzykować, że utknie z ojcem, chłopiec ześlizgnął się z platformy samochodu i ukrył za niebieskim pontiakiem. Pick-up wypuścił kłęb czarnego dymu i zniknął wkrótce na drodze krajowej, a tymczasem Joyce wspięła się po stopniach i weszła do baru z nonszalancją stałej bywalczyń. Riley zdołał wejść na dużą donicę na wysokości okna i zajrzał do środka. Zobaczył matkę siedzącą na wysokim stołku i rozmawiającą z mężczyzną za barem oraz kilku klientów zajętych jedzeniem omletu albo smażonego boczku i fasolki w sosie pomidorowym. Aby nie dać się przyłapać na wagarach i szpiegowaniu, Riley znalazł sobie dobrą kryjówkę nieco na uboczu i wracał do punktu obserwacyjnego tylko trzy razy w ciągu trzech godzin. Matka nie ruszała się z miejsca, rozmawiała od czasu do czasu z którymś z klientów, ale to wszystko. Około piętnastej zobaczył, jak wychodzi z baru i idzie za dość starym facetem w stronę cadillaca stojącego na skraju parkingu. Riley wahał się, czy za nimi pójść, coś w jego dziecięcej naturze odradzało mu to. Ograniczył się więc do obserwowania ich i oddalenia się, kiedy cadillac zaczął skrzypieć podobnie do łóżka jego rodziców (choć od jakiegoś czasu już się to prawie nie zdarzało), zrozumiał też, że dzieciaki w szkole nie roześmiały się tamtego dnia, ponieważ obelga może być śmieszna tylko wtedy, kiedy nie jest całkiem prawdziwa.

Z upływem miesięcy Riley widział, jak jego matka powoli gaśnie,

i zdawał sobie sprawę, że winę za to ponosi ojciec, który codziennie zawozi ją na brudny parking stojącego na odludziu baru, żeby przygodni mężczyźni mogli odebrać jej trochę młodości, radości życia i zmuszać ją do uprawiania w ruch zastałych podwozi. Mniej więcej w tym okresie, od kiedy matka przestała piec słodkie bułeczki, żeby mógł je smarować masłem, Riley zaczął dochodzić do wniosku, że jego ojciec nie jest dobrym człowiekiem. Nie mógł wiedzieć, jak wiele osób podzielało jego zdanie i że wszystko to wyjdzie na jaw nagle, kilka lat później, pod najmniej spodziewaną postacią.

## 18.

Szpachelka podważała lakier i płyty farby. Cały dom wyglądał, jak gdyby łuszczył się na czerwcowym słońcu. Jarvis Jefferson podniósł się i wyprostował plecy od krzyży aż po samą górę kręgosłupa. Nie był w pełnej formie, ale prawie już skończył czyścić balustradę otaczającą dom. Jego młodszy syn Michael obiecał spędzić u nich latem tydzień z Janette i dziewczynkami, przy okazji pomógłby mu odmalować cały taras. Rosie się ucieszy. Ponieważ znów będzie mamą w centrum uwagi, otoczoną życiem, a jej piękny dom odzyska nieco dawnej świeżości! *Szkoda, że nie możemy tego zrobić ze sobą*, pomyślał Jarvis i się roześmiał. Przyjrzał się szpachelce i wyobraził sobie siebie zdrapującego własną skórę i kładącego następnie nową warstwę, po zaczerpnięciu z puszki starannie wybranej w Moffat Tools zgodnie z wzornikiem kolorów, który wcześniej długo porównywaliby z własną skórą. Parsknął śmiechem i pokręcił głową. Zbyt długo już jest szeryfem, pomieszało mu się w głowie i stąd zapewne te dziwne pomysły.

Przez otwarte okno dobiegł go długi atak kaszlu Rosie i porzucił szpachelkę na bujanym fotelu, żeby przynieść żonie szklankę mrożonej herbaty.

– Zrób mi tę przyjemność i idź do doktora Parkera – powiedział, wręczając jej napój, podczas gdy ona z trudem łapała oddech.

– W tym roku stężenie pyłków w powietrzu jest większe niż zazwyczaj, duszę się.

– Widzę właśnie! Rosie, nie mamy już po dwadzieścia lat, idź do doktora, on ci powie, co robić.

Rosie skinęła głową i jednym tchem opróżniła pół szklanki.

– Skończyłeś? – spytała.

– Tak, prawie. Brakuje tylko rąk do malowania, nie podejmę się tego w pojedynkę, kości mi na to nie pozwolą.

– Przyjeżdżają za dwa tygodnie. Przygotowałam już pokoje, dziewczynki chcą spać razem. Uważam, że są już na to trochę za duże, ale Janette nie widzi problemu.

– Wiesz, jak to jest w dużych miastach, brakuje miejsca, dzieci

muszą dzielić jeden pokój, przyzwyczajają się. Nie dziwi mnie, że mieszczenie stają się takimi strachliwymi domatorami.

Jarvis usiadł na brzegu okna i wyrzwał na ulicę. Zobaczył małą sąsiadkę, Sandy Jenkins, na spacerze z psem – a raczej labradora wyprowadzającego swoją panią, ciągnącego ją w stronę otoczonej kukurydzą polany kończącej ścieżkę – i poczuł ukłucie w sercu. Tak jak za każdym razem, kiedy widział psa. Był żałosny.

– Dlaczego to smutne spojrzenie? – spytała Rosie zza biurka, gdzie kończyła przerabiać sukienkę dla wnuczki.

– Przypomniał mi się Raffy.

– Kochanie, on nie żyje od blisko trzydziestu lat! Nie sądzisz, że czas zamknąć ten rozdział?

– To był cholernie dobry pies, sama wiesz.

– Mój Boże, weź innego, najwyższy czas!

– Och, jesteście na to za starzy.

– Bert ma psa, a jest dwa lata starszy od ciebie! Vernon też!

Jarvis wzruszył ramionami. Po prostu nie był gotowy. W jego życiu było miejsce tylko na Raffy'ego. Głupio to wyjaśniać, szeryf nie sądził, że zostanie zrozumiany, ale ten kundel był jego najwierniejszym towarzyszem, wyznacznikiem najlepszych lat, kiedy rodzina biegała po całym domu wśród krzyków i śmiechu, życia, które płynęło szybciej, niż obracały się szpule z filmem w olbrzymim projektorze w kinie na Main Street. Raffy nie był dzieckiem, nie był kolegą, był po prostu oddanym psem Jarvisa o ufnym, wiernym spojrzeniu.

– Nie – powiedział – to chyba tak samo jak z Florydą, pozostanie w planach, ale nigdy nie przekroczymy tego progu.

– Spędzisz emeryturę w słońcu po mojej śmierci.

– Nie gadaj głupstw, Rosie, odejdziemy trzymając się za ręce, kiedy skończymy sto lat. Razem do samego końca.

W tym momencie uchwycił swoje odbicie w szybie okiennej. Niemal białe wąsy opadały po obu stronach ust. Włosy miał przydługie i nieco mniej szare niż dawniej, jak gdyby spędził godzinę na śniegu. Może naprawdę nadeszła pora, żeby odpuścić, zwolnić miejsce? Douglas był już bardziej niż gotowy do objęcia posady. Miał odpowiednie kompetencje. Chęci to już inna sprawa. Douglas nigdy nie lubił



odpowiedzialności. Najlepiej się sprawdzał, kiedy mówiono mu, co ma robić, chociaż bez szemrania przejmował obowiązki Jarvisa podczas jego nieobecności. Co się zaś tyczy Bennetta, pozostał asystentem w biurze. Nadawał się do nagrywania zeznań i uspokajania upojonej alkoholem młodzieży w sobotnie wieczory, ale odkąd poślubił Dianę, jego sekretarkę, nie sposób było zwrócić mu uwagi, gdyż przez to jego żona przez kolejny tydzień chodziła obrażona.

Jarvis wziął głęboki wdech, który wypełnił go całego, po czym wyszedł na zewnątrz z melancholijnym świstem starego człowieka.

Oliwkowy mercedes o błyszczącej masce zaparkował naprzeciw ich domu, po drugiej stronie ulicy. Nie było dwóch takich aut w Carson Mills. Jarvis wychylił się z rękoma na balustradzie, zastanawiając się, co tu robi Cormac Monroe. Dostrzegł szofera z przodu, ale postać z tyłu pozostawała niewidoczna. Kiedy opuściła się szyba, Jarvis od razu rozpoznał Elaine Monroe. Patrzyła w jego stronę.

Czego Monroe'owie od niego chcą? Od czasu gwałtu na Ezrze (albo w każdym razie domniemanej napaści seksualnej, ponieważ nastolatka nigdy nie potwierdziła faktów) Jarvis nie miał z nimi do czynienia. Tamta tajemnica ciążyła mu niczym kula u nogi – to było jedno z nielicznych nigdy nierozwiązanych śledstw, które naznaczyły jego karierę. Spotkanie z Elaine było dla niego za każdym razem kłopotliwe. Na szczęście Cormaca, zbyt pochłoniętego pracą, prawie nie widywano w Carson Mills, i przedsiębiorca nigdy nie okazywał szeryfowi surowości dlatego, że nie udało mu się zatrzymać winnego. Gdyby tylko chciał, mógłby w mgnieniu oka pozbawić go posady i zastąpić wybranym przez siebie kandydatem. Wierny swojej legendarnej uczciwości, Cormac Monroe nie mieszał się do śledztwa ani nie domagał rezultatów po tym, jak trzy miesiące upłynęły bez jakichkolwiek wieści. Był to mroczny czas dla Carson Mills, przypominał sobie Jarvis: gwałty, seryjne zniknięcia zwierząt i zabójstwo Theresy Turnpike – mroczny czas również w jego karierze, gdyż nie udało mu się wyjaśnić żadnej z tych zbrodni. Pory roku następowały po sobie niezmiennie, a z braku winnego zepchnięto owe ponure dni w najgłębsze zakamarki pamięci. A jednak dla szeryfa nie było to takie proste, widok Ezry przechodzącej ulicą często kładł mu się

cieniem na sercu, podobnie rzecz miała się z Louise Mackie, chociaż ta ostatnia znalazła sobie małżonka w osobie Charlesa Fraziera, hydraulika, i wydawała się w pełni pocieszona, kiedy prowadziła na spacer swoich czworo dzieci i śmiała się zbyt głośno w alejkach Mo's. W wypadku Ezry było inaczej, Jarvis zawsze to wiedział. Rzadko wychodziła, przemykała się ukradkiem, a ostatnio podobno wyjechała na studia do Wichity, żeby już stamtąd nie wrócić; miał nadzieję, że radziła tam sobie dobrze i założyła piękną rodzinę.

Stwierdziwszy, że Elaine wciąż czeka w samochodzie, Jarvis zdecydował się z nią porozmawiać. Przed wyjściem, jak to robił zawsze od czterdziestu pięciu lat, pocałował żonę w policzek i sięgnął po kapelusz. Bez stetsona czuł się bezbronny, szczególnie w obliczu osób pokroju Elaine Monroe, co było dziecinne, sam to przyznawał, biorąc pod uwagę jego wiek.

Elaine wydała się ucieszona na widok zbliżającego się Jarvisa. Szofer przytrzymał drzwi, żeby mogła wysiąść z mercedesa. Niewiele już miała z Kim Novak, jakąś część jej pewności siebie i chłodnej urody zastąpiło znużenie, które ciążyło w spojrzeniu i zaokrągliło jej biodra. Wciąż spinała włosy w duży kok, czuła się jednak w obowiązku wynagradzać brak żywej urody coraz okazalszą i bardziej błyszczącą biżuterią, poczynając od kolczyków z masy perłowej kołyszących się niczym wahadła starego królewskiego zegara.

– Szeryfie, przepraszam, że przeszkadzam panu w domu – powiedziała, gdy Jarvis przykładał kapelusz do piersi w geście powitania. – Ale raz jeszcze jest mi pan potrzebny.

– Nigdy nie miałem okazji tego powiedzieć, pani Monroe, ale jest mi bardzo przykro z powodu Ezry, a jeszcze bardziej dlatego, że nie udało mi się dostarczyć pani tego, kto jej to zrobił.

– Pochodzę z rodziny, która nauczyła się dostawać to, czego chce, chociaż czasami wymaga to dużo cierpliwości. Pewnego dnia złapie go pan, szeryfie, pewnego dnia dotrzyma pan obietnicy i rzuci mi go do stóp.

Jarvis zacisnął pięści. Sądził, że ta sprawa również dla Elaine Monroe jest już pogrzebana, a teraz stwierdził z przerażeniem, że kobieta wciąż jeszcze wczepia się w widmo prawdy, która dawno temu im się

wymknęła.

– Dzisiaj jednak wracam do pana z czymś innym, albo prawie. Znów chodzi o ukochaną córkę, ale tym razem...

Po jej twarzy przemknął mroczny cień, po czym kobieta przeniosła przeźroczyście spojrzenie na Jarvisa.

– Pamięta pan, kiedy ostatnio widział moją Ezrę w Carson Mills, szeryfie?

– To było... być może pięć lub sześć lat temu. Nie przyjeżdża tu zbyt często, prawda?

– Nie postawiła tu nogi od blisko siedmiu lat.

– Aż tyle? Lata lecą szybko...

Elaine wygięła palce, zakłopotana.

– Z Ezrą nie jest dobrze, Jarvisie.

To, że Elaine Monroe zwróciła się do niego po imieniu, oszołomiło starego człowieka – zaniemówił i pozwolił jej ciągnąć:

– Kiedy wstąpiła na uniwersytet w Wichicie, zaczęła mieć problemy. Zawiera... złe znajomości. Zmieniła się. Wymknęła nam się. Od czasu napaści przestała być sobą, wszystkiego się bała, odmawiała opuszczenia pokoju bez poważnego powodu, sądziłam, że studia dobrze jej zrobią. Była chętna, miała ochotę tam jechać, mieszkać w kampusie z innymi i...

Elaine stłumiła załazek łzy, zanim ta zdążyła pochwycić promień słońca znajdującego się akurat w zenicie.

– Chce pani wejść, Elaine? – zaryzykował Jarvis. – Emma przygotowała mrożoną herbatę.

Niedostrzegalny, lecz kategoriyczny ruch głowy dał mu do zrozumienia, że wolałaby nie.

– Przez trzy lata usiłowałam wyciągnąć ją z tego gniazda os, przez trzy lata chodziłam za nią, potrząsałam, słuchałam jej, wynajęłam nawet mały pokój w pobliżu kampusu. W końcu pograżyła się na dobre. Pewnego dnia zniknęła. Zatrudniłam dwóch prywatnych detektywów z Wichity, żeby ją odnaleźli, a potem dwukrotnie znów ją traciłam. Mój Boże, gdyby ją pan zobaczył...

Jej szczęki zacisnęły się z taką determinacją, że zdołałyby zmiażdżyć auto gwałtowniej niż prasa hydrauliczna na złomowisku

Bobby'ego Fergusa przy wyjeździe z miasta, i nawet smutek nie ośmielił się ukazać na tej porcelanowej twarzy obciążonej makijażem. Elaine ciągnęła:

– Od dwóch lat nie mam od niej żadnych wieści, od dwóch lat nie wiem, czy żyje. Muszę to wiedzieć. Musi ją pan odnaleźć, szeryfie.

– Dlaczego sądzi pani, że uda się to mnie, skoro prywatni detektywi z Wichity nie dali sobie rady? Moje kompetencje ograniczają się do naszego hrabstwa, Elaine, pani o tym wie.

– Ponieważ panu ufam. Pan ją zna, wie pan, skąd się wywodzi, dla pana Ezra nie jest tylko kolejną teczką, jej twarz nie jest panu obca, to dziewczyna stąd. Wiem, jak pan funkcjonuje, pan jej nie porzuci. Ma pan znajomości, proszę tylko o wykorzystanie ich, może coś z tego wyniknie.

Jarvis się skrzywił.

– A co na to pan Monroe?

Elaine westchnęła ze znużeniem, niemal zdesperowana.

– Och... Cormac uważał, że będzie panował nad córką tak jak nad interesami. Kiedy zrozumiał, że Ezra mu się wymyka, uniósł się, jak w wypadku swoich kontrahentów: odwrócił do niej plecami i zajął czym innym. Ma obsesję na punkcie swojej pracy, rzadko pojawia się w domu, ledwo go widuję. Nie może znieść myśli, że jego własna rodzina nie podporządkowuje mu się tak jak imperium, które stworzył. Ignoruje to, czego nie może kontrolować.

Jarvis nerwowo pogładził wąsy. Nie wiedział, co odpowiedzieć tej kobiecie znajdującej się na krawędzi otchłani. Jej prośba wykraczała poza jego możliwości, nie miał co do tego złudzeń: nie miał szans tam, gdzie polegli detektywi z Wichity. Niemniej jednak nie potrafił odmówić Elaine Monroe, zostawić jej samej sobie w rozpacz. Poza tym miała trochę racji, Ezra była dziewczyną z ich miasta, a więc w pewnym sensie czuł się za nią odpowiedzialny. Nie podobała mu się myśl, że błąka się po Wichicie albo gdzie indziej. Nie ona, nie dusza należąca do Carson Mills, nad którym sprawował pieczę.

Odwrócił głowę w stronę mercedesa. Szofer czekał za kierownicą, obojętny na to, co się przy nim mówiło, czytał gazetę, chwytając kątem oka każdy ruch, gotów wyskoczyć z auta i otworzyć drzwi szefowej.

Jakież smutne życie musi wieść Elaine Monroe, pomyślał Jarvis. Otoczona duchami.

– Zobaczą, co się da zrobić – zgodził się. – Ale proszę się nie spodziewać po mnie cudów.

Przez spojrzenie Elaine przemknął błysk, zacisnęła wargi, żeby po raz kolejny uciszyć wzbierające w niej wzruszenie. Nagle znikąd wydobyła małą welinową kopertę i wręczyła mu ją.

– Zaznaczyłam wszystkie miejsca, w których bywała przed zniknięciem, nazwiska osób, z którymi się spotykała, i opisałam część jej przyzwyczajień.

Jarvis wziął kopertę, ale Elaine jej nie puściła. Zamiast tego nachyliła się w stronę starego mężczyzny, tak bardzo, że poczuł ciepły miętowy oddech. Jej tęczywki wyglądały, jak gdyby miały rozplnąć się i rozlać niebieskim kremem na policzkach pod postacią łez, gniewnych, pełnych żalu, wzbierających w progu jej spojrzenia. Drżącym głosem wyszeptała:

– Ostrzegam pana, to, co stało się z Ezrą w ciągu ostatnich kilku lat, mogłoby złamać serce niejednego rodzica.

Jarvis patrzył oszołomiony, jak Elaine wsiada do samochodu i oddala się, pełna godności do samego końca, ponieważ cała jej rozpacz została zamknięta w welinowej kopercie, którą on trzymał teraz w swoich zniszczonych palcach.

## 19.

Od czasu ślubu z Joyce sprawy nie toczyły się tak, jak to zostało zaplanowane i Jon mocno tego żałował. Głęboko go to wręcz drażniło. Z poświęceniem godnym świętego szukał odpowiedniej dziewczyny, zadał sobie sporo trudu, żeby ją uwieść, dać jej to, co mógł, a przede wszystkim starał się panować nad sobą, nie pozwolić ciśnieniu naprzykrzać mu się. Jeśli wyłoniło się znów na powierzchnię przy nastolatce z pralni, winę za to ponosiła Joyce. To ona nie zdołała dać mu tego, czego potrzebował, co do tego Jon nie miał wątpliwości. Joyce nie sprostала żadnym jego oczekiwaniom. Żadnym. Pojawienie się Rileya z pewnością mocno ich odmieniło, ale powrót do gospodarstwa i życie z Ingmarem oraz Rakel okazało się prawdziwym problemem – w końcu jednak zostali sami.

Przez te wszystkie lata Jon przemierzał drogi w hrabstwie i poza nim w poszukiwaniu chorych zwierząt do ubicia albo szczątków do wywiezienia. Czy w międzyczasie dawał upust ciśnieniu? Przyznam, że nie wiem. Wydaje mi się nierealne, by Jon Petersen mógł hamować się przez ponad dziesięć lat, lecz ten aspekt jego życia nigdy nie dotarł do moich uszu, i jeśli Jon powrócił do swoich ohydnych zwyczajów, do dzisiaj wie o tym tylko on i jego ewentualne ofiary. Na pewno jednak z upływem lat stawał się coraz bardziej oszczędny w słowach, a resztki ludzkich cech, jakie posiadał, zdusił do minimum potrzebnego do przeżycia w społeczeństwie.

Jon był wściekły na Joyce, na miasto, na samego siebie, a od czasu do czasu zdarzało mu się odczuwać nieopanowaną potrzebę wyrażenia tej złości – lepiej wtedy było nie stanąć mu na drodze. W takich chwilach szukał zwady za wszelką cenę. Zaczynał od wstąpienia na stację w centrum miasta, która wcale nie znajdowała się najbliżej jego domu, nie oferowała też tańszej benzyny z dwóch, jakie działały w Carson Mills, miała natomiast jedną zaletę – obecność Tylera Clawsona. Jon parkował zazwyczaj tuż przy nim, nieomal miażdżąc mu stopy, stawał przed tym, którego zmasakrował pięściami wiele lat wcześniej, i domagał się napełnienia baku, i to prędko. Jon prowokował

Tylera spojrzeniem – spłynięcie każdego litra do baku zdawało się zajmować całą wieczność, jak gdyby samochód z trudem przetykał, przerażony – ale tamten nie odpowiadał. Wciąż jeszcze nosił ślady blizn po operacjach, podczas których poskładano mu na nowo twarz i ocalono szczęki, nos jednak miał wykrzywiony, a jedno oko zapadnięte. Wielu mieszkańców Carson Mills szeptało, że powodem, dla którego Tyler wciąż jest kawalerem w wieku ponad trzydziestu lat, są jego zdeformowane rysy. Jon wyzywał go czasami od „chucherka” albo „darmozjada”, Tyler nie reagował, stał ze wzrokiem spuszczone pod wygniecionym kaszkietem Athletics z Kansas City. Miesiące cierpień i rehabilitacji uczyniły z niego owieczkę, chłopaka, który nigdy nie pozbył się traumy, jak wszyscy sądzili. Sfrustrowany Jon odjeżdżał w stronę baru na obrzeżach miasta, by tam szukać zwady i dać upust pewnej części swojej złości. Zawsze dbał, by nie zwrócić uwagi szeryfa Carson Mills, i jeśli musiał bić się w obrębie jego sektora, pilnował, by nie zadać pierwszego ciosu. Jarvis Jefferson był obecnie starszym panem, ale w pamięci Jona pozostawił trwałe wspomnienie.

Pewnego dnia, kiedy Jon wracał z wypadu do klubu bilardowego w Wellington, gdzie nie udało mu się doprowadzić do bójki, we wnęce muru dostrzegł swoją żonę dyskutującą z jakąś zdeformowaną postacią. Fakt, że jego żona zmuszona była sprzedawać codziennie swoją szparę za garść dolarów, był do przyjęcia, w końcu pomysł wyszedł od niego, jej ciało z upływem lat stało się suche i kościste, a on wcale już jej nie pożądał, ale myśl, że Joyce robi to poza wytyczonym terenem, natychmiast obudziła w nim szaloną wściekłość. To, co działo się w Samotnym Wilku, obchodziło tylko klientów, ale Joyce nie miała prawa oddawać się podobnym praktykom w mieście, jeszcze tego brakowało! Co by powiedzieli ludzie z Carson Mills?

Jon zwolnił gwałtownie. Zdał sobie sprawę, że jego żona nie rozmawia z mężczyzną, lecz z kobietą. Kiedy ją rozpoznał, wcisnął z całej siły pedał gazu. Ciotka Rakel postarzała się o dziesięć lat w ciągu kilku miesięcy, a nie było to mało, biorąc pod uwagę, że już na starcie sprawiała wrażenie dwadzieścia lat starszej niż była w rzeczywistości. Jona doszły słuchy, że żyje w nędznym pokoiku, który udostępniła jej osoba blisko związana z pastorem kościoła luterańskiego, i wciąż

podejmuje drobne prace, by nakarmić resztki ciała pokrywające kruchy szkielet. Prawdę mówiąc, było mu obojętne, co ta stara harpia zmuszona jest robić, żeby przetrwać. Nigdy jej nie kochał, nigdy. A ostatnie lata spędzone z nią, jej systematyczne stawanie pomiędzy nim i Joyce albo dzieciakiem, przekonały go, że psuła mu samopoczucie.

Obie kobiety drgnęły, kiedy zapiszczał samochód, i Raker schyliła głowę, gdy tylko rozpoznała bratanka, tymczasem Joyce obejmowała ramionami swoje chude ciało.

– Wsiadaj do wozu – rozkazał oschle żonie, nadbiegając.

– Jon, ty...

– Wsiadaj, powiedziałem! – nalegał, zaciskając szczęki, żeby nie krzyczeć.

Joyce nie spojrzała już na Raker i bez słowa skierowała się w stronę pick-upa. Jon zrobił krok w stronę ciotki – ta się cofnęła.

– A ty – zagroził, wymierzając w nią sękaty palec – jeśli jeszcze kiedykolwiek zobaczę, że zwracasz się do członka mojej rodziny...

Raker podniosła na niego czerwono-żółte oczy, zamiast strachu widać w nich było tylko niedowierzenie.

– Jesteś złym chłopcem, Jon. Wiesz o tym, prawda?

Podszedł jeszcze bliżej, ale tym razem Raker się nie poruszyła.

– Codziennie modłę się do Pana, żeby coś zrobił – ciągnęła – żeby się tobą zajął, dla dobra twojej żony, twojego syna i każdej istoty, która mogłaby cię spotkać na swojej drodze.

Jon wymierzył jej cios pięścią w wątrobę, od którego kobieta zgięła się wóół. Przytrzymał ją jednak, aby nie upadła, zbliżył usta do jej ucha i szepnął:

– Wygląda na to, że sam Pan czuje zbyt duże obrzydzenie do ludzkiego wraka, jakim jesteś, żeby chcieć cię wysłuchać, prawda?

Po czym przycisnął ją do muru, przyłożył dłoń do jej gardła i zaczął zaciskać, cały czas wtapiając w nią spojrzenie. Czuł ciepły i zjełczały oddech starej kobiety, co skłoniło go do jeszcze silniejszego zaciśnięcia dłoni. Raker usiłowała wczepić się w jego ramię i poluznić uścisk, ale nie miała siły.

– Jesteś tak odrażająca, że nawet On nie chciałby mieć cię obok siebie – ciągnął Jon – więc naprawdę myślisz, że ma ochotę cię



wysłuchać?

Z gardła Rakel wydobyło się bulgotanie.

– Jon! – zawołała Joyce z siedzenia pick-upa. – Przestań!

Jon zeszywniał. Nie spodobał mu się ton, jakim żona się do niego zwróciła. Ani trochę. Nacisnął jeszcze raz na przesadnie chudą szyję ciotki i odepchnął kobietę na ścianę, po czym puścił.

– Nie zbliżaj się więcej do nas, zrozumiano? – warknął, grożąc jej pięścią. – Nigdy!

Odwrócił się w stronę auta i zobaczył Joyce, z jej jasnymi lokami i wielkimi zielonymi oczyma. Niesamowite, jak bardzo jej spojrzenie straciło na intensywności od czasu ich spotkania w pralni samoobsługowej. Przez chwilę wydało mu się, że przypomina reklamę świetlną na poboczu drogi, jedną z tych, w których przepalona jest połowa żarówek. Dokładnie tak: jego żona była zniszczonym przez czas szyldem. Przestała lśnić, a co gorsza, z wiekiem stała się odrażająca. Upokarzała go. Poczul nagłe przygnębienie i zrodziło się w nim tylko jedno pragnienie: skończyć z nią i uciec daleko, bardzo daleko.

\*

Otyły, łysiejący facet siedział w wannie – z olbrzymim brzuchem wystającym spod piany, z nogami rozłożonymi na boki niczym kobieta szykująca się do porodu wydmuchiwał w górę dym z papierosa i nucił wymyśloną melodię. Ta świnia zostawiła otwarte drzwi i Ezra widziała go z łóżka. Wolałaby, żeby wykapał się *przed*, oszczędziłoby jej to cierpkiego zapachu potu. Przynajmniej mogła oddychać. Sądziła już, że nadeszła jej ostatnia godzina, kiedy położył się na niej i wcisnął ją całym ciężarem w materac. Boże, ależ ta świnia była ciężka! I do licha, ileż miała sił w lędźwiach. Ezra odnosiła wrażenie, że zajmie jej cały dzień. Chciała się wysikać, ale toaleta znajdowała się w łazience.

– Powiedz, kochanie, nie masz chyba zamiaru zapuścić tam korzeni? – rzuciła nieswoim głosem, który wymyśliła, żeby czuć się silniejszą w swojej roli. – Ja też muszę się odświeżyć po tym wszystkim, co mi zrobiłeś.

– Chodź, pokaż się, chcę mieć przed oczami twoje cudowne ciało. Kto wie, może mnie to jeszcze ożywi.

*Tylko tego brakowało*, westchnęła Ezra. Miała już dość tego niezdarzy, chciała, żeby sobie poszedł.

– To niemożliwe, kochanie, mam później spotkanie, kobiece sprawy – skłamała.

– Ach... – jęknął grubas w wannie, rozkładając na twarzy myjkę. – Szkoda.

Ezra zaczęła nerwowo wybijać rytm nogą. Nienawidziła tych napadów, wiedziała, że to jeden ze znaków. Szybko przepędziła z głowy te myśli. Nie powinna. Wstała i narzuciła na siebie przetarty szlafrok. Nie zadawszy sobie nawet trudu, żeby go zapiąć, weszła do łazienki, wysikać się. Nie zwracała uwagi na tłustą świnie drzemającą pod myjką, z częściowo wypalonym papierosem zwisającym z bezwładnej dłoni, zresztą grubas zdawał się jej nie słyszeć. Odgłos spuszczonej wody sprawił, że aż podskoczył, popiół posypał się na podłogę i mężczyzna spojrział na dziewczynę łakomym wzrokiem, który przyprawił ją o dreszcz. Naprawdę miała już dość. Trochę kręciło jej się w głowie, z trudem mówiła. Znaki nie kłamały. Dawne życie nastolatki z Carson Mills wydało jej się nagle tak odległe, że mogło być tylko snem. A przecież to ona sama położyła mu kres. Nie, niezupełnie, pomyślała, winni też byli jej rodzice. Ich zachowanie, w szczególności matki, do której Ezra czuła olbrzymi żal. Elaine była tak chłodna, tak odległa, taka powierzchowna, jak gdyby „co powiedzą inni” było jedyną rzeczą, jaka się liczyła. Obsesyjne utrzymywanie ich egzystencji w modelowych ryzach było od zawsze jedyną deską ratunku dla ich rodziny, tak w każdym razie uważała. Nie dbając o to, co ona, jej córka, czuje.

Ezra czuła się winna. Wszystkiego. Gwałtu, tego, co zrobiła później, i... Zacisnęła szczęki. Ciężko było wracać do tego myślami. Zrobiła wszystko, żeby szybko uciec z domu, oddalić się od autorytetu ojca i głupoty matki, jeszcze bardziej od okolicy i wszystkich krążących wokół niej widm; tak więc uniwersytet miał być tym jedynym dobrym wyjściem. Żyć daleko, odbudować się, zapomnieć, o ile to było możliwe. Nie było. Sądziła, że wprowadzenie się na kampus w Wichicie stanowi jej drugą szansę, że na swój sposób oczyści ją z wszelkich nieczystości, z traum, ale nic takiego się nie wydarzyło. Zrozumiała to już pierwszego wieczoru, z głową na poduszce w małym pokoiku, kiedy podrywała się

na najdrobniejszy hałas dobiegający z korytarza. Uświadomiła sobie, że w jej głowie nadal wszystko jest takie samo, niepokoją ją te same rzeczy, dręczą te same wątpliwości co wtedy, kiedy kładła się do łóżka w Carson Mills. W końcu duchy nie przynależą do miejsca, nawiedzają tylko mężczyzn i kobiety, nigdy domy. W ciągu kolejnych miesięcy wszystko uległo degeneracji. Towarzystwo, alkohol, a potem... Wpadła w otchłań efemerycznych euforii. Toksycznych ekstaz. Upadek okazał się brutalny, względem zajęć na uniwersytecie, względem matki, a nawet jej samej. Potrzeba pieniędzy. Głód. Upodlenie. Wrzaski matki. Ucieczka. Włóczęga. Ulice Wichity. Potrzeba utrzymania się przy życiu, wypełnienia pustki, znalezienia *pożywienia* dla żył. Niekończąca się spirala. Aż po prostytutkę. Bez końca.

To piekło najpierw ją zniszczyło, by następnie powoli otworzyć jej oczy. Musi sobie poradzić, odciąć się, za wszelką cenę wyzwolić się z nałogu trucizn, zmuszającego ją do kupczenia swoimi otworami. A mimo to każdy dzień i każda noc pracy domagały się dawki, która rozpuściłaby wspomnienia, koszmar mokrych ciał, bólu, upokorzenia, tych groteskowych jęków dźwięczących bez przerwy w uszach i wszystkich tych substancji, które brukały ją, aż stała się ohydną gąbką przesiąkniętą cudzymi wydzielinami. Piekielna pętla. Ale Ezra była niezależną dziewczyną, o rzadkiej sile charakteru, nie tylko dzięki temu, co przeżyła w młodszych latach, nie, miała to zapisane w genach, była jedną z Monroe'ów, wojowniczką, zażartą twardzielką. Dlatego krok po kroku, mimo koszmaru, jaki przeżywały jej dusza i ciało, zdołała uwolnić się od przymusu. Było to trudne, zarówno na początku, jak i po wielu tygodniach z dala od szkodliwej substancji, ale trzymała się dzielnie. Ezra zerwała całkowicie kontakty z bliskimi, musiała jednak zaspokajać swoje potrzeby, a nie mając nic poza własnym ciałem, wciąż się sprzedawała, teraz jednak z mniejszym zapalem, tylko tyle, żeby zapewnić sobie jedzenie i opłacić czynsz. Powoli zaczynała dostrzegać w tunelu światełko odradzającej się nadziei, zapowiedź jutra, rozważała możliwość zwrócenia się ku przyszłości – wciąż jeszcze mglistej i wrażliwej, w trybie przypuszczającym, ale jednak był to dla niej wielki krok naprzód po przebrnięciu przez okres, w którym wszystko rozgrywało się jedynie w trybie rozkazującym.

Ezra rzuciła szorstki ręcznik na twarz grubej świni.

– No już, wynocha, muszę się szykować.

– Spokojnie, ślicznotko: mógłbym się przyglądać, jak zajmujesz się sobą, a przed wyjściem byłabyś tak miła i zrobiłabyś mi jeszcze małą pieszczotę.

– Znasz cennik, przedłużasz wizytę?

Gruba świnia pociągnęła nosem, zdenerwowana.

– Tyle mnie już kosztowałaś, chcesz więcej?

– Liczysz może na kartę lojalnościową? Twoja żona byłaby zadowolona, gdyby na nią trafiła...

Mężczyzna parsknął śmiechem i wyszedł z wanny, woda z jego sflaczałego ciała ściekała na czarno-białą posadzkę, dzięki czemu resztki popiołu z papierosa ostatecznie się rozplynęły.

– Coś ty, wielkoduszna z niej małżonka. Jest zbyt purytańska, żeby to zrobić, ale chętnie zapłaciłaby, żeby inna mnie possała! Ach, te kobiety, słowo daję... Nie ty, słodziutka, ty jesteś inna.

– Dlaczego? Bo jestem kurwą?

Grubas zastanowił się, po czym skinął głową.

– Tak, chyba dlatego.

Ezra zdołała wreszcie wypchnąć go za drzwi, pomógłszy mu uprzednio zawiązać buty, po czym rzuciła się wycieńczona na łóżko. Co za życie! A popełniła w nim wiele błędów. Co by sobie pomyśleli mieszkańcy Carson Mills, gdyby ją taką zobaczyli? Nie chciała sobie nawet tego wyobrażać. Z tego powodu przecież już tam nie wraca. Jej matka spłonęłaby ze wstydu, a ona nie zniosłaby spojrzeń ludzi, którzy patrzyli, jak dorastała. Prędzej wolałaby umrzeć. Poza tym są jeszcze rozpustnicy, którzy jak gdyby nigdy nic usiłowałiby skorzystać z jej wdzięków, a tego Ezra nie mogła nawet brać pod uwagę. Tu otaczali ją sami nieznajomi. Któregoś dnia zniknie, wyjedzie na zachód, w stronę Hollywood, by wreszcie wrócić do domu, gdzie wszystko zostanie jej zapomniane, gdzie nikt nie będzie o niczym wiedział. Z czasem sama zacznie wierzyć, że nic się nie wydarzyło. To będzie jej zbawienie. Na razie ratowała ją anonimowość dużego miasta.

Ezra potarła czoło. Cholerna suchość w ustach, cholerne swędzenie skóry, cholerny szum w skroniach. Czuła, że wzbiera w niej potrzeba.

Sięgnęła po szklankę wody i wypła duszkiem. Wiedziała, co robić w takich chwilach. Sen był jednym z rozwiązań, ale w jej stanie wydawało się to mało możliwe, gorączka mogłaby ją strawić jeszcze przed nadejściem pierwszych marzeń sennych. Musi się przejść. Odejść daleko od północnych dzielnic, dotrzeć do centrum miasta, oddalić się od pokus. Musi skonfrontować się z życiem, prawdziwym i pięknym, z uśmiechającymi się wokół niej rodzinami, pięknymi młodymi kobietami buszującymi po sklepach, musi podziwiać pięknych chłopców, myśleć o tym, że jeśli kiedyś uda jej się z tego wydostać, otrzyma swoją szansę. Wkrótce. Jest na dobrej drodze.

Rozległo się pukanie do drzwi.

To pewnie Liz, sąsiadka, która usłyszała, że klient wyszedł, i chce wpaść na pogaduszki. A może Marcus, sutener, który podejmuje „konsumentów” na dole i kieruje ich do mieszkań dziewcząt. Marcus pobierał swoją dolę, nie był zbyt pazerny, dało się wytrzymać; w zamian dbał o warunki, a okazjonalnie rozwiązywał różne problemy.

– Powiedziano mi, żebym przyszedł do pani – odezwał się zza drzwi męski głos.

Ezra go nie знаła. Nowy klient. Zamknęła na chwilę oczy. Nie miała już sił. Mężczyzna nalegał. Westchnęła. Może pójdzie szybko, jej wpadnie kilka dodatkowych banknotów, a przy odrobinie szczęścia z głowy wywietrzeją złe pragnienia. Otuliła się szlafrokiem i poszła otworzyć. Stał przed nią brunet o ciemnym spojrzeniu, przydługich włosach i zapadniętych policzkach, nadmiernie chudy. Musiał mieć nie więcej niż trzydzieści lat, ale wydawał się o dekadę starszy z powodu głębokich bruzd, które porały mu twarz, szczególnie na wysokości oczu. Ezra poczuła, że nie jest jej całkiem obcy, chociaż nie potrafiła sobie dokładnie przypomnieć, gdzie już widziała tę surową twarz. Lata spędzone w syntetycznej iluzji nadwyrężyły jej pamięć, zachowała wspomnienia tylko nielicznych twarzy, co wcale nie było takie złe.

Wpuściła go do środka, niewiele rozmawiali, mężczyzna nie należał do gadatliwych. Wręczył jej banknoty. Ezra schowała je do szuflady komody, po czym usiadła na rozgrzebanym łóżku. W pokoju musiało jeszcze cuchnąć rozpustą, ale była do tego tak przyzwyczajona, że nawet tego nie zauważała. Najwyraźniej nie przeszkadzało to również

mężczyźnie.

– Czy my się znamy? – spytała Ezra.

– Nie sędzę.

– Wyglądasz na rozzłoszczonego. Nie zrobisz mi krzywdy, co?

– Jestem zły na żonę – odparł, rozpinając spodnie i stając przed

Ezrą.

– Tak jak wszyscy moi klienci, jeśli cię to pocieszy.

Nie zdążyła powiedzieć już nic więcej, bo mężczyzna złapał ją za włosy i zmusił do połknięcia jego miękkiego członka. Ezra знаła już ten rodzaj traktowania i nie wzbraniała się. Im szybciej będzie posłuszna, tym szybciej facet sobie pójdzie. Niektórzy mężczyźni potrzebują czułości, inni dzikiej kochanki, ale oprócz rozkoszy szukają też czyjejś obecności. Garstka chce się tylko rozładować, a przy nich Ezra nauczyła się istnieć tylko jako otwory. Nie przeszkadzać im, nie denerwować. Jedynie doprowadzić do rozkoszy, być rzeczą i zapomnieć. Wśród tych ostatnich byli tacy, którzy mówili, nie spodziewając się odpowiedzi, ale większość wyzywała ją albo milczała. Ten jednak zaczął mówić dziwne rzeczy, podczas gdy Ezra wysilała się przy nim mimo suchości w ustach i szumu w skroniach.

– Ona mnie wkurza. Doprowadza mnie do szału, dziwka.

Jedną dłoń trzymał na karku Ezry, drugą na jej głowie, we włosach, towarzysząc ruchom kobiety mocnym uściskiem.

– Nienawidzę jej. Chciałbym zrobić jej krzywdę. Dziwka.

Jego podniecenie narastało wraz z potokiem obelg. Kiedy rozochocił się tak, że Ezra zaczęła się obawiać, czy nie robi jej krzywdy, dodał pod nosem:

– Gdyby nie była moją żoną, chybabym ją zabił.

Teraz Ezra już nie pracowała, to mężczyzna wbijał się w nią ruchami bioder. Nagle, między dwoma stęknieniami, rzucił:

– Muszę ci się do czegoś przyznać... Zauważyłem cię już jakiś czas temu. Sporo czasu zajęło mi rozpoznanie cię. Zawsze marzyłem, żeby dojsć w ustach nadzianej kurwy.

Eksplodował i wcisnął się w jej gardło tak głęboko, że Ezra niemal się udławiła, dłonie mężczyzny przyciskały ją mocno do ud, zdołała więc tylko pluć i łapać powietrze nosem. Wiedziała, że ugryzienie byłoby

niebezpiecznym wyjściem, że wylądowałyby w szpitalu, za to przy odrobinie cierpliwości za kilka sekund wszystko się skończy. Kiedy mężczyzna dyszał, Ezra doznała przebłysku świadomości, który sprawił, że zadrżała. Słowa te przeniknęły ją do głębi. Nie znała jego głosu, ale ten sposób wysławiania się, ta twarz, jakby wyciosana tępym nożem, to mógł być tylko *on*... Zaczęła gwałtownie się trząść.

Tak, bez wątpienia tam, skąd pochodziła, wszyscy go znali. Wszyscy. Nie była to dobra sława.

Kiedy powracało wspomnienie tego, który rozlewał się w niej, między dwoma spazmami w poszukiwaniu powietrza nieomal zwymiotowała, a jej oczy zalały się łzami.

## 20.

Za każdym razem, gdy przypominam sobie tę historię, nie mogę oprzeć się myśli, że niewiele brakowało, aby wszystko potoczyło się zupełnie inaczej. Nasze życie jest tak skonstruowane, prawda? Nagromadzenie małych, następujących po sobie przełączników, jeden otwarty, kolejny zamknięty, zmusza nas do obrania jakiegoś kierunku; przesyłamy nasz życiowy prąd sinusoidalnymi trajektoriami o mniejszych lub większych amplitudach, choć nikt z nas tak naprawdę nie wie, dlaczego ten albo tamten przełącznik jest włączony. Takie już są koleje codzienności: spotkania, niewykonane czynności, gesty, zapomnienie, sukcesy i porażki... Niektórzy nazywają to „losem”, inni „wyborem Boga”, a jeszcze inni nie zadają sobie pytań, tylko żyją.

Carson Mills i my wszyscy nie poznalibyśmy akurat takiego rozwiązania, gdyby nie dwa zbliżone w czasie wydarzenia. Jestem jedną z nielicznych osób, które o nich wiedzą, co zawdzięczam temu, że byłem ich bezpośrednim świadkiem. Pierwszym było pojawienie się Hanny Petersen (która w międzyczasie stała się Hanną Dickener) w okolicy, z której uciekła blisko dwadzieścia lat wcześniej.

Hanna bardzo się zmieniła w Nowym Jorku, między Brooklynem a Bronksem, gdzie często ze swoim mężem Thomasem przeżywali trudne chwile, doznawali krótkotrwałych, lecz intensywnych radości, ale mimo starań nie dane im było zostać rodzicami. Tragedia ta, zamiast ich rozgoryczyć, zespoliła ich związek, ponieważ okrutne doświadczenia mogą albo zbliżyć parę, albo ją zniszczyć. Teraz, kiedy Hanna wiedziała już, że nigdy nie będzie matką, miała pewność, że do ostatniego tchnienia pozostanie przy mężczyźnie, którego poślubiła i który zabrał ją z dala od koszmarów Carson Mills, co dodawało jej pewności siebie i siły, o jaką nigdy siebie nie podejrzewała. Hanna i Thomas pojawili się w miasteczku w pewne wrześnie południe i przejechali powoli główną ulicą, przy piosence „Hurricane” Boba Dylana sączącej się z radia samochodowego. Przetoczyli się obok kina, które wcale się nie zmieniło, jak gdyby zastygło w czasie, następnie skręcili, by z zaskoczeniem odkryć, że *diner* Freda Tannera również nadal istnieje



i te same ławki pokryte popękany obecnie czerwonym skajem otaczają stoliki w boksach. Fred musiał być obecnie starszym człowiekiem. Hanna zastanawiała się, co się stało z Talitą, jej dawną koleżanką. Czy pracowała nadal, jak te pięćdziesięciolatki, które spotyka się w niektórych nowojorskich barach, z blond lokami, przesadnie wymalowane, z wyeksponowanymi zwiotczalymi piersiami, mającymi przypominać o pożądaniu, jakie niegdyś wzbudzały, żujące nieustannie gumę i zwracające się do każdego klienta per „kochanie”. Początki miłości Hanny i Thomasa rozegrały się wśród owego zużytego wystroju, a teraz, kiedy zobaczyli ślad czasu na fasadach, sami poczuli się trochę starsi, a także nieco smutniejsi. Wzięli się za ręce i przez chwilę nie odzywali słowem. Hanna przez dwie godziny krążyła po miasteczku, zatrzymując się tu i ówdzie, dopóki nie znalazła tej, której szukała. Rozmawiały dłuższą chwilę, po czym Hanna zostawiła ją pod opieką męża, sama zaś usiadła za kierownicą wypożyczonego samochodu i ruszyła w stronę gospodarstwa, gdzie dorastała. Zaparkowała obok pick-upa Jona, zatknęła kciuki o szlufki jeansów i znieruchomiała przed drzwiami wejściowymi. O ile wygląd podupadłego Carson Mills uświadomił jej własny wiek, o tyle gospodarstwo kazało sądzić, że powinna być już tylko zwłokami sprofanowanymi wśród tych murów.

\*

Niemniej jednak prawdziwego szoku doznał Jon. Nie rozpoznał ciotki od razu. Wciąż miała długie, kręcone włosy, niekończące się rzęsy i charakterystyczny pieprzyk nad górną wargą, ale to było wszystko. Jej cera przypominała tapetę w zbyt wilgotnym domu, która odkleja się po latach, zmarszczki okaleczały jej czysty niegdyś uśmiech, przedłużając pozostałości melancholii i ściągając jej usta ku dołowi, na dłoniach widoczne były żyły, a biodra nieco się zaokrągliły. Gdzie, do diabła, podziała się ta, którą znał w młodości? Dla Jona, dla którego czas zatrzymał się w chwili, kiedy grzebał w jej gorętszej niż piekło cipce, to było po prostu nie do zniesienia. Hanna nie mogła aż tak się zmienić. Musiał przytrzymać się ściany, żeby się nie zachwiać.

– Zawsze wiedziałam, że jesteś śmieciem – powiedziała na powitanie – ale to, co zrobiłeś Rakel, czyni cię jeszcze gorszym. Jesteś

niehumaniczny, Jon.

Emanowała z niej siła, która jeszcze bardziej go bulwersowała. Gdzie zniknęła mała, łagodna i uległa Hanna? Co zrobił z nią Nowy Jork? Jon był zbyt oszołomiony, żeby odpowiedzieć.

– Gdybym mogła, wydałabym cię glinom za wszystkie okropne rzeczy, które popełniłeś, ale nie mam dowodów, a publiczne upokorzenie nas sprawiłoby ci zbyt dużą przyjemność. Jesteś moralnym bagnem naszego gatunku, Jon, musisz to wiedzieć, jesteś jego strefą cienia, wcieloną dysfunkcją.

Wypowiadała się z taką pewnością siebie, że Jon nie potrafił nic odpowiedzieć. Pomyśleć, że *to* był cenny kwiat maku, który od tylu lat zamieszkiwał jego fantazje! Nie, niemożliwe! Jon wyobraził sobie, że między jej nieco tłustymi udami, jest ohydna wilgotna masa o omszonych fałdach, niemających już nic wspólnego ze słodkim makiem, który przebił niegdyś, używając całej swojej siły. Świat się kołysał. Jon wbił paznokcie w drewno framugi, żeby się przytrzymać.

– Właśnie odnalazłam Rakel. Nie chce z nami wyjechać – dodała Hanna – nie chce opuszczać Carson Mills ze względu na twoją żonę i syna. Chce mieć na was oko. Ale jeśli dowiem się, że się do niej zbliżyłeś choćby raz, jeśli ją tkniesz, przylecę z Nowego Jorku pierwszym samolotem z jednym z moich mniej uprzejmych znajomych i przysięgam, że po raz pierwszy w twoim nędznym życiu, Jonie Petersen, poznasz prawdziwy smak cierpienia!

Wycelowała w niego palec wskazujący, a jej niegdyś niewinne spojrzenie ociekało teraz zepsuciem, jakim zapłodniło ją wielkie miasto. W innych okolicznościach mało prawdopodobne, by Jon pozwolił kobiecie zwracać się do siebie tym tonem i nie zmiażdżył jej podeszwą ust w ramach krwawej pokuty, był jednak zbyt oszołomiony widokiem Hanny. Wolałby nigdy jej nie zobaczyć i zachować nienaruszone wspomnienie.

Hanna odjechała z piskiem opon, wznosząc za sobą chmurę dymu. Ale w umyśle Jona krajobrazem wstrząsnęło tornado.

Konsekwencje tego zdarzenia okazały się dramatyczne. Pierwotna fantazja mężczyzny krystalizuje się za pośrednictwem wydarzeń z dzieciństwa i okresu dojrzewania równie trwale jak jego osobowość.

Podobnie jak nie zmienia się osobowości dojrzałej jednostki, nie sposób również zmienić określonego instynktu seksualnego, można go tylko lekko przekształcić. Tymczasem Jon dorastał z obsesją małego maku, który przekłuwał swoją męskością aż do krwi. Próbował odnaleźć to uczucie przy innych kobietach, a teraz, kiedy odkrył, kim naprawdę jest Hanna, zrozumiał, że być może się pomylił.

Niósł swoje pragnienie przez życie. Niesłusznie. Rozwiązanie leżało gdzie indziej. Teraz miał pewność.

## 21.

Drugie wydarzenie, które związało losy naszej społeczności, miało miejsce pod koniec października tego samego roku, niecały miesiąc po wizycie Hanny u Jona. W międzyczasie nastąpił „incydent” z psem z udziałem Riley’a i jego ojca. Dziecko nie spało z tego powodu przez dwa tygodnie, zrywało się co godzinę, mając przed oczami główkę kundla miażdżoną przez młot kamieniarski. Riley tęsknił za Cooperem. Dzieciak długo wybierał dla niego imię, by wreszcie zdecydować się na bohatera kreskówki, i od pierwszego wejrzenia zapalał do zwierzęcia uczuciem. Jego śmierć w jednej chwili katapultowała chłopca do okrutnego świata dorosłych, z czym nie potrafił sobie poradzić. Jonowi się udało, syn stał się bardziej posłuszny niż kiedykolwiek, przerażony i uległy, choć rozkojarzony, z oczyma zaczerwienionymi ze zmęczenia. Riley nie okazywał już żadnej radości życia, przestał się śmiać (o ile kiedykolwiek śmiał się w obecności ojca), stracił apetyt, co gorsza, poranne kanapki z serkiem kremowym przestały mu smakować, kojarzyły mu się bowiem z ową ponurą pobudką w dniu, w którym wyruszyli na rzeź na leżące odłogiem pola. Jon ani trochę się tym nie przejmował, wiedział, że każda dobra lekcja musi zostać przetrawiona, a ta wymagała dłuższego czasu, żeby zostać przełknięta. Był dumny, patrząc na syna poruszającego się mechanicznie jak robot.

Lato było wyjątkowo deszczowe, a z nadejściem jesieni opady jeszcze bardziej się nasiliły. Codziennie z nieba lały się potoki, zatapiając pola i rozmiękczając podszycie najgęstszych lasów. Ziemia tonęła, z trudem chłoneła wodę, miała już przepełnione podziemne zbiorniki i strumienie do tego stopnia, że korzenie drzew dusiły się od tego nadmiaru. Deszcz zwyciężał wreszcie rynny i najszczelniejsze dachy, woda przeciskała się coraz bliżej ludzi, do ich kuchni i aż po nogi łóżek.

W obliczu katastrofy ludzie dzielą się na dwie kategorie: tych, którzy wierzą w dzieło Boga, i tych, którzy widzą w niej pecha. Pierwsi są zazwyczaj nieszczęśliwi, myśląc, że ściągnęli na siebie boską złość, drudzy czują to samo, bo przyszło im żyć w świecie, na którym śmierć

jest tak nieprzewidywalna. Moim zdaniem prawda leży pośrodku. Wierzę w człowieka, więc wierzę w Boga. Uważam, że kiedy tysiące, następnie miliony, a wreszcie miliardy istot zaczynają wierzyć w to samo, stulecie po stuleciu, to coś zaczyna istnieć. Takie jest prawo natury. Gdy jakaś siła, nawet umysłowa, zaczyna wywierać tak wielką presję, pchać w jednym kierunku, wtedy prądy kosmiczne nieuchronnie zmieniają się, tworząc nowe siły przyciągania. Bóg istnieje, bo daliśmy mu ciało. Albo dlatego, że rozkazał nam to dawno temu. A może wymyśliliśmy go, żeby wypełnić nieznośną pustkę? Nie w tym rzecz – nie ma bowiem jedynej odpowiedzi na to pytanie. Pozostaje jego niepodważalna, chociaż kartezjańska egzystencja: wierzymy w Niego, więc on jest. Zbyt wielu ludzi i zbyt dużo czasu zostało mu poświęcone, aby wszystko to miało pójść na marne. Takie jest moje zdanie. Sądzę, że logika ta może zostać też zastosowana w innych sytuacjach. Na przykład, jeśli wszyscy mieszkańcy danego regionu odczuwający tę samą złość i strach zaczną podświadomie strzelać w jednym kierunku, zaowocuje to konsekwencjami. Naprawdę uważam, że to właśnie nastąpiło owej październikowej nocy na jednym z krańców posiadłości Petersenów, za ugorem, z dala od dróg i ludzkich spojrzeń. Woda płynęła tamtędy tak obficie, że rozpuściła glebę, a przynajmniej jej podłoże, i olbrzymi strumień błota oderwawszy się od wzgórza, rozlał się na ponad trzystu metrach, rozerwał polanę na dwie części i odsłonił jej ciemne wnętrza. Ten zapomniany kawałek lasu i porośniętych trawą prześwitów był tak oddalony od cywilizowanego świata, że nikt nic nie zauważył, nie licząc dwóch mężczyzn z rodziny Petersenów przemierzających należącą do nich ziemię.

Riley zapuścił się w tę rzadko uczęszczaną przez niego okolicę, ponieważ dostrzegł pewną zmianę: w oddali, na linii horyzontu powstało osuwisko. Korona drzew różniła się od tej, którą znał na pamięć. Udał się tam nazajutrz po osunięciu się terenu, kiedy okolica wciąż jeszcze była niestabilna, a chtoniczne wnętrza kłębiące się pod jego stopami wybrzmiewały osobliwym burczeniem. Posuwał się naprzód powoli, przytrzymując się drżącą dłońią pni, w miarę jak się zbliżały, i odgadując, że coś musiało się zmienić. Wyczuwał w powietrzu zapach ozonu, a także silną woń humusu, jak wtedy, gdy wsuwa się nos

bezpośrednio do otworu świeżo wyźłobionego w pulchnej glebie podczas burzy. Las był dziwnie cichy, fauna zdawała się trwać w osłupieniu lub śledzić zmianę w ekosystemie. Szare światło dnia sączyło się przez nisko zwieszoną i gęstą warstwę chmur, wciąż zanosilo się na ulewę, co czyniło przygodę jeszcze bardziej niebezpieczną. Riley zwolnił na ostatnich metrach, po czym zatrzymał się na skraju przepaści, która dzień wcześniej jeszcze nie istniała. Tam, gdzie powinna się wznosić gęstwina drzew i krzaków tworzących leśny półmrok, widniało olbrzymie wyźłobienie podkreślone światłem dnia, brunatny naciek pośród jednobarwnej zieleni. Był to imponujący widok. Riley nie mógł otrząsnąć się ze zdumienia. Przytrzymał się niskiej gałęzi, gdyż otwierająca się przed nim otchłań przyprawiała go o zawrót głowy, po czym cofnął się nieco. Można by pomyśleć, że rozbił się tu samolot. Riley postanowił obejść rozpadlinę, żeby dokładniej jej się przyjrzeć, i nieco dalej znalazł przejście pozwalające na zejście w głąb. Obnażona ziemia kojarzyła mu się z raną, przyglądał się ciemnobrązowemu ciału świata, upstrzonemu tu i ówdzie białymi drzazgami przypominającymi kawałki kości roztrzaskanych podczas uderzenia. Zapadlisko było głębokie, lecz duże kamienne bloki piętrzyły się po jego bokach, ułatwiając zejście. Rozdarta siłą osuwającego się terenu splątana sieć korzeni, która przytrzymywała skorupę ziemską, wyłaniała się teraz pod postacią milionów różnej grubości poskręcanych strzępków, niczym ramiona szkieletu, które wczepiały się w ubrania Riley'a. Miał wrażenie, że porusza się między płataniną postrzępionych żył, które starają się go powstrzymać. Było to równie ekscytujące, jak przerażające.

Chłopcu udało się już niemal dotrzeć do centrum rozpadliny, kiedy znieruchomiał przed jedną z licznych białych plam, jakimi była usiana gleba. Miała kształt, pewien estetyzm. Nie był to zwykły kamień, który znalazł się tam przypadkiem. Między pokrytymi ziemią krawędziami, po charakterystycznym profilu i wgłębieniach oczodołów, Riley rozpoznał zwierzęcą, prawdopodobnie psią czaszkę. Odwrócił się powoli i przyjrzał uważnie pozostałym bladym kamieniom wokół siebie. Były wszędzie. Dziesiątki. Setki. Może jeszcze więcej. Riley zobaczył kości, klatki piersiowe, wiele innych czaszek, miejscami też kępki sierści wciąż jeszcze przyczepione do płatów szerniałego mięsa. Liczne psy, zapewne

też koty, lisy, kilka dzikich zwierząt, ale również większe kształty, krowią głowę, a nieco dalej coś, co przypominało obdartego ze skóry konia o olbrzymich żebrach. Deszcz odsłonił tę wielką sekretną nekropolię. Jak to możliwe? Z tego, co Riley sobie przypominał, nie widział tu nic innego oprócz polany, na którą rzadko się zapuszczał, gdyż...

Dziecko zeszywniało. Przypomniało sobie swoje wędrówki po okolicy i ten nieznośny odór, mieszaninę zgniłych jaj i niezdrowych gazów, który unosił się wśród paproci i płataniny cierni otaczających otwór. Owa woń trzymała go na odległość przez te wszystkie lata.

Nikt oprócz Petersenów nie znał tego miejsca, nikt nie mógł tu dotrzeć, nie będąc obeznanym z okolicą, a teraz Riley przypomniał sobie również, że widywał już ojcowskiego pick-upa brnącego po nierównościach w tę stronę.

Czy to procesy gnilne zachodzące w szczątkach osłabiły teren, czy soki tych zwierząt przeżarły podstawę wzgórza? Ulewa porwała tylko to, co samo się o to prosiło. Jak gdyby ziemia wstydziała się dawać w swym łonie schronienie podobnym obrzydlistwom.

Tak czy inaczej Riley uświadomił sobie, że znalazł cmentarz założony przez ojca. To tutaj rakarz pozbywał się martwych zwierząt. Mimo to chłopiec zdziwił się, że widzi ich aż tyle. Niektóre musiały być tu od bardzo dawna. Obrócił się kilkakrotnie wokół własnej osi, lecz w końcu zaniechał liczenia. Wstrząsnął nim lodowaty dreszcz i postanowił zawrócić. Instynkt podpowiadał mu, żeby czym prędzej uciekać, wspiąć się po śliskim zboczu otwartej rany, przypadkiem nie dać się zauważyć i nikomu nie wspominać o swoim odkryciu, szczególnie ojcu.

Poza tym Riley czuł w głębi duszy, że nie ma ochoty przyglądać się tym wszystkim kościom. Nie miał też odwagi przyznać się do tego przed samym sobą, ale obawiał się, że mógłby dostrzec tu inne szczątki, których miejsce było zupełnie gdzie indziej.

## 22.

Jon Petersen w całym swoim życiu nigdy nie odczuwał najłżejszych wyrzutów sumienia. Można jednak uznać, że przynajmniej raz pojawił się w nim cień wątpliwości w związku z tym, co robił. Kiedy odkrył, że jego ponura kryjówka została odsłonięta. Stał dłuższą chwilę z opuszczonymi rękami, kontemplując niesamowity widok i nie wiedząc już, co robić ani co myśleć. Czuł się zgwałcony, widząc swoje tajemnice wyciągnięte na światło dzienne. To było *jego* dzieło, *jego* świat, i nikt nie powinien o tym wiedzieć, a już tym bardziej na to patrzeć, nie taki był cel, nie tak miało być. Kolekcjonował trofea niczym kompulsywny gracz, i nic nie uspokajało go bardziej niż ta polana, po której stąpał, wiedząc, że pod jego stopami śpi skarb. Myślał wtedy o kotach i psach, które złapał, torturował, a ostatecznie zabił jeszcze jako nastolatek. Każde stworzenie, które ładował do samochodu jako dorosły mężczyzna i grzebał tutaj, dołączało do sensorycznego banku danych i tworzyło swego rodzaju wrota do wspomnień, do dzieciństwa i odległej euforii. Poczul złość. To niesprawiedliwe. Wszystko zostało zniszczone, zdewastowane. W głębi duszy Jon nie niepokoił się zbyt, wiedział, że nikt nie zapuści się w tę okolicę na tyłach jego posiadłości, za to on sam nie będzie miał tu już nic do roboty. Te wszystkie lata pracy zmiecione w ciągu jednej nocy...

Następnie zaczął się zastanawiać. Dlaczego to się wydarzyło? Czy należało dopatrywać się w tym znaku, jak niektórzy wierni Kościoła by na pewno uczynili, gdyby się tylko dowiedzieli? Czy Bóg wysłał mu wiadomość? Do tej pory Jon nie zastanawiał się tak naprawdę, co Bóg może sądzić o jego czynach. Jeśli Pan był tak miłosierny, jak twierdzono, zrozumiałby, wybaczyłby mu w odpowiednim momencie. Ale czy nie była to przypadkiem manifestacja potępienia? Spośród tysięcy akrów ziemi to właśnie jego działka musiała się osunąć! Jonowi to się nie podobało. Rozmyślał cały dzień i całą noc, a następnego dnia wczesnym rankiem usiadł na drewnianym ogrodzeniu zagrody świń i palił papierosa za papierosem, podczas gdy jesienna mgła spływała powoli po zboczu wzniesienia, jakby wystraszona widokiem gospodarza.



Podjął decyzję. Musi przyznać się do winy. Wypowiadać się, i to nie połowicznie, uzyskać absolutne rozgrzeszenie, wszystko opowiedzieć, w najdrobniejszych szczegółach, aby poczuć się wysłuchanym przez Boga. Ale Jon znał swoje ograniczenia. Jak miałyby następnie, w każdą niedzielę, stawiać czoło człowiekowi, który wiedziałby o nim wszystko? Czy zniósłby jego spojrzenie? Nie, to było ponad siły. Niezdolny nie podążać za swoimi myślami, Jon Petersen wybrał treść zamiast formy i uczynił to, czego dziadek Ingmar nie byłby w stanie zaakceptować: on, luteranin, wskoczył do samochodu i ruszył w stronę kościoła metodystów. Stary człowiek nie zniósłby tego, złorzeczyłby, przypominając Jonowi, że jego własny ojciec zginął z powodu kłótni pod kościelną dzwonnica, że dopuszcza się zdrady wobec swojej krwi, wobec swoich korzeni, wreszcie zapewne odebrałby sobie życie, byleby nie istnieć dłużej w tak nie zrównoważonym świecie. Ale Jon nie dbał o to. Z wiekiem przestał się przejmować takimi drobiazgami.

Kiedy stanął przed pastorem Azielem Alezzą, ten ostatni dłuższą chwilę usiłował złapać oddech, po czym skinął głową. Nie mógł odmówić wysłuchania aktu skruchy bożego dziecka, chociaż należało ono do innego Kościoła. Alezza znał każdego mieszkańca Carson Mills lepiej niż ktokolwiek inny – oprócz tradycyjnych publicznych ceremonii osobista spowiedź była tu bardzo popularna. Alezza od dziesięcioleci wysłuchiwał tajemnic; ukryci za kotarą, którą kazał rozwiesić w głębi kościoła, wszyscy zaczęli od zwykłej paplaniny, by wreszcie przyznać się do popełnionych grzechów. Żaden sekret nie pozostawał nim zbyt długo, zbyt wiele ust szeptało zachłannie: rozgrywki związane z władzą, z uwodzeniem, rytuały inicjacyjne lub klanowe – wszystkie kończyły w uchu pastora. Jeśli była jakaś część życia Carson Mills, którą Aziel Alezza postrzegał mniej wyraźnie, ta dotycząca mniejszości luteranów, zawsze znalazło się kilka osób chętnych, by wymienić się wiedzą ze znajomym metodystą, oddając usługi w ramach przyjacielskich stosunków (choć te zdarzały się rzadziej) albo po prostu dlatego, że było to silniejsze od nich: w małym miasteczku człowieka określa to, co wie. Dlatego w końcowym rozrachunku to pastor był ostatnim ogniwem łączącym wszystkie bezwstydną szeptami, zlewką, do której spływały,

zbiegiem równoległych wątków. Przez pierwsze lata pracy Aziel przysięgał sobie, że nie będzie wykorzystywał owych niestosownych sekretów, po czym uświadomił sobie, że w niektórych przypadkach dawały one możliwość pokierowania tym czy tamtym, aby rozwiązać problemy, wyjaśnić nieporozumienia, uzyskać potrzebną pomoc, i chociaż wykazywał się zawsze dużą subtelnością, stał się, na swój skromny sposób, osobą, która rozplątała niejednego supeł w Carson Mills. Lubił kłaść się spać wieczorem, rozmyślając o swoim wkładzie w czynienie życia wokół siebie lepszym, w służbie Pana.

Kiedy Jon znalazł się w konfesjonale, pierwsze słowa z trudem pokonały próg ust. Gdy już jednak się rozpędził, nie sposób było go zatrzymać. Jego świadectwo trwało do zmierzchu, Alezza musiał w końcu wyprosić go za drzwi, obiecując, że poświęci mu czas ponownie o świcie. Ledwo pierwszy promień słońca wpadł przez wielkie okno nad wejściem, by pocałować Chrystusa wiszącego w głębi kościoła, a Jon już pukał do drzwi. Wpuściwszy go, Alezza wyjątkowo zamknął za nim drzwi na zasuwę. Słuchał go przez cały dzień i jeszcze przez następny. Jon Petersen miał tyle do opowiedzenia, wyrządził tyle zła w ciągu swojej mimo wszystko krótkiej egzystencji, że mówił trzy dni bez przerwy, a wyjawiał Azielowi tyle nikczemności, że tego ostatniego przechodziły dreszcze i zaczęły nawiedzać koszmary. Pastor wiedział już wcześniej, że Jon Petersen jest osobą mało dostępną, teraz jednak odkrył w nim potwora. Aziel był rozdarty między zasadami swojej religii a pilną potrzebą powiadomienia szeryfa, że oto żyje wśród nich wysłannik szatana. Przypomniał sobie wówczas rozmowę, jaką odbył z Jarvisem Jeffersonem blisko dwadzieścia lat wcześniej, i uświadomił sobie gorzką niesprawiedliwość, jaką odczuwał szeryf. Jon Petersen zasługiwał na więzienie, ale to leżało w gestii ludzkiego wymiaru sprawiedliwości; on, Aziel Alezza, nie miał nad nim żadnej władzy, był w pełni oddany sprawiedliwości boskiej, której – należało w to wierzyć – ostatecznie stanie się zadość.

Wieczorem trzeciego dnia spowiedzi nie mógł jednak nie zadać sobie pytania, dlaczego Pan pozwolił na to wszystko i dlaczego nie ukarał Jona Petersena za całe zło, jakie rozsiewał wokół siebie. Było to niesprawiedliwe i pastor pomyślał, że gdyby pewnego dnia sekrety Jona

Petersena wyszły na jaw, gniew ludu byłby tak wielki, że Bóg nie miałby wyboru i uderzyłby w niego piorunem natychmiast. Lecz związany dogmatami, Alezza nie mógł nic zrobić. Kiedy na sam koniec owej niekończącej się opowieści Jon Petersen spytał pastora, czy uważa, iż Bóg go zrozumie, Alezza nie potrafił odpowiedzieć. Wątpił, by ktokolwiek mógł zrozumieć Jona Petersena. Nie istniała odpowiedź na to, kim jest, nie było sensu szukać usprawiedliwienia w jego dzieciństwie, chodziło o coś więcej. Był wcieloną nienawiścią i stary Ingmar miał całkowitą rację, zwierając się szeptem swoim nielicznym towarzyszom od kielicha, że jego wnuk został wybrany na „posłańca Zła”. Są tacy ludzie. Niektórzy są natchnieni Bożą łaską, a inni wzywają w stronę mroku: nie ma innego wyjaśnienia, taki już jest świat.

Pod wieczór, przepelniony uczuciem ulgi, Jon stanął na chwilę na dziedzińcu kościoła i przyglądał się wieży z dzwonnica, a następnie szarym chmurom czerniejącym w obliczu nadchodzącej nocy.

– Kościoły przypominają właściwie cipki kobiet – powiedział z powagą. – Zaglądamy do wielu, usiłując się przekonać, czy w kolejnej nie znajdziemy czegoś lepszego, ostatecznie jednak uświadamiamy sobie, że polujemy na coś, co nie istnieje, a jedyną prawdą jest, że znajdujemy w nich tylko to, co sami tam wniesiemy.

Alezza postanowił nie podejmować tematu i wrócił do głównego wątku.

– Jon, powinien pan udać się do szeryfa. To jemu musi pan wszystko opowiedzieć. On panu pomoże, jeśli tego właśnie pan pragnie.

Petersen wypluł z siebie:

– Raczej zdechnę, niż sprawię przyjemność temu staremu zasuszonemu głabowi. Chciałem po prostu wyrzucić to z siebie, być pewnym, że Pan usłyszał, że odczytałem jego przekaz.

– Czy wstąpi pan teraz na dobrą drogę? Skończy z tymi szaleństwami?

Jon Petersem rozejrzał się wokoło po wrzosowiskach, po przedmieściach Carson Mills na wschodzie, w dole wzgórza. Światła pulsowały kusząco niczym płomień pożądania.

– Zrozumiałem przekaz Pana – odparł, odwracając się do pastora plecami.



## 23.

Kiedy w pewien poranek na początku listopada Riley szedł wśród mżawki w kierunku szkoły, zauważył, że jedzie za nim samochód, trzymając się w pewnej odległości. Nie był to zardzewiały i skrzypiący pick-up ojca, lecz antyczny dodge z wygiętym zderzakiem. Jechał powoli, żeby zawsze pozostać w tyle, wewnątrz dało się zauważyć cień jednej postaci. Riley zaczął się bać. Nie wiedział, kto to może być, lecz mimo młodego wieku rozumiał doskonale, że wiele osób nienawidzi jego ojca i że ma on w okolicy licznych wrogów. Czy ktoś chciał zrobić mu krzywdę, żeby dotknąć Jona Petersena? Było to możliwe, Jon terroryzował ludzi. Riley zdawał sobie z tego sprawę i wielokrotnie docierało do niego, że jego ojcu, chociaż niepokążnej postury i raczej kościstemu, nikt nie ośmielał się sprzeciwić. To przez te jego oczy, wyczuwał Riley. Na ogół ludzie, kiedy podnoszą głos, wyznaczają sobie granice, a jeśli muszą się bić, to popycha ich do tego duma. Jon Petersen natomiast nie miał żadnych granic, jego celem było zadawanie bólu, uderzał, żeby zniszczyć, dla przyjemności, i to dało się wyczytać z jego spojrzenia.

Za zakrętem w cieniu starego młyna Riley dostrzegł zadaszony most przerzucony przez strumyk, w którym lubił się kąpać latem, i zwolnił. Nie miał żadnej ochoty tamtędy przechodzić, ale przekłete auto wciąż za nim jechało. Wnętrze mostu przypominało tunel, ciemny i haftowany licznymi pajęczynami, nie najlepsze miejsce, żeby dać się zakleszczyć podejrzanemu samochodowi. Riley przez chwilę głowił się nad inną możliwością. Jeśli pokona strumyk, będzie mógł zboczyć z drogi i dotrzeć do szkoły przez pola, od południowej strony miasteczka; co prawda spóźniłby się dobry kwadrans, ale przynajmniej zgubiłby dodge'a. Riley zebrał się na odwagę i przyspieszył kroku. Droga opadała łagodnie, musiał pokonać około dwustu metrów, żeby dotrzeć do mostu, który przypominał raczej zapadniętą stodołę zawieszoną nad otchłanią. Samochód wspiął się na szczyt wzgórza za plecami Rileya i znalazł się w cieniu zmurszałego młyna. Riley przemierzył już połowę odległości, kiedy wydało mu się, że słyszy

zwiększone obroty silnika, dlatego przyspieszył kroku. Kierowca musiał zauważyć most i być może zrozumieć, że po drugiej stronie jego zwierzyna będzie miała okazję zniknąć wśród zarośli rosnących po obu stronach drogi, gdyż wcisnął gaz i ruszył wprost na chłopaka. Ten, ogarnięty strachem, natychmiast zaczął biec. Dodge nie miał żadnego problemu z dogonieniem go i dostosowaniem się do jego prędkości. Kierowca wychylił się przez okno po stronie pasażera i zawołał:

– Nie bój się!

Ale Riley się bał. I biegł. Ile sił w nogach.

– Jesteś młodym Petersenem, prawda? – spytał mężczyzna, usiłując zachować tempo. – Nazywam się pastor Alezza! Nie chcę cię przestraszyć! Tylko chwilę porozmawiać!

Po tych słowach Riley ośmielił się zerknąć w głąb samochodu, czego nie zrobił do tej pory z obawy, że jakaś piekielna siła wciągnie go do środka, jak to często widział w komiksach, które pożyczano sobie potajemnie w szkole. Twarz kierowcy wydała mu się znajoma, niemal budząca zaufanie. Riley zwolnił. To rzeczywiście był pastor Alezza. Nie sposób obawiać się sługi bożego, pomyślał chłopiec, może rzeczywiście niepotrzebnie czuł lęk przed tym samochodem... Dlaczego jednak pastor go śledził? Riley przypomniał sobie, że matka czasami opowiadała o swoim ojcu, kaznodziei-alkoholiku, miłośniku dobrej strawy, i znów nabrał podejrzeń. Powoływanie się na przyjaźń z Panem nie czyni jeszcze człowieka świętym.

Auto zatrzymało się w tej samej chwili, co dziecko.

– Naprawdę bardzo mi przykro, że cię przestraszyłem – powiedział pastor z uśmiechem, który miał być łagodny – prawdę mówiąc, nie miałem pewności, czy to ty... Mogę chwilę z tobą porozmawiać? Wsiądziesz?

– Wolałbym nie.

Pastor sprawiał wrażenie rozczarowanego. Jego uśmiech zanikł w niemal zabawny sposób, jak gdyby Alezza po raz pierwszy odkrył ograniczone możliwości pełnionej przez siebie funkcji.

– Ach, rozumiem... Wszystko u ciebie dobrze?

*Co za dziwne pytanie, pomyślał Riley.*

– No cóż, tak. A u pana?

Pastor wydał się jeszcze bardziej zakłopotany.

– Posłuchaj... ja... Wiedz, że gdybyś kiedykolwiek czegoś potrzebował, pomocy albo... nie wiem, po prostu porozmawiać, moje drzwi zawsze stoją dla ciebie otworem. Wiem, że jesteś wyznania luterńskiego, ale Kościół nie jest jeden, i czasami łatwiej zwierzyć się komuś spoza parafii własnych rodziców...

Mówiąc to, pastor się zaczerwienił, jak gdyby się wstydził, i Riley pomyślał, że słusznie się czerwieni, wygłaszając przemowę godną marnego jarmarcznego kupca. Bożemu słudze nie wypada wykradać wiernych innemu Kościołowi! Riley pogratulował sobie, że nie wszedł do samochodu, nie miał pewności, czy może naprawdę mu ufać.

– Nie mówię tego, żebyś został metodystą, rozumiesz? – poprawił się od razu Alezza. – Tylko żebyś poczuł się wolny. Żebyś wiedział, że istnieje rozwiązanie.

*Rozwiązanie.* Czego? – zastanawiał się Riley.

Wyraz twarzy pastora i ton jego głosu nagle się zmieniły, stał się poważny i bardziej charyzmatyczny.

– Wiem, że życie na gospodarstwie nie zawsze jest łatwe.

Wpatrywał się w Riley'a z zaskakującą dociekliwością. Wszystko w nim się zmieniło, spojrzenie również stało się bardziej przenikliwe, niemal magnetyczne, i chłopiec dostrzegł w nim cień smutku, który zmienił się w głęboką melancholię.

– Wiem, do czego zdolny jest twój ojciec – dodał szeptem pastor.

Wówczas wokół nich zapanowała cisza, wiatr ustał i nawet nieliczne ptaki umilkły. Wszystko trwało w pełnym oczekiwania napięciu. Mężczyzna i chłopiec wpatrywali się w siebie bez mrugnięcia okiem.

– Wiedz, że nie jesteś sam – nie ustępował Alezza.

Riley skinął powoli głową, nie wiedząc za bardzo, do czego pastor zmierza. Ten ostatni popatrzył na drogę w dole, później na miasto w oddali, po czym zwrócił się do chłopca:

– Jesteś pewien, że nie chcesz, żebym cię podwiózł? To dla mnie żaden kłopot.

– Przejdę się. Tak będzie lepiej.

– Dobrze. Zrozumiałeś mnie, prawda?

– Chyba tak.  
– To również dotyczy twojej mamy, możesz jej powiedzieć, jeśli chcesz.  
– Zgoda.  
– Wpadnij do mnie, kiedy zechcesz.  
– Rozumiem.  
– I nie obawiaj się, bez żadnej kary ze strony wiesz kogo – wyjaśnił, unosząc palec wskazujący w stronę nieba. – Możesz być luteraninem i mieć przyjaciela metodystę.

Aleza puścił do chłopca oko i uśmiechnął się serdecznie, po czym pomachał mu ręką na pożegnanie. Riley patrzył za nim, kiedy odjeżdżał, tak długo, aż auto zniknęło po drugiej stronie strumienia.

Przez kilka minut chłopiec stał nieruchomo. Najbardziej w całym spotkaniu niepokoiło go to, że nie potrafił ocenić, czy powinien uciekać przed mężczyzną, czy też – przeciwnie – uściskać go.

\*

Od kilku lat Jon Petersen mówił do siebie. Kiedy siedział spokojnie w swoim kącie, zatopiony w myślach niedostępnych dla większości śmiertelników, zaczynał szeptać słowa, czasami całe zdania, aż wreszcie nawiązywał dialog z otaczającymi go duchami. Wydawał się przez to jeszcze bardziej przerażający. Potrafił też poruszać się, nie wydając jakiegokolwiek dźwięku. Było w nim coś niemal nadprzyrodzonego, uważał Riley. A odkąd zmiażdżył głowę Coopera młotem kamieniarskim, dzieciak nie patrzył już na niego tak jak dawniej. Jon nie był tak naprawdę jego ojcem, był władzą. Groźbą. Chłopiec miał się przed nim na baczności cały czas, nawet kiedy Jon wydawał się odprężony.

Gdy potok błota odsłonił nekropolię ojca, Riley zauważył u niego jeszcze jedną zmianę. Jon przeżył długi okres zamknięcia w sobie, wewnętrznego spokoju. Nie przeszkadzało mu to w krzyczeniu na żonę albo szczypaniu syna w uszy, gdy tylko znalazł się za jego plecami, bez powodu, ale w pozostałych sytuacjach był osobliwie wyciszony. Niepokoiło to bardzo członków rodziny.

Tej zimy Riley miał jeszcze więcej kłopotów w szkole niż do tej



pory, nie umiał zbyt długo się skupić, o wszystkim zapominał, rzadko odrabiał lekcje, a słysząc w kółko, jak bardzo nauczyciele są nim rozczarowani, po raz pierwszy zaczął rozważać porzucenie nauki z końcem roku. Wiedział, że jeśli dobrze poszuka, zdoła znaleźć pracę, chociaż skończył dopiero dwanaście lat – to było możliwe w Carson Mills, nie miał co do tego wątpliwości. Tak jak wcześniej jego ojciec, a dawniej pradziadek, porzuciłby niedostosowany do siebie system, żeby zarobić na poprawę bytu rodziny. Jedno, czego by mu brakowało, to kolegów. Nie miał ich wielu, w tamtych czasach wciąż jeszcze zadawanie się z Petersenami nie było dobrze widziane, ale mimo wszystko zależało mu na nielicznych znajomościach. Bycie Petersenem miało przynajmniej jedną zaletę: nie licząc obelg, nikt mu w szkole nie dokuczał. Atak szału, który Jon wyładował na Tylerze Clawsonie i kilku innych, wciąż jeszcze żył w pamięci mieszkańców. Tej zimy Riley uświadomił sobie, że nawet młodzi wiedzieli, kim jest jego ojciec, i bali się go. Od kilku miesięcy chłopak widywał ojcowskiego pick-upa w pobliżu szkoły. Zastanawiał się, czy aby Jon go nie pilnuje, dopóki nie zauważył ojca dyskutującego z nieco starszymi od Riley'a chłopakami i nie stwierdził, że ci ostatni przytakują każdemu jego słowu. Amerykańskie dzieci mają dziecjojada, o którym opowiadają sobie straszne historie, tymczasem Carson Mills miało Jona Petersena.

Z początku Riley nie miał śmiałości wtrącać się w sprawy ojca, ale ostatecznie ciekawość zwyciężyła i chłopiec przeprowadził swoje małe śledztwo. W jego wyniku dowiedział się, że ojciec rozpytywał o uczniów szkoły. Najwyraźniej kogoś szukał, ale Riley nie miał pojęcia, kogo i po co. Nie pojawiał się codziennie, ani nawet co tydzień, jego wizyty były przypadkowe. Riley wiedział, że Jon jest sprytny, i podejrzewał, że nie przyjeżdża o tych samych porach – jego ojciec miał bowiem naturę myśliwego, potrafił wtopić się w otoczenie, nie dać się zauważyć – że czasami jest w pobliżu, by po ukryciu gdzieś auta, czaić się na zwierzynę. Chłopiec zastanawiał się, kim może być ów uczeń, który budzi w jego ojcu aż taką obsesję, i zaczął się o niego bać. Cokolwiek zrobił, ten chłopiec pożałuje swojego czynu, na pewno.

Z nadejściem wiosny Riley przestał widywać ojca w pobliżu szkoły. Czy znalazł tego, kogo szukał, czy też po prostu porzucił

śledztwo? Chłopiec nie miał pojęcia i czasami zastanawiał się, czy ojciec po prostu nie ukrywa się lepiej niż zazwyczaj. Kiedy Riley jechał z nim do miasta, najczęściej w soboty i niedziele, zauważał, jak bliskie stosunki Jon utrzymuje z nastolatkami, jak ci spuszczaają w jego obecności wzrok, po czym kiwają głową na wszystkie jego komentarze. Jon mógłby ich poprosić, żeby kupili mu papierosy i zapłacili za nie z własnego kieszonkowego, a oni wykonaliby polecenie bez słowa protestu, pomyślał Riley.

Matka z kolei wciąż powoli znikła. Tydzień po tygodniu coraz bardziej wyparowywała z niej materia, była już tylko powłoką kierowaną przyzwyczajeniami, rytuałami, poddana woli męża. Cztery do pięciu razy w tygodniu, a czasami nawet w weekendy Jon wywoził ją samochodem, a ona wracała pod koniec dnia na własną rękę, czasami późnym wieczorem, kiedy Riley już leżał w łóżku. Od dawna przestała się martwić o syna, nie sprawdzała, czy jadł kolację, czy odrobił lekcje, a ostatni raz piekła swoje słynne bułeczki tak dawno, że Riley zapomniał już, jak smakują. Ograniczała się do przesunięcia dłonią po jego włosach i spytania, czy wszystko w porządku, na co Riley odpowiadał twierdząco głosem tak dodającym otuchy, jak tylko to było możliwe, po czym kładła się spać. Jon sprzedał telewizor, żeby żona nie mogła uciekać doń myślami, dlatego zapomnienie przynosił jej tylko sen. Riley miał dopiero dwanaście lat, ale rozumiał, że osoba, której jedynym marzeniem jest zamknięcie oczu, szuka śmierci, i bardzo go to smuciło.

Kiedy na dobre przyszła wiosna, Riley coraz częściej wagarował. Wciąż wynajdywał nowe preteksty, żeby usprawiedliwić swoje nieobecności, a odkąd matka przestała stawiać się na wezwania nauczycieli, ci zaniechali telefonowania do domu, obawiając się nieprzewidywalnych reakcji Jona. Była piękna pogoda, natura eksplodowała kolorami, dźwiękami i świeżymi zapachami, dlatego Riley wolał wędrować po lasach, budować szałas, łowić nad brzegiem strumienia i wspominać dziadka Ingmara, zamiast zamykać się w wypełnionej zapachem potu klasie i słuchać nudnych wykładów. Wracał zawsze pod koniec dnia i nikt go o nic nie pytał. Wkrótce zaczął żyć na zewnątrz i przestępować próg domu dopiero wieczorem, a z nastaniem pierwszych dni lata nie tylko podjął decyzję o porzuceniu

szkoły, ale też o zbudowaniu sobie własnego domku w lesie i żywieniu się tym, co uda mu się złowić albo upolować, chociaż myśl o obdzieraniu ze skóry wiewiórek i zajęcy wciąż jeszcze napawała go nieco obrzydzeniem.

Był dopiero na pierwszym etapie realizacji swojego planu, w owym okresie przejściowym, kiedy dzień spędzał na zewnątrz, a do rodziców wracał w porach posiłków, gdy zauważył, że coś dziwnego dzieje się w gospodarstwie. Matka w ogóle nie zdawała sobie sprawy z nowego trybu życia syna, spędzała większość czasu poza domem, prawdopodobnie w Samotnym Wilku, a ojciec był tak dalece pogrążony w swoim świecie, że ani trochę nie przejmował się Rileyem – dzieciak podejrzewał nawet czasami, że na rękę jest mu jego nieobecność, bo już do niczego nie był mu przydatny. Posiadłość popadała w ruinę, odkąd spłynął na nią strumień błota. Ojciec przestał o cokolwiek dbać, ogrodzenia się waliły, wilgoć zżerała gonty, lisy zjadały kury, nawet warzywniak zarosły chwasty. Odślonięcie ponurej nekropolii najwyraźniej dotknęło Jona bardziej, niż Riley z początku podejrzewał. Niemniej jednak pewnego lipcowego popołudnia, kiedy chłopiec nie czuł się zbyt dobrze (bolał go brzuch, pocił się obficie i kiedy tylko zrobił kilka szybszych kroków, kręciło mu się w głowie, zapewne z powodu jagód, które pochłonął z rana), postanowił wrócić i położyć się do łóżka. Gdy się zbliżał do gospodarstwa, zobaczył jedną z dziewczyn ze szkoły idącą aleją wśród dębów. Nie pamiętał jej imienia, była od niego starsza zaledwie o rok albo dwa. Szła dość szybkim krokiem, często się odwracała i sprawdzała, czy nie jest śledzona. Jej długie ciemne włosy tańczyły na ramionach w ciepłych promieniach słońca. Riley stwierdził, że jest ładna, po czym zaczął się zastanawiać, co dziewczyna tu robi. Czyżby chciała szpiegować Petersenów? Czy jej matka była w domu z ojcem Rileyem? Tak dziwnie kulała, jak gdyby coś ją bolało.

Nagle, kiedy dziewczyna dotarła już do końca alei, Riley zauważył, że w jednej ręce trzyma nonszalancko długą łodygę zakończoną pięknym rozkwitłym makiem w kolorze jaskrawej czerwieni.

## 24.

Lipcowe słońce przypiekło skórę Riley'a, ale nie jego umysł. Zrozumiał, że koleżanka z jego szkoły nie powinna opuszczać ich gospodarstwa w taki sposób, z kwiatem w dłoni, sprawiając wrażenie, jak gdyby goniły ją piekielne cerbery. Jon pił coraz więcej, zgniecione puszki Pabst Blue Ribbon piętrzyły się razem z pustymi butelkami podrobionej whisky, palił dużo, często też mówił do siebie – te wszystkie budzące lęk symptomy sprawiały, że Riley zaczął się zastanawiać, czy się komuś nie zwierzyć. Czy nie powiedzieć przy okazji, że matka staje się przezroczysta niczym bibułka, a tym samym ostrzec Carson Mills. Gdyż Riley miał już teraz pewność: jego ojciec stawał się prawdziwym zagrożeniem. Nie tylko dla bliskich, ale dla wszystkich, którzy znajdują się w jego zasięgu. Chłopiec przypomniał sobie o pastorze metodystów i zawahał się. Byłoby to mimo wszystko niewybaczalną zdradą pamięci jego pradziadka, którego imię nosił, a Riley nie chciał mieć do czynienia z jego duchem, gdyby go sprowokował. Kto jeszcze w mieście był godzien zaufania? Niewiele osób, większość bała się Jona Petersena, a Riley wiedział lepiej niż ktokolwiek inny: strach napędza głupotę, ludzie mogliby więc powtórzyć Jonowi, co jego własny syn o nim opowiada, a w najlepszym razie zaszyć się u siebie i nie reagować. Riley nauczył się tego z biegiem lat: zażenowany człowiek woli udawać, że nic nie widzi, niż ryzykować wywrócenie do góry nogami porządku powszedniego życia. A w Carson Mills bardziej niż gdziekolwiek ceniono sobie stare zwyczaje i nienawidzono wszystkiego, co mogłoby je zakłócić.

Pozostawał szeryf. Czy jednak wysłucha go, jeśli przyjdzie jedynie z przeczuciem? Wątpliwe. Potrzebne były fakty, a ponieważ Riley nie miał dowodów, powinien przynajmniej wiedzieć dokładnie, o co chodzi. Dlatego chłopiec postanowił zacząć szpiegować ojca. Później będzie miał okazję spełnić obietnicę daną swego czasu ciotce Rakel. Nigdy o niej nie zapomniał, teraz już pojął, że miała rację. Terytorium stawało się za małe dla Jona i drugiego mężczyzny. Riley musiał odejść, *czuł* to, myśl ta chodziła mu po głowie od wielu dni. Mieszkanie w lesie

okazałyby się ostatecznie zbyt ryzykowne, wciąż znajdowałby się za blisko gospodarstwa, Riley musiał więc uciec daleko, bardzo daleko, był o tym przekonany. Uznał, że śledzenie ojca będzie swego rodzaju pożegnaniem prezentem, jaki ofiaruje miastu. Jeśli Jon Petersen okaże się typem spod ciemnej gwiazdy, wtedy Riley opowie o tym szeryfowi i pójdzie swoją drogą. Pocałuje matkę, pożyczy jej szczęścia i zniknie na zawsze.

Przez wiele dni ukrywał się za płataniną jadłoszynu rosnącego przy wejściu do domu. Było to ulubione drzewo Rileya, jedyne w swoim rodzaju w okolicy, jak gdyby spadło z nieba, jakby jakimś cudem jego nasionko zostało przygnane wiosną przez południowo-zachodni wiatr. Jak i on miało twardy pancerz, zdolny znieść surowy klimat wzgórza. Przez dziesięć dni Riley trwał niezmordowanie na posterunku, wypatrując jakiegokolwiek ruchu w pobliżu gospodarstwa, niczym Rusty w komiksie i kilku odcinkach serialu telewizyjnego, które miał okazję obejrzeć, zanim Jon nie pozbył się telewizora. Za każdym razem zabawa w Rusty'ego nieco go zasmucała, ponieważ musiał sobie wyobrażać jego wiernego czworonożnego towarzysza, Rintintina, a wtedy zawsze widział głowę Coopera eksplodującą niczym stara śliwka pod kamieniarskim młotem ojca. Mimo wszystko był to jednak zabawny bohater, i byli mniej więcej w tym samym wieku, co podobało się Rileyowi. Z upływem dni chłopiec zaczął jednak nudzić się na terenie gospodarstwa, zabijał czas, dłubiąc bezowocnie patykiem w ziemi przy jadłoszynie albo studiując kształt chmur w poszukiwaniu znajomej twarzy, również bez większych sukcesów. Osłabił nieco czujność, szczególnie gdy widział ojcowskiego pick-upa wyjeżdżającego wcześniej rano: wiedział wówczas, że nie ma co liczyć na jego powrót przed końcem dnia. Powoli powrócił do swoich zwyczajów, włączając się po poboczu drogi, zbierał do jutowego worka puszki w dobrym stanie, a przede wszystkim butelki, które sprzedawał następnie w sklepie Ala Metzera. Dzięki centowi za dziesięć puszek, a także za każdą szklaną butelkę, zgromadził już nieco pieniędzy i postanowił zafundować sobie paczkę dziesięciu złotych bułeczek, tańszych niż te świeże z wystawy w Mo's. Były to małe chlebki produkowane na przemysłową skalę, znacznie mniej smaczne niż te, które mama wypiekała, kiedy był

młodszy, mięsz był suchszy i nie rozpływał się w ustach, lecz kruszył. Mimo to, pochłonawszy aż trzy, Riley przyzwyczał się do ich nijakiego smaku. Paczka stała się jego skarbem na cały tydzień – powinien się ograniczać, postarać się, żeby bułeczek wystarczyło na jak najdłużej.

Z początkiem sierpnia, kiedy Riley czuwał na stanowisku za jadłoszyńcem, dostrzegł pick-upa wracającego z pasażerem. Dziesięć minut wcześniej mało brakowało, a chłopiec porzuciłby swoją misję, żeby schłodzić stopy w Slate Creek, ponieważ sądził, że samochód nie wróci przed wieczorem – intuicja jednak kazała mu jeszcze trochę poczekać. Dziewczynę rozpoznał, kiedy tylko wysiadła: Mapel Jenkins. Wszyscy chłopcy znali ją z powodu jej długich kasztanowych warkoczy, piegów – jak gdyby puszka farby rozprysła jej się na twarzy przy urodzeniu – a przede wszystkim ze względu na olbrzymie jak na trzynastoletnią dziewczynkę piersi, tak duże, że nawet ona nie wiedziała za bardzo, co z nimi zrobić. Tego lata sporo włóczyła się przy starej odlewni. Riley wiedział o tym, zauważył ją wśród innych dzieci, raczej naśladowała je, nie szukała kłopotów, była wręcz dość naiwna, i chłopiec miał nawet ochotę do niej zagadać – lubił łatwowiernych ludzi, uważał to za swego rodzaju zaletę, gdyż zazwyczaj cecha ta była wolna od wszelkich form niegodziwości. W każdym razie teraz Mapel Jenkins była tutaj. Kiedy tylko stanęła na zakurczonym podwórzu, wsadziła dłonie do kieszeni i rozejrzała się niepewnie po gospodarstwie.

– Panie Petersen, jest pan pewien, że nie powinnam poczekać tutaj?  
– usłyszał Riley.

– Chcesz zobaczyć mojego szczeniaka czy nie? Więc chodź!  
Pomożesz mi go znaleźć...

Riley zeszywniał. Nie tyle z powodu ojca wspominającego o nieistniejącym szczeniaku, ile z powodu tonu jego głosu. Tego, którego używał, kiedy chciał coś uzyskać podstępem, gdy starał się nie brzmieć groźnie. Chłopiec wiedział, że głos ten nigdy nie wróży nic dobrego. Nigdy. Zawahał się, czy nie wyjść z ukrycia i nie ostrzec Mapel, był jednak pewien, że ze strony ojca spotkałaby go za to kara, być może surowsza niż to, co czeka Mapel, chociaż nie wiedział dokładnie, o co może chodzić. Wiedział natomiast, że jego ojciec nie wręcza dziewczynom kwiatów bez powodu, na pewno dziękował im

w ten sposób za coś albo czegoś gratulował. Riley miał zamiar dowiedzieć się więcej na ten temat, zanim podejmie decyzję, co robić dalej. Nagle pomysł z przyprowadzeniem szeryfa wydał mu się bezwartościowy. Cóż mógł zrobić starszy pan w obliczu jego ojca, jakkolwiek lśniąca byłaby gwiazda zdobiąca jego pierś? Jon roztaczał wokół siebie rodzaj aury i jego syn szybko zrozumiał, że nic dobrego nie może zrodzić się pod jej wpływem. Być może dlatego trawa rosła tu niska i żółta, a gałęzie drzew wykręcały się. Nie, to nie szeryfa należało wzywać. Raczej pastora, skoro nie można było poprosić o to samego Boga.

Chłopiec odczekał, aż Jon wprowadzi Mapel do domu, widział, jak ojciec rozgląda się uważnie, chcąc się upewnić, że jest sam, a kiedy zamknął za sobą drzwi ze złym uśmiechem, Riley wyszedł ze swojej kryjówki.

\*

Ile straconego czasu, myślał Jon od początku wiosny. Tyle lat uganiania się za iluzją, wspomnieniem, podczas gdy tak łatwo można je było ożywić. Fantazje to marzenia zgasłe tam, gdzie ożyły pragnienia – Jon zaczynał odzyskiwać radość życia, odkąd zrozumiał, w jaki sposób może ocucić własne. Niczym Łazarz, pierwotna obsesja wychodziła z zimnego grobu pamięci w kierunku wrzącego kotła popędów. Zawdzięczał tę transfigurację Bogu i Hannie. Zrozumiał sygnał, jaki dał mu ten pierwszy, rozpruwając ziemię, na której rozpamiętywał niegdyś rozkosze za pośrednictwem przestarzałego rytuału, a ta druga, pojawiając się, otworzyła mu oczy na najważniejszy wymiar każdego poszukiwania: czas dotyka również tych, którzy je prowadzą. Jon się pomylił. Przez te wszystkie lata, podczas których chciał odnaleźć owo uczucie wszechmocy, wieczną rozkosz perforacji, uległość do krwi, zatracał się z tymi, które były kobietami, dorosłymi jak on. Tymczasem prawdę miał tuż przed oczyma, między udami niewinnych dziewcząt, prawdziwych kwiatów gotowych ugnać się pod naporem lędźwi, jak swego czasu jego ciotka. Z pewnością przez ostatnie lata trafiło się kilka pączków, jak ten z pralni albo w przyczepie w Teksasie, ale to nie było dokładnie to, dziewczyny były już zbyt stare, by odpowiednio pęknąć,

nie dość przepelnione sokami i słodyczą, by krwawić równie obficie, jak na to zasługiwały, to były tylko przyszłe ladacznice, a nie owe rzadkie perły, które tak sobie cenił. Od tamtej pory się poprawił, odkrył, że dysponuje dużą siłą przekonywania w stosunku do młodzieży z Carson Mills – wszyscy za bardzo się go bali, żeby od razu uciec, a już tym bardziej, żeby komukolwiek się poskarżyć.

Jon wprowadził Mapel do głównej izby i zamknął drzwi na zasuwkę, kiedy tylko dziewczyna postawiła nogę na pajęczynie. Ze swoimi wielkimi przestraszonymi oczyma przypominała konika polnego złapanego w pułapkę przez olbrzymiego pająka.

– Panie Petersen, prosił mnie pan o pomoc w złapaniu szczeniaka – powiedziała drżącym głosem – dlaczego jesteśmy u pana w domu? Myślałam, że zgubił się na polach...

– Czy potrafisz dochować tajemnicy?

Rudowłosa dziewczyna zmarszczyła noseć.

– Jesteś osobą godną zaufania, prawda? – nalegał Jon. – Bo wiesz, co spotyka ludzi niegodnych zaufania? Idą do piekła. Od razu. Oni i wszyscy, których kochają. Smażą się, wrzeszcząc na stosach dla wiarołomnych. Ponieważ tajemnica to coś najważniejszego w świecie. A że jesteś wspaniałą dziewczyną, zdradzę ci tutaj pewien sekret.

– Panie Petersen, chyba będzie lepiej, jeśli sobie pójdę...

Zastąpił jej drogę, a jego spojrzenie było tak ciemne i tak głębokie, że pochłaniało całe pomieszczenie. Zrobienie jednego kroku w jego stronę oznaczało rzucenie się w pustkę, dlatego Mapel cofała się powoli, dopóki nie uderzyła o stary piec na drewno. W bajkach dla dzieci, które wieczorami opowiadała jej starsza siostra, kiedy chowały się pod kołdrą, żeby czytać przy świetle latarki, piece służyły do pieczenia małych dziewczynek takich jak ona, kiedy mężczyźni tacy jak Jon Petersen zrzucali swoje życzliwe maski i odsłaniali uśmiech drapieżcy pełen zepsutych i ostrych niczym haczyki zębów. Mapel od razu zrozumiała, że to nie bajka, ponieważ Jon nie nosił maski. Ta potworna twarz należała do niego każdego bożego dnia, a ona okazała się zbyt łatwowierna. Nie posłuchała instynktu, kiedy zaczepił ją i poprosił o pomoc, a teraz szykował się do pożarcia jej. Nasyci się dzieckiem, które Mapel ma w sobie, pozostawi jedynie objedzony szkielet zwany



„dorosłym”, lecz dorosłym opróżnionym z wszelkich fantazji i oczarowań. Ponieważ tym właśnie się żywił, taka była prawdziwa natura Jona Petersena: był ogrem dzieciójadem.

– Powierzę ci najcudowniejszy z sekretów – powiedział głosem chłodnym i świszczącym – przypieczętujemy tę chwilę prezentem, żebyś zapamiętała na zawsze złożoną obietnicę milczenia. Wcześniej jednak nadzieję cię, naznaczę tatuażem duszę i ciało, już zawsze będziesz należeć do mnie, ponieważ rozleję w tobie zło. Będiesz moja aż po ostatnie tchnienie, dopóki diabeł nie zażąda swojej należności.

W podobnych okolicznościach Mapel powinna odczuć zimny uścisk – strach podróżuje zawsze wśród lodowatych dreszczy – a mimo to zaczęła się pocić. Przy Jonie Petersenie jest goręcej niż przy samych drzwiach piekieł, pomyślała, gdy tymczasem on się zbliżał. Za nim ciągnął się cień o wydłużonych kończynach, a kiedy wyciągnął w jej kierunku ręce, żeby ją pochwycić, jego palce przypominały olbrzymie szpony.

Mapel sądziła przez chwilę, że to szaleństwo rozpala płomień jego źrenic, ale kiedy znalazł się na niej, zrozumiała, że to coś o wiele gorszego.

W Jonie Petersenie płonęło wcielone Zło.

## 25.

Jarvisa Jeffersona powiadomiono przez telefon, przez stary bakelitowy aparat, który znajdował się w jego posiadaniu od ponad trzydziestu lat. Pastor Alezza był na miejscu i czekał.

Jarvis wskoczył do samochodu i ruszył z dużą szybkością w stronę wzgórza po zachodniej stronie miasta. Zaparkował za dodge'em pastora, którego zastał na schodach przed wejściem z dłońmi opartymi na ramionach małego Petersena. Temu, który twierdzi, że ze złej gleby zbiera się złe plony, Jarvis chętnie przedstawiłby tego chłopca, Rileya. Gdyż o ile Ingmar był surowy, Lars wybuchowy, a Jon zdeprawowany, ostatni z klanu okazał się równie łagodny, co sprytny i uprzejmy. Jarvis słyszał o nim same dobre rzeczy mimo jego częstych nieobecności w szkole. Fajny chłopaczek. Alezza przemawiał do niego szeptem, a Riley kiwał głową. Kiedy Jarvis stanął obok pastora, chłopiec przyjrzał im się z dziwną miną i wydał się niemal uspokojony. Jego rysy rozluźniły się i przez chwilę szeryfowi wydawało się, że się uśmiechnie, jednak chłopiec spytał tylko:

– Czy Mapel dobrze się czuje?

Jarvis skrzywił się i kucnął, strzelając swoimi antycznymi kolanami. Przytrzymał się pastora, żeby nie stracić równowagi.

– Mapel Jenkins? Widziałeś ją? – zdziwił się. – Była tutaj?

Riley przytaknął, jego wielkie oczy koloru jesieni były szeroko otwarte, jak gdyby oglądał swój pierwszy film.

– Tak, mój ojciec chciał ją skrzywdzić.

Jarvis zerknął na Alezzę, który pokręcił przecząco głową.

– Ja w każdym razie jej nie widziałem – dodał pastor ciszej.

– Czy wiesz, gdzie jest twoja mama?

– Zapewne w Samotnym Wilku, gdzie ma sprawiać przyjemność mężczyznom.

Dwaj mężczyźni ponownie wymienili spojrzenia, tym razem pełne przygnębienia.

– Uprzedzę ją, ale najpierw muszę wejść do środka. Zgoda?

– Czy mogę zostać na zewnątrz?

– Tak będzie lepiej. Jesteś dzielnym chłopcem, Riley, później postawię ci Dr Peppera za fatygę.

– Wolałbym Diet Rite, jeśli to możliwe.

– Nie ma sprawy. Może nawet całą zgrzewkę, jeśli znajdzie się taka u Ala Metzera.

Jarvis wyprostował się, zmierzwił chłopcu czuprynę i nachylił się do Alezzy.

– Niczego pastor nie dotykał?

– Absolutnie niczego, wszystko jest w takim stanie, w jakim je zastałem. Przyjechałem, kiedy tylko dzieciak mnie uprzedził. Użyłem tylko telefonu, żeby do pana zadzwonić.

Czubkiem buta Jarvis pchnął drzwi. Te otworzyły się, skrzypiąc niczym stara rozbawiona czarownica. Schował głowę w ramiona, żeby nie zahaczyć o framugę nowiuteńkim kapeluszem, i powitała go świszcząca serenada kłębiących się wewnątrz much. Przyjął zasadę, żeby nigdy nie odkrywać głowy w ciągu pierwszych minut w obecności zmarłego, z wyjątkiem nielicznych okazji, kiedy chciał złożyć wyrazy szacunku szczególnie dobrej istocie. Jarvis uważał, że człowiek nie musi witać się ze śmiercią, kiedy ta stoi jeszcze u wezglowia swojej ofiary. Z tego, co wiedział, ciało w tym domu było jeszcze ciepłe, kostucha na pewno nie odeszła daleko i gdyby Jarvis ją spotkał, to raczej powiedziałby, co o niej myśli, a nie bawił się z nią w uprzejmości.

W pomieszczeniu panował bałagan, ale Jarvis domyślił się, że taki stan rzeczy leżał w zwyczajach Petersenów, z wyjątkiem może przewróconego w pobliżu pieca taboretu. Brud, kurz i nieprzyjemny zapach wypełniały przestrzeń i szeryf musiał się skupić, żeby przestać zwracać uwagę na te detale.

Leżał na plecach pośrodku pomieszczenia, z głową odrzuconą do tyłu, z na wpół przymkniętymi powiekami, rozchylonymi suchymi wargami, strużką śliny i krwi tworzącą mackę przytwierdzoną do porysowanej podłogi.

Jon Petersen nie żył, nie było co do tego cienia wątpliwości, Jarvis nie musiał nawet klękać i szukać pulsu. Wiedział, że żaden człowiek nie może trwać w tak osobliwej pozie, gdyby w jego ciele krył się choćby cień życia. Na tym polegała alchemia śmierci. Osobliwa mieszanka

napięć, w chwili gdy zaciska się uchwyt kostuchy, i niespotykanego rozluźnienia mięśni. Doświadczenie nauczyło Jarvisa, że zdarza się to często w przypadkach gwałtownej śmierci, owa nietypowa równowaga między nieruchomą masą i cząsteczkami ciała wciąż jeszcze skurczonymi pod wpływem strachu lub niewyjaśnionego porażenia nerwu, które unieruchamiało pięść z odchylonymi dwoma palcami albo przyklejało do twarzy grymas przerażenia, podczas gdy reszta ciała była bardziej rozluźniona niż u śpiącego najgłębszym snem.

Jon zmarł z rękoma otwartymi, jak gdyby domagając się wyjaśnienia losu, który go spotkał, jak gdyby chciał się dowiedzieć, dlaczego *on*, dokładnie w chwili, gdy kosa przecinała nici jego egzystencji.

Tylko Bóg wiedział, dlaczego *on*.

Bóg i jego zabójca.

Gdyż kark i szyja Jona Petersena były bardziej fioletowe niż lawenda dojrzewająca w letnim słońcu, skóra rozerwana, a napuchnięte ciało wylewało się niczym mielone mięso z papierowej nawoskowanej torebki. Ten, kto ukręcił głowę Jonowi Petersenowi, uczynił to ze straszną wściekłością, wręcz z nienawiścią. Nie usiłował zadać mu bólu, nie, a jedynie go zabić. Czy potrzebna była do tego siła wyższa? Żeby złamać kark i ukręcić głowę? Być może, Jarvis nie znał się na tym zbyt dobrze, ale widywał już i słyszał o sytuacjach, które nie figurowały w policyjnych podręcznikach: kobiety podnoszące nieprawdopodobne ciężary, żeby uwolnić swoje dziecko, mężczyźni, którzy przeżyli mimo śmiertelnych ran tylko dzięki sile woli, dlatego w kwestii tego, co oficjalnie było możliwe lub nie, Jarvis ufał jedynie swojemu otwartemu umysłowi.

Najbardziej zadziwiająca była wielkość much siadających na Jonie Petersenie: ten typ przyciągnął insekty większe niż truskawki Mae Golding, a były to największe cholerne truskawki w całym hrabstwie, być może wręcz w całym stanie. Jarvis nigdy nie widział takich much. Te były osobliwe, jak gdyby specjalnie stworzone dla tego trupa, można by sądzić, że miał ciało tak twarde, że zwykły owad nie byłby w stanie złożyć w nim jaj, a tym bardziej się nim posilić. Do usunięcia wyjątkowego łajdaka potrzebne były kreatury nie mniej wyjątkowe, na

miarę jego złej natury.

Jarvis obszedł pomieszczenie, niezgłębioną graciarnię, która utrudniała odtworzenie przebiegu wydarzeń. Zauważył, że tylne drzwi były uchylone. Pchnął je i rozejrzał się po zarośniętym chwastami ogródku warzywnym, zniszczonej zagrodzie dla świń, usłyszał spokojne gdakanie kur i popatrzył na łagodny stok wzgórza opadający przez kilkaset metrów w stronę jałowego lasu. Jeśli wierzyć małemu Rileyowi, i Mapel Jenkins znalazła się tutaj, a jeśli założyć, że uciekła, można było obstawiać, że pobiegła ile sił w nogach przez wrzosowisko w tym właśnie kierunku, starając się dotrzeć do drogi Flat Stones łączącej się z szosą prowadzącą do miasta.

Później jednak bardziej ponura hipoteza spłynęła cieniem na duszę starego szeryfa: Mapel leżała gdzieś w zaroślach, ciemna plama wśród kwiecistych kałuż czerwieni, fioletu i żółci, dopadnięta przez potwora, skoszona bez litości... Nie, Jarvis odrzucił tę wizję. To nie miało sensu, dlaczego Jon miałby coś takiego zrobić? I jak wyjaśnić jego obecność w gospodarstwie, z głową wykręconą niczym zwykły korek z butelki wina, jeśli pobiegł za nastolatką? Mapel żyła, gdzieś między tym miejscem a jej domem w mieście. Tak, to było bardziej prawdopodobne. Bardziej uspokajające. Jenkinsowie mieszkali na końcu ulicy szeryfa, więc przesłuchanie Mapel nie będzie skomplikowane. Ale Jarvis nie wyobrażał sobie, by dziewczyna mogła zabić Jona. Poza tym co ona robiła tutaj z takim typem? Jarvisowi nie podobało się to. Widmo dawnej sprawy i jego ówczesnych podejrzeń powracało powoli, podczas gdy on wpatrywał się w brudne buciory gospodarza leżącego za jego plecami, cień pośród cieni. Kto mógł zabić Jona Petersena?

Prawie całe miasto, a może i dalsza okolica.

Jarvis wziął długi wdech, po czym podrapał się po wąsach. Nie będzie opłakiwał tego śmiecia. A jednak nie mógł zapomnieć o tym, co się wydarzyło. Za każdą zbrodnią kryje się prawda. A prawda Jona Petersena zasługiwała tak samo jak każda inna na to, by ją ujawnić.

## 26.

Zgrzewka ośmiu szklanych butelek Diet Rite stanęła na stole, obok paczki ciastek Reese's z masłem orzechowym, przed zahipnotyzowanym Rileyem Petersenem.

Jarvis wysłał Bennetta po matkę chłopca do Samotnego Wilka, szepnąwszy, żeby się nie spieszył, po czym zamknął się w swoim biurze. Jill, nowa sekretarka, która zastępowała Dianę zajmującą się obecnie wychowaniem trójki dzieci, siedziała w rogu pomieszczenia z notatnikiem na kolanach. Była to kompetentna młoda i ładna kobieta, stanowiąca odmianę po opryskliwej Dianie, i każdego dnia Jarvis gratulował sobie, że ją zatrudnił. Uśmiechnęła się szeroko, odsłaniając idealnie białe zęby (szorowane co niedziela sodą oczyszczoną, jak podejrzewał szeryf). Riley natychmiast się rozluźnił, szczególnie kiedy zobaczył przygotowane dla niego smakołyki. Jak na dziecko, które właśnie dowiedziało się o śmierci ojca, nie sprawiał wrażenia zszokowanego, a nawet smutnego. Ale czy mógł, mając takiego ojca jak Jon Petersen?

Jarvis otworzył jedną z butelek i podał chłopcu, po czym zaproponował drugą Jill, ale odmówiła, a następnie wziął jedną dla siebie. Usiadł naprzeciwko Rileya i skrzywił się, przez co jego gęste wąsy się uniosły.

– Dobrze, Riley, chłopcze, może mi opowiesz, co się wydarzyło?

Chłopak zrobił zaskoczoną minę i otworzył usta, dziąsła wciąż jeszcze miał skąpane w wodzie sodowej i spomiędzy jego warg wydostawało się chemiczne syczenie. To przeklęte Diet Rite było za zimne, zrozumiał szeryf, znowu wszystko przez Ala Metzera, który odmawiał podwyższenia temperatury w chłodziarkach i sprzedawał na wpół zamrożone napoje.

– Masz, zjedz ciastko – powiedział Jarvis, rozrywając paczkę Reese's i popychając ją w kierunku chłopca.

Riley nadgryzł ciastko i zaczął je chrupać, obierając z czekoladowej warstwy. Jarvis westchnął po cichu. Zapomniał już, ile cierpliwości wymagają dzieci. Postanowił dać mu chwilę, w końcu

zasłużył sobie na nią, a rzut oka na Jill utwierdził go w przekonaniu, że podziela ona jego zdanie. Wreszcie spróbował znowu:

– Gdzie byłeś, kiedy to się wydarzyło?

– Co takiego? – spytał Riley, z podbródkiem oblepionym okruszkami.

– No wiesz, to... kiedy zabito twojego ojca.

– Nie było mnie. Odszedłem.

– Ach.

Jarvis uniósł wzrok na Jill, która notowała zeznania.

– Więc kiedy widziałeś Mapel Jenkins? – nalegał szeryf.

– Wcześniej, kiedy ojciec wrócił, była z nim w samochodzie.

Potem wprowadził ją do środka. Wtedy pobiegłem szukać pomocy.

Z powodu jego głosu. Był inny niż zazwyczaj, pusty, taki... taki... nie wiem, jak to powiedzieć, chrupiący, słodziutki. Ale w jego wydaniu to gorzki cukier, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

– Byli tylko we dwoje?

– Tak.

– Nie było nikogo innego w domu?

– Nie wiem, nie wchodziłem, czekałem na zewnątrz pod moim ulubionym drzewem.

– Czy wiesz, co twój ojciec i Mapel tam robili?

– Nie, ale jej to się na pewno musiało nie spodobać, znam ojca, szczególnie kiedy jego głos jest taki słodko-gorzki.

Jarvis skinął głową z przygnębioną miną. Po tych wszystkich latach miał całkowicie siwe włosy i wąsy, chłopiec musiał widzieć w nim stuletniego starca, być może budzącego zaufanie, łudził się. On w każdym razie chciałby zostać uspokoiony. Dzieciak sprawiał wrażenie, jak gdyby wiedział o rzeczach, jakich dziecko nie powinno wiedzieć na temat swojego rodzica.

– Czy to coś, co ojciec robił często, mam na myśli: z innymi dziewczętami z twojej szkoły?

– Chyba tak. Zauważyłem sporo ściętych maków za domem.

Szeryf zeszywniał na krześle. O co chodziło z tymi makami?

– Dlaczego o tym wspominasz? – spytał.

– Ojciec wręcza maki dziewczynom, które przychodzą do domu,

a potem są... nie sprawiają wrażenia zbyt szczęśliwych.

Stara, nakrapiana plamami dłoni szeryfa powędrowała ku wąsom, po czym mężczyzna zauważył przerażenie Jill.

– To głupie, kiedy sobie o tym myślę – dodał Riley – bo mak to kwiat, który umiera zaraz po tym, jak się go zerwie. Mimo wszystko mógł wybrać jakiś inny rodzaj...

– Czy mógłbyś podać nam imiona dziewczyn, które widziałeś? – poprosił Jarvis, usiłując zapanować nad wzruszeniem ściskającym mu gardło.

– Właściwie widziałem tylko jedną, ale wydaje mi się, że było ich więcej, przez te zerwane maki. Kiedy mój ojciec otwiera puszkę z piwem, nie kończy się na jednej – dodał Riley, przełykając zimny napój.

Jarvis starał się zachować spokój, chociaż mózg mu się gotował.

– Więc pobiegłeś po pomoc – ciągnął – ponieważ wiedziałeś, że Mapel znalazła się w tarapatach?

– Właśnie. Popędziłem do Stewartów, bo oni mają telefon, i poprosiłem, żeby zadzwonili do pastora metodystów.

– A dlaczego nie do mojego biura?

– Z powodu spojrzenia mojego ojca. Nic by pan nie mógł zrobić. Powstrzymać mógł go duchowny, a nie posrebrzana odznaka.

Jarvis schował dumę do kieszeni, w jego wieku na szczęście nie miał jej już wiele.

– Pastor przyjechał po ciebie do Stewartów? – zapytał szeryf, wolał mieć pewność, że wszystko odpowiednio rejestruje.

– Tak, i pojechaliśmy do mojego domu. Powiedział, żebym poczekał w samochodzie, następnie wszedł do środka i po krótkiej chwili wyszedł. Powiem panu, że był cały zielony na twarzy. Wtedy mi wyjaśnił, że mój ojciec nie żyje. A potem pan przyjechał.

Jarvis przyglądał się chłopcu, jego pozornej obojętności, kiedy opowiadał o śmierci ojca, czekoladzie na podbródku i zbiełałym palcom od lodowatej butelki, którą trzymał, jak gdyby była skarbem.

– Nie jesteś smutny, Riley? – spytał cicho.

Chłopiec zmarszczył brwi, uniósł w zamyśleniu oczy w górę, po czym ostrożnie pokręcił głową.



– To dobrze zrobi mojej matce.

Po czym nagle jego spojrzenie spochmurniało i z oczu pociekły mu łzy. Jego usta wykrzywiły się, odsłaniając strużki śliny, i dodał:

– Chyba nie umiem mu wybaczyć tego, co zrobił Cooperowi.

Bennet wrócił z Samotnego Wilka godzinę później, z kwitkiem.

– Jakiś facet twierdzi, że Joyce Petersen odjechała wczesnym popołudniem z brodatym mężczyzną, ale Patsy, właścicielka, mówi, że nie знаła tego faceta, to zapewne kierowca ciężarówki albo akwizytor.

Jarvis skinął głową. Jill zajmowała się chłopcem przy swoim biurku, przynajmniej na razie wydawało się, że wszystko z nim w porządku. Atak płaczu minął.

– Domyślam się, że nie zdobyłeś numeru rejestracyjnego albo chociaż opisu pojazdu?

Twarz Benneta gwałtownie się ściągnęła.

– Ach nie, nie pomyślałem o tym.

Jarvis westchnął. Jego zastępca wykazywał się beznadziejną niekompetencją, nawet po tych wszystkich latach powtarzania mu, co powinien robić. Chwycił za telefon i wybrał numer Petersena. Dzwonek urwał się dość szybko.

– Tak?

Jarvis rozpoznał głęboki i podejrzliwy głos swojego drugiego zastępcy.

– Doug, to ja. Jak sprawy na miejscu?

– Niewiele się dzieje, szefie, przeczesuję teren, ale tu panuje potworny bajzel. Gdyby moja żona zobaczyła takie wnętrze, chyba od razu by oślepla.

– Czy koroner już przyjechał?

– Właśnie pakują trupa.

– I co powiedział lekarz?

– To samo co pan: na pierwszy rzut oka potrzeba wyjątkowej siły, żeby tak wykręcić człowiekowi głowę, ale w wyjątkowych sytuacjach adrenalina sprawia, że ludzie są zdolni do niesamowitych czynów. Prześle panu raport pod koniec tygodnia.

– Doug, nie możemy znaleźć matki chłopca. O ile nie jest zamieszana w morderstwo męża, co szczerze mówiąc, nie jest

niemożliwe, na pewno w końcu się pojawi. Wybacz, że cię o to proszę, ale chciałbym, żebyś został na miejscu, jeśli będzie trzeba, również wieczorem. Jeśli nie wróci przez noc, umieścimy ją na czele naszej listy podejrzanych.

– Dobrze, szefie.

– Poproszę Benneta, żeby ci przywiózł coś na kolację i koc.

– Nie trzeba, szefie, zadzwonię do żony, zrobi to lepiej niż ten nieudacznik.

– Zadbaj w takim razie, żeby nie wchodziła do domu.

– Bez obaw, do tej pory zdążę już zdjąć odciski.

– Nie o to mi chodziło, Doug, nie chcę, żeby oślepla.

Obaj mężczyźni roześmiali się, co dobrze im zrobiło, po czym Jarvis się rozłączył. Jego zegarek wskazywał osiemnastą dziesiątą. Miał jeszcze trochę czasu, żeby się zastanowić, co zrobić z Rileyem, gdyby jego matka się nie pojawiła. Poleciał Jill, żeby została z chłopcem i nadal się nim zajmowała, sam natomiast ruszył w stronę samochodu.

Wcześniej tego popołudnia Jarvis zadzwonił do Jenkinsów, żeby się upewnić, czy Mapel wróciła do domu, co zaskoczyło Janice, jej matkę. Szeryf musiał obiecać, że zajrzy do nich przed kolacją.

Zaparkował tuż przy ich rozchwianej skrzynce na listy (przez te wszystkie lata Lance nie poświęcił kwadransa na jej naprawę, żaloszne!) i zapukał energicznie do drzwi. Otworzyła mu zmartwiona Janice, kobieta o rudych lokach i w grubych okularach koloru żółwiej skorupy.

– O co chodzi z Mapel? – spytała od razu.

– Czy mogę wejść?

Janice poprowadziła go przez salon wypełniony gramami, i w którym czuć było psem, a następnie posadziła go przy stole nakrytym ceratą, na którym kurzyło się Monopoly, banknoty starannie ułożone po obu stronach w oczekiwaniu na powrót graczy.

– O której wróciła dzisiaj do domu?

– Nie wiem, było koło czwartej, kiedy wróciłam z zakupów z Dorią i Sandy, Mapel była już w swoim pokoju. Płakała, szeryfie, twierdzi, że wcale nie, ale znam swoją córkę, ma czerwone oczy i rozpalone policzki. Co się stało?

– Jon Petersen nie żyje.

– Ten wariat ze wzgórza?

– Mam dobre powody, by sądzić, iż Mapel znajdowała się na miejscu, kiedy to się wydarzyło, albo w każdym razie w pobliżu.

– Moja córka u Petersenów? Co tam robiła? ... Proszę poczekać – powiedziała matka, uświadomiwszy sobie nagle to, co powiedział Jarvis – chce pan powiedzieć, że ona...

– Nie mam pojęcia, Janice. Musiałbym ją przesłuchać – odparł Jarvis, podnosząc się.

– Ale...

– Lepiej będzie, jeśli porozmawiam z nią sam na sam.

– Nie, jest niepełnoletnia, chcę...

– Janice, nie jesteśmy w Wichicie, zrobię, jak uważam, a ona być może nie będzie chciała mówić wszystkiego przy matce. Możesz słuchać przez drzwi, ale nie chcę cię słyszeć. Mapel jest w swoim pokoju na piętrze?

Janice przytaknęła, wciąż pod wpływem szoku, i Jarvis wspiał się po stopniach, przytrzymując się poręczy.

Zastał Mapel siedzącą na łóżku, z podkurczonymi kolanami, które oplatała ramionami. Nie wydała się zaskoczona na widok szeryfa.

– Wygląda na to, że miałaś ciężki dzień – powiedział Jarvis, przysiadając na drugim końcu łóżka.

Powiesił kapelusz na zagłówek stojącego tuż obok fotela i pochyliwszy się, skrzyżował ramiona na piersi.

– Wolisz mi wszystko opowiedzieć czy chcesz, żebym zadawał pytania? – spytał tonem, który miał być zarazem łagodny i stanowczy.

Rudowłosa dziewczyna spuściła wzrok na pościel, a jej pierś uniosła się wskutek powstrzymanego łkania.

– Dlaczego znalazłaś się dziś po południu u Petersenów?

Zagryzła wargi, a jej podbródek zmarszczył się niczym kozuch na mleku.

– Jon po ciebie przyjechał? – nalegał Jarvis.

Mapel skinęła powoli głową.

– Czym cię do tego skłonił? Obiecywał ci coś?

– Potrzebował pomocy w odnalezieniu psa – odparła cicho. – Powiedział, że szczeniak zgubił się w polu.

– Pojechałaś z nim?

– Tak. Trochę się go bałam, nie wiedziałam, co powiedzieć... jednocześnie bardzo chciałam zobaczyć tego szczeniaka i pomóc panu Petersenowi. Moja siostra ma takiego, to znaczy psa. Labradora, a kiedy był mały, był taki słodziutki.

– Czy Jon cię skrzywdził?

Mapel zawahała się, po czym pokręciła przecząco głową.

– Mnie możesz powiedzieć, wiesz. Cokolwiek ci powiedział, kłamał, nie miał prawa niczego ci robić, rozumiesz? Nie wolno naprzykrzać się dziewczynie w twoim wieku, szczególnie kiedy jest się tak starym jak Jon Petersen. Chroni cię prawo, a w Carson Mills ja jestem prawem.

Ponownie pokręciła głową.

– Nie tknął mnie – potwierdziła Mapel – ale chyba chciał mnie skrzywdzić.

Jej twarz spochmurniała, kiedy wspomnienie odżywało w jej pamięci.

– Co się wydarzyło? Broniłaś się? Przestraszyłaś się i go odepchnęłaś?

– Niezupełnie. Podchodził do mnie, ale zatrzymał się przede mną w ostatniej chwili, przez moment sprawiał wrażenie, jak gdyby nie wiedział, czego chce, jakby nie rozumiał. Wtedy rzuciłam się do tylnych drzwi i uciekłam biegiem przez pola, żeby nie dogonił mnie samochodem. Wróciłam tutaj.

– Nawet go nie popchnęłaś? Nie chwyciłaś go albo coś w tym rodzaju?

– Nie.

– Ani przez chwilę?

– Nie.

Jarvis przyjrzał się jej dłoniom. Paznokcie, dość długie, miała zaniedbane, wiele było popękanych, niektóre połamane, ale żaden nie nosił świeżych śladów, a na jej skórze nie dostrzegł zadrapań czy też innych znaków świadczących o tym, że się broniła.

– Widziałaś jeszcze kogoś w gospodarstwie?

– Nie, bo wtedy bym krzyczała. Chociaż... może krzyczałam, ale

nie jestem pewna. Bardzo się przestraszyłam, nie wszystko pamiętam.

– A kiedy biegłaś, nikogo nie zauważyłaś? Żadnego samochodu na drodze za tobą?

– Nie odwracałam się, aż dotarłam do starego zadaszzonego mostu, ale nikogo nie zobaczyłam.

– A w jakim stanie był Jon, kiedy opuszczałaś gospodarstwo Petersenów?

– Nie jestem pewna. Chyba usiłował mnie złapać, zanim wyszłam, słyszałam odgłos ciężkich butów na drewnianej podłodze, ale znalazłam się na zewnątrz, zanim mnie dopadł. Wie pan, jestem szybka. Przy dwóch siostrach nie mam wyboru.

Jarvis pogładził się po wusach z powątpiewaniem. Nie mógł sobie wyobrazić Jona Petersena wahającego się, kiedy coś sobie wbije do głowy, był typem zażartego tępaka, który działał, zanim pomyślał. Czyżby doznał przebłysku świadomości w obliczu szaleństwa, jakiego zamierzał się dopuścić? Mało prawdopodobne. A może zobaczył albo usłyszał coś, co go zaniepokoiło?

– Czy pamiętasz, w jakiej pozycji się znajdowałaś, kiedy zbliżał się do ciebie, zanim stanął?

– Opierałam się plecami o piec.

Jarvis dokonał wysiłku, żeby wyobrazić sobie wnętrze domu, i zlokalizował stary brzuchaty piec. Za nim znajdowało się okno, nawet dwa: Jon mógł tam kogoś zobaczyć.

Szeryf zerknął na roztrzęsioną dziewczynę. Była krucha, oszołomiona. Nie wyobrażał sobie, by nawet pod wpływem przerażenia mogła odkręcić głowę mężczyzny tak, by rozerwać mu skórę. Nie, niemożliwe.

Sięgnął po kapelusz i wstał.

– Ostatnia rzecz – powiedział – pamiętasz, o której godzinie przyjechałaś do Petersenów?

– Koło pierwszej po południu, może wpół do drugiej. Wyszłam po obiedzie, zmierzałam w stronę odlewni, żeby spotkać się z kolegami, kiedy samochód pana Petersena zatrzymał się obok mnie.

– O której godzinie wróciłaś do domu po tym wszystkim?

Mapel wzruszyła ramionami.

– Między wpół do trzeciej a trzecią. Powrót zajął mi pół godziny, musiałam unikać dróg, bałam się, że...

– Rozumiem. W ciągu najbliższych dni będziesz potrzebowała wsparcia bliskich, rozmawiaj z nimi, bądźcie rodziną, w jedności znajdziesz siłę. Jesteś metodystką, prawda?

– Tak.

– Wydawało mi się, że widziałem cię w kościele. Nie wahaj się przed wypowiedzeniem się pastorowi Alezza, on będzie umiał cię wysłuchać i znaleźć pomocne słowa. Mapel, muszę ci coś powiedzieć, zanim dowiesz się tego od kogoś innego i zaczniesz snuć niewłaściwe domysły: Jon Petersen nie żyje, został zabity po twoim odejściu i chcę, żebyś wiedziała, że nie ma w tym twojej winy. Rozumiesz? Nie możesz myśleć inaczej, to ważne.

Pięści nastolatki zacisnęły się na pościeli.

– Cokolwiek ci naopowiadał – nalegał szeryf – nie masz sobie nic do zarzucenia. To on był manipulatorem.

Przez spojrzenie dziewczyny przemknął błysk. Strachu czy ulgi? Jarvis nie potrafił tego określić.

– Czyli ja i moja rodzina nie pójdziemy do piekła? – ośmieliła się spytać szeptem.

Jarvis posłał jej uśmiech obwieszony girlandą licznych zmarszczek.

– Nie, kochanie, do piekła idzie garstka złych ludzi, ale nigdy nie pójdzie tam żadna dobra istota kochana przez Boga.

– Naprawdę myśli pan, że jestem kochana przez Boga?

– Jak by powiedział ktoś, kogo znamy, „wystarczy, że kocha cię wielu, byś był kochany przez wszystkich”.

Jarvis pożegnał się z nią, musnąwszy rondo kapelusza, który założył znów na głowę, po czym, stojąc już w progu, usłyszał skrzypnięcie deski podłogowej po drugiej stronie drzwi i domyślił się, że Janice podsłuchiwała całą rozmowę. Za jego plecami rozległo się jeszcze jedno pytanie Mapel:

– Pan Petersen pochodził z piekła, prawda?

Tym razem starszy człowiek namyślał się chwilę, zanim odpowiedział:

- Obawiam się, że tak.
- Czyli potwory istnieją?
- Chciałbym móc powiedzieć, że nie, ale wtedy skłamałbym, jak to się robi w wypadku dzieci, a ty chyba jesteś już wystarczająco duża.

Joyce Petersen nie miała w sobie więcej życia niż wypchany kojot i zajmowała sobą tak mało miejsca, że nikt już jej nie zauważał. Mimo prób Bennetta i telefonów Jarvisa pozostała niewidzialna do pory kolacji, kiedy to szeryf stanął przed prawdziwym dylematem. Jill zaproponowała, że weźmie Rileya do siebie, ale Jarvis czuł, że trochę ją ta sytuacja przerasta, i postanowił wziąć odpowiedzialność za swoją funkcję szeryfa. Spytał telefonicznie Ala Metzera, a następnie panią Bromish, którzy kolekcjonowali plotki tak, jak inni zbierają kapsle od piwa, czy nie widzieli ostatnio ciotki Petersen, starej panny żyjącej częściowo na ulicy, ale żadne z nich nie potrafiło nic powiedzieć. Rakeł zachowywała się niczym kuna, wyłaniała się znikąd, kiedy potrzebowała jedzenia – można by sądzić, że poruszała się miejskimi kanałami. Jarvis zadzwonił również do pastora luterańskiego, bez większego sukcesu, ale Malcolm Tuna obiecał, że zasięgnie języka. Jarvis uznał za ważne, by w tak tragicznej chwili dziecko znalazło się pod opieką znanej mu osoby, budzącej zaufanie, chociaż Riley sprawiał wrażenie wyjątkowo zrelaksowanego, jak na chłopca, który właśnie stracił ojca. Strach i niechęć, jakie przez te wszystkie lata Jon rozbudzał w swoim synu, teraz – kiedy go już nie było – zmieniały się w skoncentrowaną mieszaninę nienawiści, nielicznych chwil rozpacz i resztek niekontrolowanej synowskiej miłości, która wywoływała u chłopca krótkie napady rozrzewnienia.

Wskazówka dużego zegara w biurze wskazywała prawie dwudziestą, kiedy Jarvis zwrócił się do Rileya. Chłopiec wypił dwa Diet Rite i pochłonął dwa razy więcej ciastek z masłem orzechowym.

– Jesteś głodny? To znaczy, czy miałbyś ochotę na coś bardziej treściwego?

Riley wzruszył ramionami.

– Mogę zjeść Reese's na kolację, jeśli tak będzie panu łatwiej.

Jarvis uśmiechnął się do niego w odpowiedzi, po czym wcisnął mu swój kapelusz na głowę i polecił iść za sobą.

– Jakim byłbym szeryfem, gdybym nie był w stanie zaserwować



ciepłego posiłku dziecku z mojego miasta?

Wsiedli do samochodu. Szeryf zawahał się, przejeżdżając obok U Tannera, czy nie zatrzymać się i nie kupić dzieciakowi hamburgera, jednak się zreflektował. Było już późno, a wieść o zabójstwie Jona Petersena rozeszła się po całym mieście: nie chciał wystawiać dziecka na te wszystkie spojrzenia w wieczór śmieci ojca.

Jarvis Jefferson popchnął Rileyę w głąb holu swojego domu. Pachniało tu nieco zastałym powietrzem i piżmem, dlatego starszy pan otworzył kilka okien.

– Zrozumiałem, że lubisz psy.

– Tak.

– Dobrze się składa. Trzeba by wyprowadzić Sunny, kiedy ja będę zajęty przygotowaniem kolacji. Możesz to dla mnie zrobić?

Wystarczy wyjść z nią za dom, do ogrodu.

Riley rozpromienił się, odkrywając rocznego, płowego setera angielskiego, który rzucił się ku niemu, merdając ogonem.

– Nie sądziłem, że ma pan psa – powiedział chłopiec.

– Dlaczego nie?

– Myślałem, że jest pan raczej typem człowieka, który miałby żonę.

Jarvis uśmiechnął się. Ale za radością krył się podstępny ból, który przeniknął betonową skorupę osłaniającą najlepsze wspomnienia jego życia i trafił go w samo serce.

– Wiesz, obie te możliwości wchodzą w grę – wyszeptał.

– Więc dlaczego nie ma pan żony? Mimo wszystko uniknąłby pan kłopotu z przygotowaniem kolacji, szczególnie że jest pan trochę stary – zauważył Riley z dziecięcą szczerością.

– Byłem żonaty – rzekł Jarvis świszczącym głosem – przez niemal czterdzieści dziewięć lat.

Riley wydawał się pod wrażeniem.

– Ach tak, czyli jest pan naprawdę bardzo stary. Dlaczego pani Jefferson już tu nie ma?

– Bo mnie nie słuchała.

– Nie przestrzegala prawa? Aresztował ją pan?

Jeszcze jeden gorzki grymas.

– Nie, w tych sprawach była wręcz bardziej zasadnicza niż ja. Ale nie słuchała mnie, kiedy mówiłem jej, że powinna się leczyć.

– Jaką miała chorobę?

– Bardzo kaszlała.

– Za bardzo?

– Tak, za bardzo.

– Jak miała na imię?

– Emma, ale ja ją zawsze nazywałem Rosie, bo uwielbiała krzewy różane, tak też miała na drugie imię.

– Też bardziej mi się podoba Rosie. Czy była piękna?

– Jak wiosenny wschód słońca.

– Nawet pod koniec?

– Równie piękna jak jesienny wschód słońca.

Mężczyzna i dziecko stali naprzeciw siebie, oczy pierwszego były wilgotne, żeby skompensować wyschnięte oczy drugiego.

– Tęskni pan za nią?

– Każdego Bożego dnia, mój chłopcze, nie masz pojęcia.

– To dlatego wziął pan sobie psa?

Okrutny haczyk ponownie uniósł górny prawy kącik ust szeryfa. Skinął głową.

– Idź, wyprowadź Sunny’ego, nie może się doczekać. A ja przyszykuję nam pyszny omlet z pieczarkami.

Jarvis krzątał się po kuchni, zerkając przez okno na Rileya, który bawił się z psem na świeżo skoszonym trawniku. Na widok zaśmiewającego się chłopca zrozumiał, że dobrze zrobił, nie porzucając wszystkiego po śmierci Rosie. Może jednak nie był stworzony do życia w słońcu, żona miała rację, należeli do Carson Mills, jego zwyczaje, wspomnienia i związki wypływały z tej ziemi, z jej mieszkańców. Prawdziwym szkieletem spajającym ciało i duszę Jarvisa było to miejsce i ci ludzie. Poza tym pies był istnym promykiem światła, a to już i tak wystarczająco jak dla niego.

Okrzyki radości Rileya odbijały się echem w umyśle starego człowieka, podczas gdy łyzy wsiąkały w wąsy.

\*

Nazajutrz wyprowadzili razem Sunny'ego na spacer wzdłuż pola kukurydzy graniczącego z posiadłością szeryfa, podczas gdy rozpalone słońce wspinało się coraz wyżej. Zapowiadał się dotkliwie upalny sierpniowy dzień.

Jarvis obudził się wcześnie, jak to miał w zwyczaju – od śmierci Rosie sypiał krótko, godzinami wpatrywał się w pogrążony w półmroku sufit i wspominał najpiękniejsze lata ich wspólnego życia. Noce wypełniał również lekturą starych książek Jima Thompsona, Raymonda Chandlera, Jamesa Crumleya, Rossa Macdonalda i Johna D. MacDonalda, Jamesa M. Caina i oczywiście Dashiella Hammetta. Większość już przeczytał, ale żaden ze współczesnych autorów nie znajdował w jego oczach łaski. Kiedy usłyszał skrzypienie desek na końcu korytarza, otulił się bawełnianym włochatym szlafrokiem i szedł przygotować Rileyowi śniadanie; przywitał chłopca przy stole przesadnie zastawionym bekonem, jajkami, kiełbaskami, pomidorami bez skórki, grzankami, a nawet płatkami zbożowymi na mleku. Ale Riley od razu spytał, czy mogliby razem wyprowadzić psa, i kiedy parzące promienie słońca przeciskały się między kołyszącymi się kolbami kukurydzy, otaczając horyzont złotą zasłoną i zmieniając rosę w miliony diamentowych pereł, Riley Ingmar Petersen przysunął się powoli do starego mężczyzny i trzymając smycz Sunny'ego w jednej ręce, wsunął drugą w szorstką dłoń Jarvisa Jeffersona.

Szli tak już od kilku minut, w rytmie zainteresowań węchowych psa, kiedy Riley spytał:

- Aresztuje pan osobę, która zabiła mojego ojca?
- Jeśli dobrze wykonam swoją pracę, tak.

Chłopiec zawahał się, usiłując wyrazić słowami swoje odczucia.

- Ale nie będzie pan dla niego zbyt surowy?

Palce Jarvisa zanurzyły się we włosach chłopca. Wszystko zostało powiedziane.

Po powrocie do biura szeryfa Jill wyciągnęła z torebki kostkę Rubika.

- Popatrz, co mój brat przywiózł z Nowego Jorku!
- Co to jest?
- Coś, czym zajmiesz ręce i głowę.

Podczas gdy Riley rozpracowywał zabawkę, Jarvis spotkał się z Bennettem w biurze, żeby wydać mu polecenia na bieżący dzień. Wysłał zastępcę do Samotnego Wilka, aby czekał na powrót Joyce Petersen, i spróbował dowiedzieć się czegoś więcej na temat mężczyzny, z którym odjechała poprzedniego dnia. Jednak godzinę później to w towarzystwie Douglasa matka Riley'a przekroczyła próg biura szeryfa. Była bledsza niż zimowy świt, chuda do bólu, o nieobecnych spojrzeniu, jak gdyby jej umysł pozostał daleko w przeszłości, w najlepszych latach jej pełnej wówczas nadziei młodości. Jarvis przyglądał się, jak tuli syna w ramionach i całuje go w czoło, choć żadne z nich nie wyrażało ani przesadnej radości, ani smutku. To wręcz Riley poklepał matkę po plecach, żeby dodać jej otuchy. Chłopiec był jeszcze pod wieloma względami bardzo niedojrzały, ale czasami reagował jak dorosły, zdziwił się Jarvis z czułością.

Następnie wprowadzili Joyce do pomieszczenia obok, bez syna, i szeryf usiadł naprzeciw niej, podawszy jej wcześniej gorącą kawę, która parowała między jej długimi, szczupłymi palcami. Kobieta miała na sobie wygniecioną koszulę w czerwono-białą kratę i pomarszczone płócienne spodnie. Włosy spięte w koński ogon były przetłuszczone, kilka niesfornych kosmyków wymknęło się spod gumki; jej twarz nie nosiła śladu makijażu, nie pachniała też zbyt ładnie, Jarvis wyczuł lekko kwaśną woń. Nie było wątpliwości, że nie spała we własnym domu, a być może nawet wcale się nie kładła.

– Przykro mi z powodu pani męża, pani Petersen.

Skinęła głową bez przekonania, ze wzrokiem utkwionym w pustce.

– Z jeszcze większą przykrością muszę zadać pani to pytanie, ale jestem pewien, że je pani zrozumie... Czy ma pani z tym coś wspólnego?

Ciemnozielone tęczęwki przesunęły się na starego człowieka i nagle rozpałała się w nich odrobina życia.

– Pyta pan, czy go zabiłam?

Jarvis skinął głową, z dłońmi splecionymi pod brodą.

– Nigdy nie zdobyłam się na odwagę – przyznała. – Ale powinnam była to zrobić dawno temu.

– Państwa relacje były... skomplikowane, z tego co zrozumiałem.

– Ja tego nie nazywam „relacjami”.

– Pani Petersen, nie będziemy przed sobą udawać, wiemy oboje, czym się pani zajmuje w Samotnym Wilku, to nie jest dla nikogo tajemnicą. Czy to mąż panią do tego zmuszał?

Przytaknęła zrezygnowanym gestem.

– Wiedziałam, że w końcu znajdę się tu z tego powodu. Dziwi mnie nawet, że nie zatrzymał mnie pan wcześniej.

– Odpowiednie stosowanie prawa polega na umiejętności określenia, kiedy dobrze jest odwrócić wzrok, a kiedy granice zostają przekroczone. Jon zmuszał panią do prostytuowania się?

– Tak.

– Rozumie pani, że to mogłoby stanowić motyw.

– Wiem. Mogę przygotować całą listę, nie brakowało powodów, żeby zabić tego gnoja.

– Nie mogła pani odmówić?

– Jon był tak zaborczy, że z początku myślałam, że chce mnie sprawdzić, więc odmówiłam... Ale on... potrafił osiągać to, na czym mu zależało. Wtedy zrozumiałam, że nie było w nim już ani grama miłości, że stałam się rzeczą, starą furą, której nie sposób sprzedać i dla której trzeba znaleźć jakieś zastosowanie. Na początku myślałam, że umrę... ale z biegiem czasu stało się to sposobem ucieczki z gospodarstwa.

– Gdzie spędziła pani tę noc, Joyce?

– Szłam wzdłuż North Carson Mills Road.

– Całą noc? – zdziwił się Jarvis.

– Część nocy.

Szeryf pochylił się nad biurkiem, żeby zbliżyć się do przesłuchiwanej.

– Chce pani powiedzieć, że w noc po morderstwie pani męża szła pani do rana drogą, bez żadnego celu?

– Nie dokładnie to powiedziałam. Powiedziałam, że szłam.

– Po co w takim razie?

– Żeby nie wracać. Żeby pomyśleć.

– O czym?

– O sobie. O swoim życiu. Nie chciałam go znowu widzieć. Byłam u kresu sił. Nie byłam w stanie znosić jego uwag, jego spojrzeń, obelg

i ciosów.

– Świadkowie w Samotnym Wilku widzieli, jak odjeżdża pani w towarzystwie jakiegoś mężczyzny. Kto to był?

– Clark albo Kent, nie pamiętam już. Geograf albo coś w tym stylu. Chyba pracuje przy tworzeniu map drogowych, tego typu robota, nie wiem dokładnie, słuchałam jednym uchem.

– Klient?

– Tak.

– O której godzinie pani z nim odjechała, pamięta pani?

– Wczesnym popołudniem, nie jestem pewna.

Jarvis miał w głowie chronologię wydarzeń. Jeśli wierzyć Mapel i Rileyowi, Jon Petersen musiał zostać zabity między trzynastą trzydzieści i czternastą czterdzieści pięć, kiedy pastor Alezza i Riley zjawili się na miejscu i odkryli zwłoki. Dawało to Joyce i jej wspólnikowi wystarczająco dużo czasu, żeby dotrzeć do gospodarstwa, zabić Jona i uciec, zanim ktokolwiek mógł ich tam zauważyć.

– Dokąd pojechaliście?

– Jechaliśmy na północ, kawałek przed Violą zatrzymał się w lesie, żebym go obsłużyła.

– A potem?

Joyce miała oczy szeroko otwarte, jak ćpunka zatopiona we wspomnieniach ostatniej chemicznej ekstazy. Zamrugła powiekami i wróciła do rzeczywistości, posmutniała.

– Nie chciałam, żeby mi płacił. Poprosiłam go w zamian o to, bym mogła z nim zostać przez jakiś czas i jechać. Po prostu jechać dalej, żeby oddalić się od Carson Mills.

– Pozwolił na to?

– Z początku nie był zbyt chętny, mówił, że ma robotę, że nie może tracić potem czasu i mnie odwozić. Powiedziałam, że wystarczy, jeśli mnie wysadzi na poboczu, i wtedy się zgodził. Jechaliśmy, słuchając radia, a potem, w Clearwater, zaprosił mnie na kolację.

– O czym rozmawialiście podczas posiłku?

– Nie pamiętam zbyt dobrze. Pozwalałam mu się wygadać, dobrze mu to robiło. Chyba narzekał na swoją żonę i na szefa.

– A potem?

– Potem powiedział, że musi zostać w Clearwater ze względu na swoją pracę, wynajął pokój w hotelu, powtórzyliśmy numer, a kiedy zasnął, wyszłam.

– Wróciła pani na piechotę z Clearwater?

– Tak.

Jarvis gwizdnął.

– To mimo wszystko niezły kawał drogi!

– Zajęło mi to prawie całą noc. Chyba nawet mam pięty odarte do krwi – powiedziała, unosząc nogę i pokazując zużyty but oraz posiniałą stopę.

– Mogłaby mi pani podać nazwę motelu?

– Nie, ale odnajdę go, wiem, gdzie jest.

– Nie bała się pani reakcji Jona, że nie wróciła pani na noc do domu?

Znów wzruszyła ramionami.

– Daleko mi było do tego.

– A syn, nie przeszkadza pani, że zostaje wciąż sam?

– Ma ojca. Poza tym... chyba od dawna nie jestem już dobrą matką. Riley o tym wie. Dobrze sobie radzi, wie pan.

Jarvis zauważył to, ale nie miał ochoty dzielić się tym spostrzeżeniem z Joyce Petersen.

– Będę musiał odnaleźć pani klienta, Joyce.

– Prowadzi brązowego datsuna na tablicach z Ohio, tyle pamiętam. Powiedział, że jeszcze przez kilka dni zostanie w okolicy.

– Bardzo dobrze, to może nam pomóc. Do tego czasu nie będzie pani mogła nocować w domu, trwa śledztwo. Ma pani dokąd pójść?

– Nie, nie bardzo. Chociaż może... Spytałem Rona i Patsy, czy mogłabym spać nad barem.

Jarvis wyobraził sobie Riley'ego usiłującego zasnąć wśród zgiełku panującego w Samotnym Wilku i jego nędznej fauny poniżej, po czym pokręcił głową.

– Proszę mi pozwolić wykonać kilka telefonów, znajdę wam pokój i dwa łóżka na kilka dni. Nie muszę też chyba dodawać, że nie może pani opuszczać miasta. I...

Jarvis zawahał się, to wykraczało poza zakres jego obowiązków,

ale ostatecznie machnął na to ręką.

– Proszę zrezygnować z tego, co robi pani w tym barze. Musi pani odtąd zachowywać się porządnie. Nikt już pani do tego nie zmusza. Nie żartuję, będę czujny. To ważne ze względu na panią i na Rileyę. Musi się pani wziąć w garść, Joyce.

– To moje jedyne źródło utrzymania, szeryfie.

– Postaramy się, żeby miała pani co jeść do czasu pani powrotu do domu. Następnie zajmie się pani ogródkiem warzywnym, jest przy tym sporo pracy, ale to dobra ziemia, znam ją dłużej niż pani, dostarczy, czego będzie trzeba. Są też świnię i kury. Poproszę Bennetta, żeby karmił je przez okres pani nieobecności. Później zobaczymy, jak uda nam się pani pomóc.

Joyce przyglądała się szeryfowi podejrzliwie, niemal ze strachem.

– Nigdy nie sądziłem, że kiedykolwiek powiem to kobiecie, która właśnie straciła męża, ale... trafiła się pani druga szansa, Joyce. Proszę jej nie przepuścić. Ze względu na samą siebie i na Rileyę. To fajny chłopak, należy mu się.

Joyce ostatecznie wyraziła zgodę ruchem całego ciała, w przód i w tył. Następnie wstała, kiedy Jarvis pozwolił jej wyjść. Kiedy już była na podeście schodów, zawołał ją raz jeszcze.

– Nie zadała mi pani ani jednego pytania na temat śledztwa. Nie jest pani ciekawa, kto zabił pani męża? Ma pani swoje zdanie na ten temat, Joyce?

Wzięła głęboki wdech, niemal spazmatyczny, po czym spojrzała na szeryfa i odparła:

– Jeśli nasz Pan naprawdę istnieje, myślę, że to on we własnej osobie go ukarał. Nie mógł znosić tak długiej egzystencji Jona i w końcu nie zareagować. Bóg na pewno wie, kiedy naprawiać swoje własne błędy.



## 28.

Jarvis ulokował Rileya i jego matkę u Meredith Cornwall, właścicielki salonu fryzjerskiego, która od wyjazdu syna dysponowała małą przyczepą kempingową stojącą w głębi ogrodu, a Malcolm Tuna, pastor luterański, poprosił swoje owieczki, żeby na zmianę przynosiły wdowie i sierocie jedzenie. Jarvis wiedział, że nie będą chodzić głodni i że pod koniec tygodnia przybiorą co najmniej po dwa kilo. Nie ma nic skuteczniejszego niż armada zdesperowanych wielbicieli dobrych uczynków, gdy powierzy się im znieścacka zbłąkane żołądki.

Szeryf i Douglas zbadali wszystkie miejsca w mieście, gdzie istniało prawdopodobieństwo znalezienia świadków, którzy widzieliby poprzedniego popołudnia przejeżdżającego brązowego datsuna. Zaczęli od zachodniego sektora, żeby sprawdzić, czy Joyce nie skłamała, czy rzeczywiście nie udała się do gospodarstwa ze współnikiem, kochankiem, pomocnikiem czy uległą ofiarą, ale nikt nie widział nic, co mogłoby przypominać datsuna. Następnie skierowali się ku północy, a tam jeden z robotników pracujących od dwóch dni przy przekopie i pewna stara plotkara przykuta do huśtawki ogrodowej na poboczu drogi przypomnieli sobie taki samochód z parą pasażerów. Robotnik opisał nawet dość przekonująco kobietę; popijał sobie akurat piwo dla ochłody, panował bowiem piekielny upał, kiedy przejechało obok niego auto, a jego spojrzenie napotkało wzrok dziewczyny, którą ocenił jako smutną piękność, nieco zbyt rachityczną jak na jego gust. Joyce zyskała punkt. Jarvis wysłał Douglasa w stronę Clearwater, żeby sprawdzić motel, który Joyce im opisała, i poprosić lokalne władze o zatrzymanie geografa na tablicach z Ohio. W tym czasie szeryf zajrzał do Tylera Clawsona, żeby spytać go, co robił wczesnym popołudniem poprzedniego dnia. Nigdy nie zapomniał, do jakiego stanu Jon Petersen doprowadził go ponad dwadzieścia lat wcześniej; zdeformowana twarz Tylera i jego chaotyczne życie wciąż jeszcze mogły stanowić motyw, szczególnie gdy znajdował się pod wpływem alkoholu lub miał jeden ze swoich depresyjnych dni. Zemsta lubi się czasami objawiać nieoczekiwanym popędem wyłaniającym się z otchłani pamięci na dźwięk jednego słowa, może

zostać wywołana zapachem albo odgłosem, zmienić szanowaną osobę w machinę wojenną zaślepioną żądzą odwetu. Widziano już takie przypadki, szczególnie tutaj, gdzie nienawiść między starymi rodzinami, podsycaną wojowniczymi atawizmami przekraczającymi granice rozumu, przekazywano sobie z pokolenia na pokolenie. Ale Tyler Clawson z wielką napuchniętą blizną, która kołysała się niczym olbrzymi robak na jego twarzy przez cały czas, kiedy mówił, przedstawił najlepsze z możliwych alibi: miał dyżur na stacji benzynowej i zdołał przygotować listę około sześciu osób z okolicy, które mogłyby zaświadczyć, że widziały go między godziną trzynastą a piętnastą. Jarvis zanotował skrupulatnie każde z nazwisk, wiedział jednak, że Tyler nie kłamie, szczególnie kiedy usłyszał nazwisko pani Bromish, metodystki równie fanatycznej co niesprzedajnej.

Pod koniec dnia, odwodniony z powodu upału, Jarvis wstąpił do Ala Metzera, żeby kupić sobie schłodzone piwo korzenne. Pogawędzili chwilę – sklepikarz pocił się obficie (był tak gruby, że Jarvis dziwił się, że wciąż jeszcze żyje) – po czym szeryf przeszedł na drugą stronę ulicy, żeby usiąść w cieniu na ławce przed biurem. Podsumowanie pierwszych przesłuchań było proste: Jona Petersena nienawidzili wszyscy, był skłócony z większością rodzin w mieście, ale to jeszcze nie znaczyło, że są mordercami. Potrzeba było naprawdę dobrego powodu, żeby wspiąć się na wzgórze i nieomal urwać mu głowę, ukręciwszy ją uprzednio. Najbardziej oczywisty motyw padł z ust jego własnego syna: Jon miał skłonność do młodych dziewcząt. Było to równie przerażające, co nie do zaakceptowania dla mężczyzny tak sumiennego jak Jarvis. Jak podobny drapieżca mógł niezauważony szaleć na terenie, gdzie on sprawował władzę! Na dodatek Jon Petersen! Jarvis miał ogromne wyrzuty sumienia. Przypomniawszy sobie jedną z uwag Jill: pewna matka niepokoiła się, widząc Jona Petersena włóczącego się nieco zbyt często wokół szkoły, obawiała się, że zamierza sprzedawać uczniom narkotyki, ale Jarvis nie przejął się tym, uznawszy, że owszem, Petersen jest z pewnością wrednym typem, ale nie ma profilu dilera, a jeszcze mniej potrzebnych kontaktów. Dobry Boże, a przecież napotkał puste spojrzenie tego drania, gdy ten był jeszcze dzieckiem, i już wtedy się wzdrygnął! Jak mógł pozwolić mu dorastać w cieniu Carson Mills, nie

zakładając nawet, że z wiekiem stanie się jeszcze gorszy? Cóż za szatański optymizm go natchnął, jaki szeryf mógł chwalić się, iż chroni swoich współobywateli, będąc jednocześnie ostatnim humanistą? Być może był jedynym człowiekiem w całym hrabstwie, który nosił wysokie buty i kapelusz, lecz nie miał żadnej sploty przy pasie albo choćby w samochodowym schowku! On, szeryf!

Jarvis wypił piwo korzenne do połowy i się uspokoił. Trzeba prowadzić śledztwo pod tym kątem. Może któryś ojciec zaatakowanej przez Jona Petersena dziewczynki wolał sam wymierzyć sprawiedliwość zamiast szukać pomocy u ślepego przedstawiciela władzy. A jeśli rzeczywiście tak było? Co zrobiłby Jarvis, gdyby się okazało, że jeden z tych poczciwych ludzi, których spotyka codziennie na ulicy, wpadł w szal na wieść o zgwałceniu jego córki? Czy aresztowałby go i wysłał przed sąd w Wichicie, gdzie ten zostałby osądzony przez obcych ludzi, niewiedzących nic o jego życiu przykładowego ojca rodziny, wiernego przyjaciela i uczciwego pracownika, jakim był? Jarvis przygładził białe wąsy. *Wszystko po kolei*, ocenił. Nie pora teraz na pytania z zakresu etyki osobistej, ale na prawdę.

Dokończył butelkę, a mimo to nie wstawał. Niepokoiło go coś jeszcze. Myśl widmo unosząca się na obrzeżach świadomości. Miało to związek z czymś, co powiedział chłopiec, Riley. Jarvis głowił się, ale bezskutecznie. Uderzyło go to w trakcie opowieści chłopca, być może zostało wymazane przez to, co dzieciak powiedział zaraz potem, jak słowo zapisane na piasku i zmyte falą. Podczas gdy mleczna piana pamięci cofała się na pełne morze, Jarvis sondował plażę wspomnień, usiłując odczytać ów wyraz, z którego pozostało już jedynie kilka linii nakreślonych krągłym pismem dziecka. Nie poradzi sobie. A przecież ów umierający odcisk nieczytelnego słowa był tuż obok. Ależ starzenie się jest denerwujące.

Po upływie pięciu minut Jarvis ostatecznie się poddał, sfrustrowany. Wyrzucił pustą butelkę do ulicznego kosza na śmieci i wszedł do biura, strzelając obolałymi kośćmi. Na początek postanowił zrekonstruować drzewo genealogiczne Petersenów, po czym podkreślił na nim dwa imiona: Rakeł i Hanny. Ingmar nie żył; chociaż jego ciało nigdy nie wypłynęło na powierzchnię Slate Creek, nie uległo

wątpliwości, że szkielet popędliwego gospodarza rozkładał się wśród mulistego rzeczno osadu. Pozostawały dwie córki, ciotki Jona, z których jedna wyszła za mąż za syna Dickenerów i opuściła stan, a druga przypominała harpię wyłaniającą się ze swojej skrzyni w najmniej spodziewanym momencie. Czy mogły mieć coś przeciw bratankowi? W wypadku pierwszej wydawało się to mało prawdopodobne, kobieta od dawna nie pojawiała się w okolicy. Jeśli chodzi o drugą, Rakel, szeptano, że Jon wyrzucił ją brutalnie za drzwi po śmierci starego Ingmara. Mógł to być interesujący trop, chociaż Jarvis ani trochę w niego nie wierzył. Trzeba było jednak odnaleźć Rakel i przynajmniej posłuchać, co ma do powiedzenia.

Tego wieczoru Jarvis zjadł na kolację tuńczyka w sosie pomidorowym prosto z puszki, siedząc na schodach swojego domu, pod błagającym spojrzeniem Sunny'ego, po czym dwaj towarzysze ruszyli na spacer wzdłuż rzędów kukurydzy w poszukiwaniu ochłody. Wracając, Jarvis znieruchomiał przed paczką palli dumnie stojącą na parapecie okna – ciężko było stwierdzić, czy chodziło o totem, czy o prowokację. Po śmierci Rosie nieomal wrócił do swoich dawnych przyzwyczajień wysysacza nikotyny, lecz jednak się powstrzymał. Nie miał prawa, ze względu na nią. Dlatego położył tu świeżo zakupioną paczkę i od tamtej pory codziennie przechodził obok niej w celu testowania mocy swojej determinacji, a szczególnie siły miłości. Wiedział, że gdy nadejdzie dzień, w którym sięgnie po jednego z tych papierosów, Rosie będzie z dala od niego już zbyt długo, i przyjdzie pora, by do niej dołączyć.

Kiedy Sunny zwinął się w kłębek w wiklinowym koszyku wymoszczonym grubą poduszką, którą Jarvis prał co tydzień, szeryf zrozumiał sygnał. Poszedł na górę, przeczytał kilka stron Jamesa Crumleya i zgasił światło.

Dom trzeszczał nocą, drewniane kości wychładzały się wreszcie, struktura kurczyła się po straszliwej dylatacji w ciągu dnia. Nawet gont na dachu, zbyt rozgrzany, niczym miękki naleśnik tracił powoli temperaturę pod spojrzeniem gwiazd. Jakieś drzwi zaskrzypiały delikatnie, zapewne poruszone przeciągiem nocnego powietrza, które wykorzystało okazję i wygładziło koszulę niestarannie złożoną przez

Jarvisa przed pójściem spać, i nagle postać Rosie pojawiła się przy łóżku. Pochylona nad kruchym ciałem męża naciągnęła kołdrę, żeby przykryć jego ramiona, i starszy mężczyzna skulił się niczym dziecko. Dłoń Rosie pogłaskała go po włosach, kobieta złożyła na jego skroni pocałunek z czułością, jaką okazać może tylko żona, która zna swojego mężczyznę od pięćdziesięciu lat. To nie była miłość, lecz coś więcej, coś kosmicznego, dwie dusze splotły się tak mocno, że rozdzielała je tylko bariera ciała. Następnie Rosie szeptała mu do ucha miłosne wspomnienia, po czym rozplynęła się, pozostawiwszy po sobie tylko srebrzyste opary, w których odbijał się księżyc.

Jarvis wyprostował się na łokciach, nieprzytomny i szczęśliwy, serce biło mu mocno, dopóki nie zrozumiał, że to wszystko nie działo się naprawdę. Wtedy opadł na poduszkę, z uciskiem w gardle i smutnym spojrzeniem. Następnie odtworzył w pamięci całą scenę i znów gwałtownie się wyprostował.

W jego śnie żona głaskała go po włosach, lecz w drugiej dłoni trzymała kwiat.

Mak.

Minęło niemal całe życie, aż słońce wreszcie raczyło wzejść.

Jarvis udał się do biura, gdy miasto spało jeszcze snem sprawiedliwego, przekopał się przez archiwa, żeby odnaleźć akta liczącej sobie już niemal dwadzieścia lat sprawy gwałtu na małej Louise Mackie, po czym postanowił sięgnąć po swoje notatki na temat Ezry Monroe, będącej również domniemaną ofiarą napaści seksualnej. Przeczytał kilka stron, długo rozmyślał, po czym znów zniknął w wąskim pomieszczeniu zastawionym lekko spleśniałymi kartonami, żeby odgrzebać jedno, cięższe niż pozostałe, zawierające akta sprawy dotyczącej zabójstwa Theresy Turnpike. Zawsze był przekonany, że te trzy przypadki są połączone. Były zbyt zbliżone w czasie, by nie mieć wspólnego mianownika. Szczególnie w miejscu jak Carson Mills, zazwyczaj tak spokojnym.

We śnie Jarvisa przeźroczysta postać żony wyłowiła z jego podświadomości to, co poprzedniego dnia dręczyło go w związku z małym Rileyem. Dzieciak wspomniął o makach, i nagle w środku nocy coś przeskoczyło w nie tak znowu sflaczałym, jak się wydawało szeryfowi, mózgu. Wtedy nie uznał ich za ważny element śledztwa, chociaż często myślał o zasuszonym kwiecie znalezionym pod oknem Louise Mackie. Nikt z rodziny ofiary nie rozumiał, o czym mówi. Zadawał sobie pytanie, czy gwałciciel mógł go zgubić, wspinając się po oknie, ale nawet gdyby tak było istotnie, zwykły zasuszony mak nie pozwoliłby nikomu dotrzeć do sprawcy, dlatego Jarvis odrzucił tę wskazówkę. Nie wpadł na myśl, że mogło chodzić o podpis. Czytał o tym w gazecie: pewien seryjny morderca odczuwał potrzebę podpisywania popełnionych zbrodni, na podobieństwo artysty składającego podpis na swoich dziełach. Jon Petersen zgwałcił Louise Mackie i z jakiegoś powodu, który miał swoje podłoże w jego obsesjach seksualnego zbrodźca, zadał sobie trud zasuszenia maku między kartami książki, żeby złożyć pieczęć na miejscu kaźni. Jarvis miał sobie za złe, że nie zbadał dokładniej okolic posiadłości Monroe'ów; obszedł je, przyjrzał się drzwiom, lecz nie wiedząc, czego szuka, nie znalazł nic

znaczącego. A jednak przez te wszystkie lata miał to coś tuż pod nosem i tego nie zauważył.

Ponowna lektura akt trzech śledztw w świetle posiadanej obecnie wiedzy nie wniosła niestety żadnych nowych informacji. Jon Petersen na pewno zgwałcił te dwie dziewczyny, może nawet i inne, ale jeśli chodzi o zabójstwo Theresy Turnpike, w raporcie z przeszukania nie wskazano obecności maku. Poza tym Jarvis nie rozumiał, co mogło łączyć bibliotekarkę, dwie nastolatki i Jona Petersena. Oprócz tego, co bibliotekarka oferowała wszystkim dzieciakom w owym czasie. Theresa była ich powiernicą, potrafiła wysłuchać, a czasami naprawić sytuację. Jon Petersen zatłukł ją na śmierć, zanim zdążyła zadziałać i uprzedzić władze? Ale w takim razie jak udało mu się odkryć, że Louise albo Ezra powierzyły swoją tajemnicę Theresie? Czy tropił każdy ich ruch, każde spotkanie, niczym drapieżca? Jon miał wówczas zaledwie piętnaście lat, ale był zdolny do najgorszego. Seryjny gwałciciel, morderca. Istniało prawdopodobieństwo, że bił nieszczęsną kobietę rozwścieczonymi pięściami, dopóki nie straciła przytomności – Tyler Clawson mógłby to poświadczyć. A następnie palił papierosa za papierosem, przyglądając się zwłokom... Jarvis sprawdził jednak, że Jon nie palił tej samej marki, na jaką wskazywały niedopałki znalezione w pobliżu ciała Theresy. Czy jednak sam ten fakt miałby go uniewinnić? Jako piętnastolatek zapewne palił, co tylko znalazł! Czy odczuwał dumę z powodu popełnionego czynu? Czy dzięki temu rozsmakował się w przemocy? Czy należało dopatrywać się w Theresie Turnpike rozpoczęcia morderczego fresku rysującego makabryczną chronologię życia Jona Petersena, aż po jej apoteozę: jego własną śmierć poprzez domykające pętlę zabójstwo?

O godzinie ósmej Jarvis zdołał wreszcie połączyć się z agentem FBI oddziału w Wichicie, ten odesłał go do biura w Kansas City, jako miejsca, w którym uzyska precyzyjniejsze wyjaśnienia. Tam Jarvis z nadzieją przedstawił sytuację.

– Czego pan konkretnie szuka, kolego? – powtórzył agent Harper pobłażliwym tonem, który zirytował Jarvisa w najwyższym stopniu.

– Chcę się dowiedzieć, czy w ciągu ostatnich dwudziestu lub dwudziestu pięciu lat miały miejsce napaści seksualne lub morderstwa, które podpisane zostałyby kwiatem maku. Nie mogę po kolei dzwonić

do każdego hrabstwa i przeszukiwać wszystkich archiwów, będą mi się śmiać w nos, a poza tym zajęłoby mi to ostatnie kilka lat życia.

– Ale dlaczego dzwoni pan do nas?

– Czy nie do tego służy cholerne FBI? Nie centralizujecie śledztw w sprawach kryminalnych?

– Jeśli w grę wchodzi procedura federalna, owszem, ale nie lokalne śledztwa, przyjacielu!

Jarvis ścisnął słuchawkę w dłoni, nienawidził zarozumiałości agenta Harpera, wyobrażał sobie, jak ten w kółko wygładza krawat na brzuchu, trzymając nogi na nieskazitelnej skórzanej podkładce na biurku, które służyło mu do „pracy”.

– Nie dysponujecie swego rodzaju armadą plików ułożonych zgodnie z odpowiednimi rubrykami czy czymś takim, żeby sklasyfikować wszystkie zbrodnie popełnione w stanie?

– I co jeszcze? Haremem sekretarek pracujących dniem i nocą, żeby posortować morderstwa popełnione w każdej miejscinie? Niech pan zejdzie na ziemię, kolego, to nie biblioteka Kongresu, FBI działa na zupełnie innym poziomie!

– Więc kto gromadzi, łączy i nadzoruje wszystkie zbrodnie naszego narodu? Chce mi pan powiedzieć, że w Stanach Zjednoczonych nikt nie nadzoruje całości kraju?

– Spokojnie, szeryfie, tylko spokojnie. Pracujemy nad tym aktualnie. Przygotowujemy system, który umożliwi łączenie spraw między stanami, będzie to program komputerowy i...

– Komputerowy? – jęknął Jarvis, który nienawidził już samej nazwy. – Kiedy będę mógł przesłuchać komputer?

– Och, obawiam się, że nie przed upływem kilku lat.

Jarvis westchnął, żeby stłumić przekleństwo, które podchodziło mu do gardła.

– Ja bym tego potrzebował teraz – rzucił niezadowolony.

Długie zrezygnowane westchnięcie agenta Harpera zatrzeszczało w słuchawce.

– Dobrze, proszę posłuchać, niczego panu nie obiecuję, ale jak mi pan powie dokładnie, czego pan szuka, sprawdzę, czy nie da się wysłać pytania teleksem do sieci wszystkich naszych biur. Zobaczymy, co to da.



Pasuje panu?

– Gdyby moja żona była jeszcze wśród nas, poprosiłbym ją, żeby upiekła ciasto z truskawkami z ogrodu i dostarczyłbym je panu jeszcze dzisiaj.

– Wystarczy zwykle dziękuję.

\*

Z początkiem popołudnia tego samego dnia pogoda przypominała nastrój szeryfa Carson Mills: pobudzone upałem powietrze wypełniło się elektrycznością, a olbrzymie czarne chmury zastąpiły niebieskie niebo, niczym wielkie kaszaloty gotowe zwymiotować wszystkie morza świata na hrabstwo Sumner. Wiatr wzmógł się w ciągu kilku minut i obracał teraz tak szybko wiatrakami, wiatrowskazami i szyldami, że wszystkie skrzypiały w tym samym rytmie serenady granej na rozstrojonych instrumentach. Mieszkańcy spieszyli się z powrotem do domów albo chowali po sklepach, większość okiennic była już zamknięta, żeby chronić szyby.

Jarvis wracał od Frazierów, gdzie dłuższy czas maglował Louise – z domu Mackie – na temat napaści. Ciężko było cokolwiek z niej wyciągnąć, jej zdaniem sprawa należała już do przeszłości, poza tym kobieta była zakłopotana poruszaniem tematu przy mężu. Ostatecznie zapewniła Jarvisa, że nigdy nie wspomniała Theresie Turnpike o tym, co się wydarzyło; zresztą nie wiedziała, co mogłaby jej opowiedzieć, skoro sama niewiele wiedziała; dwadzieścia lat po zdarzeniu wciąż utrzymywała, że nie widziała swojego agresora: było zbyt ciemno, ona była w szoku, wszystko potoczyło się bardzo szybko, chociaż rana goiła się latami. Hipoteza szeryfa słabła, chyba że to Ezra Monroe poszła zwierzyć się Theresie Turnpike. Zdążyłaby to zrobić po gwałcie, zaledwie kilka dni dzieliło napastę na nią od zabójstwa bibliotekarki... Niestety ślad po Ezrze zaginął wiele lat temu, Jarvis szukał jej na prośbę jej matki trzy lata wcześniej, ale bez powodzenia. Znalazł się w ślepych zaułku.

Douglas wrócił tuż przed gwałtowną ulewą, podczas której ulica pociemniała bardziej niż o zachodzie słońca i zatonęła w sadzowatej farbie uderzającej z furją o szyby.

– Wygrałem wyścig z ulewą! – zawołał Doug, ściągając kurtkę. – Widziałem chmury we wstecznym lusterku, goniły mnie od Clearwater!

Jarvis, Jill i Douglas z kawą w dłoni przyglądali się burzy zza dużego okna ozdobionego złotą gwiazdą, aż wreszcie zastępca szeryfa zamknął się w gabinecie ze swoim przełożonym, żeby podzielić się z nim tym, co odkrył. Odnalazł właściciela motelu, w którym Joyce miała wynająć pokój z klientem, i mężczyzna potwierdził, iż widział ich razem. Co więcej, przy pomocy lokalnych gliniarzy Doug znalazł Clarka Kennetha, geografa, który ostatecznie uniewinnił Joyce – chyba żeby uznać ich za współników i założyć, że udało im się dotrzeć do gospodarstwa położonego na zachodzie miasta, nie będąc przez nikogo zauważonym, po czym popędzić jeszcze szybciej ku północy, by tam z kolei zostać zidentyfikowanymi przez licznych świadków. Nie, Jarvis ani przez chwilę w to nie wierzył. Joyce tego nie zrobiła, koniec, kropka.

W sąsiednim pomieszczeniu zadzwonił telefon i Jarvis wyczuł, że zaczęły się kłopoty. Kiedy potężna burza przechodzi nad Carson Mills, wkrótce pojawiają się wezwania, mieszkańcy zgłaszają przewrócony słup elektryczny, domagają się pomocy w wyczerpywaniu wody z zalanej piwnicy albo po prostu chcą się poczuć bezpieczniej, rozmawiając z kimkolwiek. Ale Jill, przełączając rozmowę do przełożonego, oznajmiła:

– Szeryfie, to Bennett!

– Dobry Boże, zapomniałem o nim! Wysłałem go do gospodarstwa Petersenów, żeby karmił kury i świnie! Halo, Bennett?

– Szeryfie, utknąłem na górze, z nieba spada tyle wody, że pstrągi ze Slate Creek mogłyby tu podpłynąć! Nie dam rady wrócić do miasta.

– Głupcze, przecież widzę! Jak myślisz, jaka pogoda jest u nas? Zostań na miejscu, dopóki burza nie minie.

– A jeśli nie minie?

– No cóż, masz przecież co jeść, prawda?

– Ale tak na serio, szeryfie, co mam robić?

– Czasami się zastanawiam, czy nie robisz tego specjalnie.

– Strasznie tu ponuro, nie chcę tu siedzieć, wszędzie śmierdzi, dom nieustannie trzeszczy, a woda wlewa się otworami!

– To zamknij się w samochodzie i posłuchaj którejs z swoich

cholernych kaset Hanka Williamsa, co mam ci powiedzieć?

Ale Bennett nic nie odpowiedział. Linia została przerwana. Jill kilkakrotnie usiłowała połączyć się z nim ponownie, aż w końcu wsunęła głowę przez drzwi.

– Telefon musiał się zepsuć – stwierdziła.

Jarvis westchnął, niezadowolony. Stali się niewolnikami postępu, pomyślał, kiedy tylko tracili elektryczność lub łączność telekomunikacyjną, byli zgubieni. Amerykańskie odroczenie podróżuje kablami ciągnącymi się wzdłuż dróg.

Zagrzmiało i ściany zadrżały. Doug i Jarvis spojrzeli po sobie, niczym zaskoczone dzieci.

– Lepiej będzie, jeśli i my tu przeczekamy – stwierdził Douglas.

– Przeczekamy i wyciągniemy nauczkę.

– Z czego?

– Z tego – rzekł Jarvis, wskazując na nieprzeźroczystą ścianę wody zamazującą świat po drugiej stronie okna.

Douglas zmarszczył brwi, jak gdyby właśnie otrzymał pasek wypłaty z odciętymi premiami.

– Jaką nauczkę?

– Nie mam pojęcia, ale jakąś na pewno. To jedno jest dobre w starzeniu się: do wszystkiego podchodzisz filozoficznie, uczysz się nadawać sens wszystkiemu, co wcześniej go nie miało.

– A jeśli się nie udaje?

– Wpadasz w obłąd.

### 30.

Kościół są jak magnesy. Cokolwiek robicie, jakiegokolwiek by były wasze osobiste przekonania, zawsze w końcu postawicie nogę w miejscu kultu. Zawsze. Pod przeróżnymi pretekstami. Z pobożności, jako turysta, żeby komuś potowarzyszyć, z okazji uroczystości albo ze zwykłej ciekawości. Kościoły, świątynie, meczety i synagogi tak właśnie działają, łapią was i wypluwają, a w międzyczasie otrzymujecie swoją małą dawkę przypomnienia. Miejsca te stanowią wcielenie warunkowości i wynikającej z niej konsekwencji, jaką jest wątpliwość, a więc i ostrożność, co prowadzi z kolei do pewnej formy religii, choćby i minimalnej; samo otwarcie drzwi zmienia ateistę w agnostyka, co już jest rodzajem wiary. „Być może...” „A jeśli...” Niezależnie od tego, czy jesteście religijni, czy nie, świadomi lub nie, owe sanktuaria rozbudzają w was wątpliwość, każą rozważyć możliwość istnienia wyższej prawości, wszechwiedzącej sprawiedliwości, a zatem przyczyniają się do uczynienia z was istoty moralnej, stojącej poza prawami będącymi wyłącznie znacznikami naszej tolerancji. Przyjmując tę hipotezę, wystarczy na nowo zdefiniować pojęcie dobra i zła w umyśle każdego z nas. Kościoły są również zaprawą cywilizacji.

Kiedy słyszę w radio albo czytam w gazecie, że należy uprzedzić upadek religii, drzę i zastanawiam się, jak wyglądałby świat, który opierałby się wyłącznie na osobistej etyce każdego człowieka. Sądzę, że byłby gorszy niż to, co możemy znaleźć w najbardziej ponurych powieściach fantastycznonaukowych. Wiem też, że człowiek nigdy tak naprawdę nie zabija ojca, nawet w najbardziej dzikiej niezależności dorosłego potrzebuje od czasu do czasu zwrócić się w stronę budzącej zaufanie, wyższej istoty. Książki historyczne nauczyły mnie, że działamy cyklicznie, powtarzamy nasze błędy, niezdolni do poprawienia wszystkiego za pierwszym razem, stosujemy metodę małych kroków, powoli, jak gdyby ludzkość była nieco ograniczonym umysłowo lub rozkojarzonym uczniem. Oficjalnie religia może podupaść, ale wiem, że powróci, przypuści zmasowany atak, z jej wnętrza wyłonią się wojny – niestety, ale także i zbawienie dla naszego gatunku, jestem

o tym przekonany.

Po śmieci Rosie przepowiednia pastora Alezzy okazała się prawdziwa: Jarvis coraz rzadziej pojawiał się na mszy, by ostatecznie wcale już na nią nie przychodzić. Ale każdy człowiek wraca zawsze do korzeni, wiem to. Jarvis Jefferson zapukał do drzwi kościoła w pewien środy poranek. Alezza przywitał go uśmiechem osoby, która się tego spodziewała, i podprowadził do jednej z ławek w pierwszym rzędzie.

– Brakuje panu wiary? – spytał pastor.

– Nigdy jej nie zarzuciłem.

– Dlaczego zatem przestał pan przychodzić?

Jarvis wskazał na Chrystusa na wielkim krzyżu.

– Żeby on wiedział, że byłem niezadowolony.

– Teraz już odnalazł pan spokój?

– Nie. Ale to wymaga czasu, nie chciałbym wywołać skandalu, kiedy do nich dołączę. Rosie byłoby przykro.

– Wnioskuje z tego, że chciał pan dzisiaj porozmawiać nie z Panem, lecz ze mną.

– U drzwi staję dziś nie wierny, lecz szeryf. Chciałbym zadać pastorowi kilka pytań na temat Jona Petersena.

Spojrzenie Alezzy spochmurniało, wokół oczu pojawiły się drobne zmarszczki. Pastor metodystów o fizjonomii aktora nie był piękny, kiedy dawał upust emocjom.

– Czy jestem podejrzany?

Jarvis otworzył usta, ale słowa ugrzęzły mu w gardle, uniósł tylko brwi.

– Przyznam, że do tej pory nawet nie umieściłem pastora na mojej liście – odparł wreszcie – ale teraz, kiedy pastor o tym wspomina...

Gdyby pastor zabił człowieka, o którym wie, że jest zły, czy poszedłby do piekła?

– Gdyby chodziło o czyn popełniony z własnej woli? Z pewnością. Zabójstwo to jeden z grzechów kardynalnych.

– Czy istnieje inny sposób działania niż z własnej woli?

– Z przykazania Boga na przykład.

Kpiący uśmiešek zarysował się pod wąsami szeryfa.

– Czy Bóg często nakazuje pastorom zabijać na swoje konto?

Proszę mi powiedzieć, natychmiast go skuję!

Aleza wbił intensywne spojrzenie w Jarvisa i śmiech starego mężczyzny szybko ucichł.

– To była metafora, szeryfie.

– Dobrze, chciałbym powrócić do wydarzeń tamtego dnia.

Zadzwoił do pastora Riley Petersen, prawda?

– Tak, był u Stewartów. Powiedział, że jeśli tamtego dnia mówiłem szczerze, powinienem natychmiast przyjechać, ponieważ jego ojciec zamierza kogoś skrzywdzić.

– Tamtego dnia?

– Tak. Ja... Pewnego dnia spotkałem Rileya i powiedziałem mu, że gdyby chciał wpaść do mnie i porozmawiać, moje drzwi będą zawsze przed nim otwarte.

– Dlaczegoż to? To luteranie, prawda?

– To przede wszystkim istoty ludzkie, Boże dzieci. A ja jestem jak każdy, słyszałem, co ludzie opowiadają o życiu u Petersenów. Chłopak musiał się dowiedzieć, że nie jest sam.

– Czy nie było to zadanie dla pastora Tuny?

– Niech mu pan to powie.

Jarvis skinął głową.

– Więc popędził pan do Stewartów. Która to była godzina?

– Nie wiem dokładnie. Wczesne popołudnie.

– Dzieciak i Travis Stewart twierdzą, że trzeba było dwukrotnie zadzwonić, zanim pan odebrał.

– Możliwe, byłem na zewnątrz, pisałem, słabo słyszeć dzwonek.

– Dobrze. A potem?

– Przejąłem chłopca, powiedziałem Travisowi, żeby pozwolił mi się tym zająć, i pojechaliśmy do gospodarstwa.

– Dlaczego nie poprosił go pastor, żeby wam towarzyszył? Kiedy Petersen był rozwścieczony, trzeba było kilku osób, żeby go uspokoić, nie obawiał się pastor tego?

– Obiecałem chłopakowi, że mu pomogę, to było moje zadanie, nie chciałem w to mieszać Stewartów. Poza tym uważam, że samotny pastor jest bardziej onieśmielający, moja funkcja wzbudza szacunek.

Gdybyśmy przyjechali grupą, Jon Petersen mógłby uznać to za

provokację.

Jarvis przyznał mu rację.

– Czy kiedy przyjechaliście na miejsce, Jon był sam?

– Tak. Wyważyłem drzwi, był tam, leżał jak długi. Martwy, bez cienia wątpliwości.

– Riley powiedział, że przebywał pan sam wewnątrz domu dobre pięć minut. Czy mogę spytać dlaczego?

Aleza nie krył zaskoczenia.

– Sądziłem, że nie jestem podejrzany!

– Nie, chcę tylko wyjaśnić wszystkie szczegóły, zna pan sędziów z Wichity, jeśli coś nie jest dość precyzyjne, znowu powiedzą, że my, wieśniacy, pracujemy niechlujnie.

– Z początku byłem w szoku. Znałem Jona, wie pan. Znałem go lepiej, niż mógłby pan sądzić. Przyszedł kiedyś do mnie.

– Do pastora? Metodysty?

– Tak, tego dnia Ingmar chyba przewrócił się w grobie.

– Czego chciał?

– Porozmawiać.

– Co pastorowi powiedział?

– Nie mogę tego panu powtórzyć, szeryfie, przykro mi. To musi pozostać między nim a Bogiem.

Jarvis westchnął, niezadowolony.

– A zatem?

– Zatem wiedziałem, z kim mam do czynienia, i kiedy zobaczyłem go martwego, to jakbym dostał obuchem w głowę. Nie, żebym płakał nad jego losem, proszę nie mieć złudzeń, ale mimo wszystko był to dla mnie szok. Następnie zadzwoniłem do pana i wyszedłem. Tak, być może zajęło mi to pięć minut.

– Ani przez chwilę nie słyszał pastor jakichś hałasów wewnątrz? Nie zauważył pastor nikogo?

– Ma pan na myśli Mapel? Nie, nie było jej albo dobrze się ukryła.

– Czy chłopiec cały ten czas czekał w samochodzie?

– Tak.

– A następnie czekaliście na mnie na zewnątrz. Czy wydaje się pastorowi możliwe, że gdyby ktoś ukrywał się w domu, mógłby

wówczas uciec?

– Tak, podejrzewam, że gdyby wyszedł tylnymi drzwiami, niczego byśmy nie zauważyli.

– Czy w drodze do gospodarstwa nie spotkał pastor nikogo?

– Nie sędzę. Przyznam, że nie zwracałem na to zbyt dużej uwagi, niepokoiłem się. Naprawdę uważa pan, że zabójca był wówczas jeszcze na miejscu?

– Nie wiem. To był błyskawiczny atak, Jon Petersen został zaskoczony, to pewne, w przeciwnym razie broniłby się. A okres między jego pojawieniem się w gospodarstwie z Mapel i odkryciem zwłok przez pastora jest dość krótki. Zabójca na pewno był w okolicy.

– Mapel niczego nie zauważyła?

– Nie, twierdzi, że Jon zawahał się przez chwilę, a ona wykorzystała to, żeby uciec. Tuż potem Jon zginął.

– Podejrzewa ją pan?

Jarvis zawahał się, po czym pokręcił głową.

– Nie, nawet w złości Mapel nie byłaby prawdopodobnie zdolna oskubać kury, więc co dopiero zabić mężczyznę...

– Widziałem jego wykręconą szyję, potrzeba porządnej siły, żeby osiągnąć taki efekt, prawda? Tak pomyślałem. Jak gdyby było ich kilku.

Alezza wyciągnął przed siebie dłonie i dodał:

– W każdym razie proszę spojrzeć, nie noszę śladów skaleczeń, zadrapań, jeśli to może mnie uniewinnić.

Jarvis machnął ręką, jak gdyby przeganiał nieistniejącą muchę.

– Proszę dać spokój, jest pastor zbyt sumienny wobec niego – powiedział Jarvis, wskazując podbródkiem w stronę Chrystusa – żeby ściągać na siebie gromy z nieba.

– Chyba że znajdzie się jakiś dowód, w który nawet sam Pan nie zwątpi!

Alezza złapał szeryfa za nadgarstek i pochylił się, ścisząc głos.

– Skłamałbym, mówiąc, że nie życzyłem mu śmierci – przyznał. – Jon Petersen był wrednym typem, Jarvisie.

– Wiem. Nie mam pojęcia, co pastorowi opowiedział, ale był śmieciem i nikt nie zapłaci po jego śmierci. Obawiam się, że nawet jego syn.



– Och, wiele mi opowiedział. Za wiele. Cieszę się, że był luteraninem, w przeciwnym razie nie mam pojęcia, jak zdołałbym odprawiać msze w jego obecności.

Jarvis wstał, pastor uczynił to samo.

– A gdyby tak pan został jeszcze chwilę? – zachęcił ten ostatni. – Jestem pewien, że ta głowa gniewająca się na Boga ma wiele do powiedzenia.

– Och, wyrosłem już z potrzeby spowiadania się. Zachowałem kilka spraw na sam koniec, żeby ich trochę podręczyć, tam na górze, kiedy pójdę odwalać papierkową robotę.

– Nie miałem na myśli spowiedzi, chciałem pogawędzić. Nie jak szeryf z pastorem, ale jak mężczyźni, przy dobrym piwie i mięsie z grilla.

W oku Jarvisa pojawił się błysk.

– Być może innym razem, niestety, mam jeszcze robotę. Prawda ma w sobie tę nieznośność, że z czasem się strzępi. Trzeba umieć za nią gonić jak za najpiękniejszą dziewczyną na balu, jeśli się nie chce, by ostatecznie wyszła za innego.

– Proszę wpaść, kiedy będzie pan miał ochotę. Nie obiecuję, że zawsze będę miał mięso, ale zobowiązuję się do chłodnego piwa latem. Do tego czasu proszę zaglądać do nas na mszę. Bóg potrafi sprawić, byśmy mu wybaczyli przykrości, jakie nam wyrządza.

– Nie jestem pewien, czy będzie chciał zadawać sobie cały ten trud, miałby ze mną sporo roboty. Ale zastanowię się, obiecuję, na pewno przy piwie z pastorem.

Jarvis wrócił do samochodu i skierował się w stronę centrum Carson Mills, czyli na zwykłą ulicę biegnącą pośród kilku kompleksów budynków. Po drodze po raz setny roztrząsał swoje śledztwo i niezmiennie powracał myślami do trzech pierwszych spraw, które skonfrontowały go z Jonem Petersenem, choć sam o tym wówczas jeszcze nie wiedział. Był przekonany, że odpowiedź na jego pytania leży właśnie tam, między gwałtami na Louise i Ezrze a zabójstwem Theresy Turnpike. Rozważył wszystkie możliwości na temat śmierci Jona Petersena. Nie miał złudzeń co do raportu koronera, który zapewne nie wniesie niczego nowego, odciski palców zdjęte w gospodarstwie

w niczym nie pomogą, było ich zbyt dużo, bezkształtnych, w większości nienadających się do wykorzystania, zresztą Jarvis nie zamierzał chodzić od drzwi do drzwi po Carson Mills i porównywać odcisków każdego z mieszkańców z tymi zebranymi na wzgórzu. Szeryf nie wierzył nawet w pomoc FBI, w najlepszym wypadku dostarczy mu informacji na temat innego gwałtu, gdzie odnotowano obecność maku, choć było to mało prawdopodobne, i pozwoli jedynie utwierdzić się w przekonaniu, że Jon Petersen był draniem, którego złe nasienie wypłynęło poza granice hrabstwa Sumner. Być może został zamordowany przez ojca jednej z napadniętych dziewczynek, a wtedy trzeba by liczyć na przyszłe wyrzuty sumienia, żeby poznać prawdę, albo też, aby rozwiązać zagadkę, należałoby się cofnąć do czasów, kiedy Jon miał piętnaście lat i ujawnił swoją prawdziwą naturę. W tej kwestii jednak Jarvis nie miał żadnego tropu, musiałby odnaleźć Ezrę Monroe.

Gdy trzy lata wcześniej Elaine przyjechała do niego, Jarvis zrobił wszystko, żeby odnaleźć jej córkę. Dzwonił do gliniarzy z Wichity, wielokrotnie, do prywatnych detektywów, do swoich kontaktów w barach, na dworcu, do opieki społecznej, dręczył nawet urzędników z merostwa, obdzwaniał po kolei wszystkie instytucje charytatywne z pytaniem, czy opis Ezry z czymś im się kojarzy, napisał wiele listów do urzędów w poszukiwaniu protokołów na jej nazwisko, płacił młodym archiwistom z lokalnych gazet, żeby móc przekopywać się przez stare numery i szukać informacji mogących mieć związek z zaginięciem młodej kobiety odpowiadającej jej rysopisowi, kazał sobie nawet przesłać listę zwłok znalezionych w ciągu ostatnich dwóch lat, odkąd Elaine utraciła kontakt z córką. Bez jakiegokolwiek rezultatu. Trzeba przyznać, że nie szczędził starań, nalegał wciąż i wciąż, przez ponad trzy miesiące, aż wreszcie musiał pogodzić się z faktem: Ezra postanowiła zniknąć, z tego, co wiedział, najprawdopodobniej opuściła Wichitę, o ile nie Kansas, i jeśli sama się nie odezwie, on nigdy nie usłyszy już dźwięku jej głosu ani nie zobaczy jej ślicznej buźki. Kiedy szeryf odtwarzał w myślach wszystkie swoje posunięcia po to, by po raz enty upewnić się, czy o niczym nie zapomniał, rzuciła mu się w oczy pewna oczywistość.

Nauczka, którą należało wyciągnąć z wczorajszego deszczu.

Jarvis uderzył dłońmi w kierownicę. Będzie mógł powiedzieć Douglasowi: *zawsze* z czegoś można wyciągnąć lekcję.

Jarvis zrobił wszystko, żeby odnaleźć Ezrę. A przynajmniej wszystko, na co stać było zapracowanego, obarczonego lokalnymi obowiązkami szeryfa. Za bardzo jednak zdał się na cholerne nowoczesne metody. Zatem sprawy załatwiał na odległość, nie przemieszczając się. Nie mierząc się samemu ze śledztwem, nie zdzierając podeszew.

W ciągu jednej chwili podjął decyzję. Nie wstąpił nawet do domu po czyste ubrania i kosmetyczkę, ani do biura, żeby uprzedzić, że opuszcza swoje terytorium, swoją trzodę, i skierował się ku północy. W stronę Wichity.

## 31.

Duże miasta różnią się od małych przede wszystkim liczbą mieszkańców na metr kwadratowy i paradoksalną zdolnością nawiązywania proporcjonalnie mniejszej ilości relacji społecznych. Taka była opinia Jarvisa, a włączenie się po szerokich ulicach otoczonych ścianami rzeźbionymi w betonie i stali tylko wzmocniło to uczucie. Uświadomił sobie, że nie był w Wichicie od czasu śmierci Rosie, i poczuł się jak cudzoziemiec we własnym kraju. Szedł, obserwując tę nieustanną pogoń za informacjami, jak gdyby każdy chciał wciąż bardziej wypełniać się nimi i lepiej wpasować się w system, podczas gdy inni tłoczyli się w sklepach, kupując nie to, co było im potrzebne, lecz co nadawało im odpowiedni status. Na przestrzeni kilku dziesięcioleci reklama zdołała podbić świat, każdy czuł się w obowiązku promować własną indywidualność. Jarvis był już zdecydowanie za stary, przestał ewoluować ze swoim światem, a stwierdziwszy, że znalazł się na marginesie skodyfikowanych rytuałów, uświadomił sobie, jak bardzo należy do innej epoki, jak bardzo został w tyle. Nie tylko tutaj, wśród zatłoczonych arterii Wichity, ale także w swojej okolicy. Zbyt często wspominał o przejściu na emeryturę, przesuwał decyzję na później. Teraz wybiła już odpowiednia godzina, nie miał co do tego wątpliwości. Nawet w Carson Mills nowoczesność torowała sobie drogę, miasto nie mogło odgrodzić się od postępu, należał mu się młodszy szeryf, który by rozumiał swoich mieszkańców, przyczyniał się do kształtowania przyszłości dzieci, do rozwoju. Przedtem jednak Jarvis musiał jeszcze spłacić dług względem swoich. Odkryć prawdę. Był im to winien. A przynajmniej tak uważał.

Zaczął od złożenia wizyty staremu jak on policjantowi i poproszenia go o wykonanie kilku telefonów, zadanie serii pytań kolegom, w celu odświeżenia w ich pamięci dawnych spraw związanych z młodą kobietą, która mogłaby odpowiadać rysopisowi Ezry Monroe. Był to zapewne daremny trud, ale nic nie szkodziło spróbować. Jarvis uświadomił sobie, że nie zabrał ze sobą zdjęcia dziewczyny. Być może nie miało to znaczenia. Kiedy Elaine Monroe powierzyła mu tę misję,

otrzymał od niej kopertę z krótkim opisem poczynań Ezry. Nie była to przyjemna lektura, więc Jarvis bez trudu wyobraził sobie, że nie mógł to także być piękny widok: Ezra z pewnością się zmieniła i nie przypominała już siebie ze zdjęć z dobrych czasów, zanim pogrążyła się w ponurych kłębach narkotyków i upokorzeniach prostytutki. Koperta zawierała również adresy wszystkich miejsc, które odwiedzała – Jarvis tyle razy powtarzał je przez telefon, że pamiętał je wciąż doskonale.

Bez większego przekonania udał się na kampus uniwersytecki i stracił tam resztę dnia, po czym ruszył w stronę północnych dzielnic, gdzie Ezra miała w zwyczaju zaopatrywać się w narkotyki. Otumaniona fauna ćpunów włóczyła się niczym antylopy wśród sawanny z cegieł i śmieci, a od czasu do czasu Jarvis zauważał głowę lwa przyczajonego w cieniu bramy, wodzącego za nimi spojrzeniem drapieżcy, pocierającego w szponiastych łapach paczuski z folii aluminiowej, co miało na celu zwabienie zwierzyny. Jaką miał szansę, że przypadkiem trafi tu na Ezrę? Zapewne taką, jak na wygranie dwa razy pod rząd dużej stawki na loterii. Idiotyczne. A jednak wciąż siedział w samochodzie, śledząc ów sprzeczny z naturą spektakl zdominowany przez syntetyczne produkty płynące w obolałych żyłach chorych zwierząt.

Po pewnym czasie, gdy zrobiło się już całkiem ciemno i nieliczne działające jeszcze latarnie uliczne przestały wystarczająco oświetlać teren w kolorze ropiejącej żółci, wysoki czarny typ zbliżył się do samochodu Jarvisa. Miał drobny wąs i liszaje, które sprawiały, że skóra odchodziła mu płatami, przez co przywodził na myśl zdjęcie pozostawione zbyt długo na sierpniowym słońcu. Pochylił się, a jego dłonie niemal wsunęły się do wnętrza auta, gdyż Jarvis z powodu panującego upału opuścił szybę w oknie.

– Czego szukasz dziadku?

– Dziewczyny.

– Jak my wszyscy. Masz kasę?

– Nie o to mi chodzi, chociaż... Ma na imię Ezra, coś ci to mówi?

Pod trzydziestkę. Jasne włosy, w każdym razie taki jest jej naturalny kolor.

– Gdzie ci się wydaje, że jesteś? Tutaj się płaci za prawo do postojów i za zadawanie pytań też. Więc masz kasę?

Jarvis klasnął językiem z niezadowoleniem. Wyjątkowo energicznym, jak na człowieka w jego wieku, gestem chwycił mężczyznę za ucho i wykręcił je gwałtownie, zmuszając go do pochylenia się w taki sposób, by jego policzek znalazł się tuż przy drzwiach samochodu.

– Z ostatnich informacji wynika, że to wciąż kraj wolnych ludzi, kolego – powiedział, wyrywając kluczyk ze stacyjki, by wcisnąć go z kolei pod oko krzywiącego się z zaskoczenia i bólu typu. – Słyszałeś o Ezrze?

– Nie, nie! Puszczaj, staruchu!

Klucz wgryzł się w skórę do krwi i mężczyzna krzyknął.

– Ezra! – powtórzył szeryf.

– Nie znam! Przysięgam! Jest Edna, która daje, jeśli chcesz! Ale to brunetka, czarna!

Jarvis odepchnął go i wsadził z powrotem kluczyk na swoje miejsce, żeby odjechać. Facet wycofywał się, sprawdzając, czy krwawi mu policzek.

– Wariat!

– Jeszcze tu wrócę. Rozpuść wieści, że szukam pewnej Ezry, słyszałeś jak wygląda. Daj też znać, że nie jestem cierpliwy.

– To twoja wnuczka, czy co?

– W pewnym sensie.

Facet splunął w jego kierunku, po czym oddalił się i zatonał w pokrytym graffiti labiryncie półcieni. Jarvis odetchnął z rękami na kierownicy, serce waliło mu jak młotem, niemal boleśnie. Był zaskoczony swoją zwinnością. Ostatecznie więc nie był jeszcze całkiem do niczego, chociaż serce wciąż ciężko pracowało, żeby dojść do siebie. Dojechał następnie w okolice dworca, gdzie kwitła prostytutka. Tutaj każdy płacił za podróżowanie, w taki czy inny sposób. Jarvis przyjrzał się umalowanym jaskrawo dziewczynom, które brały go za starego zboczeńca niemogącego się zdecydować. Zadał kilka pytań, a ostatecznie zaparkował, żeby stawić im czoło pieszo, bez pośpiechu.

Powoli zbierały się wokół niego: osobliwy bukiet o wielobarwnej koronie, lecz zwiędłej łodydze, i ćwierkały, słuchając, z jakiego powodu się tu znalazł. Żadna nie знаła Ezry ani nikogo, kto byłby do niej

podobny, i żadna nie słyszała o dziewczynie z Carson Mills. Tutaj znaleźć można było jedynie służące rozpusty, kwiaty o płatkach gotowych zebrać soki fantazji, które czyste panie domu odmawiały spełniać, wybierając raczej etykietkę pobłażliwych żon niż zbrukanych dziwek. Tutaj wszystkie kurwy wywodziły się z rynsztoka lub jego bliskiej okolicy, w każdym razie stamtąd, gdzie zawsze spływa gówno.

Idąc za radą niejakiej Margueritte, Jarvis wynajął na noc pokój w niedrogim hotelu i po raz pierwszy od dłuższego czasu spał bez przerwy do świtu. Wygląda na to, że dusza potrzebuje czasu, aby zaleczyć rany, jakie zadaje jej wypaczenie, jeśli człowiek ociera się o nie bez zabezpieczenia.

Po przebudzeniu zadzwonił do Douglasa, żeby spytać, czy są jakieś nowe wieści i poinformować go, że do odwołania to on sprawuje władzę w mieście, po czym rozłączył się, usłyszawszy bez zaskoczenia, że w Carson Mills sprawy się nie ruszyły – z jednym tylko wyjątkiem: znaleziono Rakel Petersen. Stara ciotka nie miała alibi w godzinach obiadowych, ale pracowała dla pewnego małżeństwa, któremu sprzątała kilka godzin od czternastej, co zostawiało jej zbyt mało czasu na popełnienie zbrodni i dostanie się z powrotem do centrum miasta. Jarvis poprosił swojego zastępcę o zawiezenie Rakel do Joyce i Rileya, żeby rodzina mogła nawzajem się wspierać.

W niewielkim sklepie samoobsługowym szeryf skompletował kosmetyczkę, kupił bieliznę i dwie czyste koszule, po czym spędził cały dzień w archiwach „Wichita Eagle”, lokalnej gazety, z nosem w mikrofilmach, które drapały mu źrenice gorzej niż ostrze żyłki. Nie znalazł jednak nic, co wydałoby mu się trafne. Obawiając się najgorszego, chciał wiedzieć wszystko na temat kobiet, które znaleziono martwe w ciągu ostatnich trzech lat, czyli odkąd przestał szukać Ezry, dlatego czytał rubryki kroniki wydarzeń lokalnych, jedną po drugiej, aż oczy zaszyły mu mgłą. Zresztą większość zmarłych osób nie figurowała nawet w gazecie. Na kolację zjadł jajka sadzone z ziemniakami purée w jednej z restauracji w centrum, po czym wrócił położyć się spać w hotelu o podejrzanym klienteli.

Nazajutrz ponownie odwiedził swojego przyjaciela gliniarza, ale ten nie miał żadnych przydatnych informacji, a następnie podjął się

sprawdzenia pięciu adresów, pod którymi przebywała Ezra, zanim jej matka nie straciła ostatecznie jej śladu. W okresie prowadzenia śledztwa Jarvis dzwonił do wynajmujących, a potem do stróżów, jeśli takowi istnieli, wciąż bez sukcesu. Stanąwszy w drzwiach każdego z mieszkań w pierwszych trzech budynkach, zastanawiał się, czy nie wezmą go w końcu za byłego komiwojżera cierpiącego na alzheimera. Wypytał każdego z lokatorów o Ezrę, ale nikt jej nie znał, większość osób nie mieszkała tam w owym okresie, a pozostali ledwo pamiętali nieśmiałą dziewczynę przemykającą pod ścianami.

Pod czwartym adresem, u schyłku dnia, Jarvis zadzwonił do sześciu mieszkań, zanim pewna zbliżająca się do czterdziestki dziewczyna, postawna i z lokówkami we włosach, nie przyjrzała mu się uważnie, wypuszczając mu dym z papierosa prosto w twarz, i nie spytała:

– Po co pan jej szuka?

– Chcę się dowiedzieć, co się z nią stało – odparł Jarvis, rozpędzając dym dłonią.

– Ze względu na jej rodziców?

– Ze względu na prawdę, przede wszystkim.

Dziewczyna zmarszczyła szeroki nos i na chwilę upodobniła się do świni w blond peruce.

– Jest pan dla niej kimś bliskim?

– Niezupełnie. Ale wiem, że miała niełatwe życie. Chciałbym z nią porozmawiać. Być może uda mi się jej pomóc, a kto wie, być może ona również zdoła pomóc mnie.

Panna Piggy potrząsnęła papierosem, niczym magiczną różdżką, i wypowiedziała tak długo wyczekiwane zdanie:

– Proszę wejść. Istotnie sprawia pan wrażenie osoby, która potrzebuje pomocy.



Panna Piggy zajmowała ciasne, śmierdzące przypalonym tłuszczem mieszkanie, służące za schronienie całej zgrai hałaśliwych much latających między zwojami lepu zwisającego z wygiętego żyrandola, śmiertelnymi arabeskami eksponującymi nieliczne trofea. Zachęciła Jarvisa, by usiadł na kanapie przykrytej poplamioną różową kapą z frędzlami. Szeryf postanowił nie przyglądać się miejscu dokładniej, żeby nie poczuć się jeszcze bardziej niekomfortowo. Na niskim stoliku królowała buteleczka z żelem nawilżającym i paczka prezerwatyw, a tuż poniżej liczne czasopisma pornograficzne zachwalały świetność biologicznych otworów sprytnych gwiazdeczek. Najwyraźniej panna Piggy łatwo rozchylała uda, żeby napełnić portmonetkę.

– Mam świeżą lemoniadę, jeśli ma pan ochotę – zaproponowała.

Była to prawdopodobnie jedyna świeża rzecz, jaką miała do zaoferowania, pomyślał Jarvis, i natychmiast usłyszał w głowie oburzony głos swojej żony.

– Niech będzie lemoniada.

– Kim pan dla niej jest? – zawołała panna Piggy z kuchni.

– Swego rodzaju przyszywanym dziadkiem, który nie zrobił tego, co do niego należało – odparł Jarvis, odsuwając się od plamy wątpliwego pochodzenia.

Kobieta wróciła z dwoma dużymi szklankami pełnymi soku w kolorze bladej żółci.

– Jak to „nie zrobił tego, co do niego należało”?

– Blisko dwadzieścia lat temu i trzy lata temu. Wtedy byłem jej potrzebny.

Postawna kobieta wyciągnęła dłoń ze szklanką, żeby się z nim stuknąć.

– Mam na imię Liz.

– Jarvis.

– Dobrze ją pan znał?

Jarvis pozwolił Liz sterować rozmową. Najwyraźniej wiedziała coś na temat Ezry i chciała sprawdzić, czy on zasługuje na to, by o tym

usłyszeć.

– Wystarczająco, żeby wiedzieć, że wpadła w tarapaty, ale nie dość, żeby ją z nich wyciągnąć.

– Zna pan dwie ważne daty w jej życiu, co wyróżnia pana spośród większości błaznów, którzy przewinęli się przez jej łóżko.

– Przekroczyłem już wiek, by być jednym z nich.

– Zdziwiłby się pan.

– Czy miała wielu chłopaków?

– Wszystko zależy od tego, w jaki sposób zdefiniuje się pojęcie chłopaka.

– Rozumiem. Ten aspekt jej życia również nie był mi obcy.

– Wiedział pan także, że jej starzy to dranie?

– Powiedziałbym raczej, że nie wiedzieli, jak do niej dotrzeć.

– Niezła para *dupków*, owszem!

Zaakcentowała wyzwisko nutą złości. Skoro Ezra skończyła w takim miejscu, chociaż jej rodzice zamieszkiwali najpiękniejszy dom w Carson Mills, a ojciec zgarniał fortunę, można było się założyć, że żadne z „przyjaciół”, jakich dziewczyna była w stanie zdobyć w swoim nowym, rozpustnym życiu, nie mogło odczuwać sympatii względem rodziców zdolnych porzucić własne dziecko. Ezra być może nie wchodziła w szczegóły, a rodzice, jak to często bywa, odgrywali rolę złych i nie mogli liczyć na żadną pobłażliwość czy usprawiedliwienie. Szeryf jednak nie potrafił mieć jej za złe, że przedstawiła własną rodzinę jako cyniczne wampiry, skoro matka bardziej przejmowała się plotkami na własny temat, a ojciec skreślił ją ze swojego życia, ponieważ nie chciała podporządkować mu się tak, jak to mieli w zwyczaju jego pracownicy. Było w tym trochę prawdy, nawet jeśli ocena Elaine Monroe była karykaturalna i przesadzona. Mimo wszystko to ona poprosiła Jarvisa o pomoc.

– Czy wie pani, gdzie ona aktualnie przebywa? – spytał.

– O tak. Ale niech pan nie liczy na to, że panu powiem!

– Czy to tajemnica?

– Nie chcę, żeby jej klan znowu się do niej dobrał. Złożyłam jej taką obietnicę.

– Była z nimi skłócona aż do tego stopnia?

– Można tak powiedzieć. Nie wiedział pan? – spytała nieufnie Liz.  
– Nie – przyznał szczerze Jarvis. – Wszystko to z powodu napaści, jakiej stała się ofiarą jako nastolatka? Nie wybaczyła im, że jej nie wspierali?

Liz wybuchnęła śmiechem, odsłaniając żółte, pokryte kamieniem zęby.

– Delikatnie mówiąc! Twierdzenie, że coś nigdy nie istniało, nie usuwa problemu. Ezra nie mogła tego znieść. Widzę, że dobrze ją pan znał. Niewiele osób wiedziało o tej sprawie.

– Gdzie się spotkałyście?

– Tutaj. Mieszkała naprzeciwno.

– Tak, wiem, między...

Jarvis pochylił się nad zużytym notatnikiem, który wyciągnął z kieszeni spodni.

– Zostawmy daty w spokoju – przerwała Liz – czasami budzę się rano i nie pamiętam nawet, który mamy rok. Ezra mieszkała naprzeciwno dwa razy. Za pierwszym razem uciekła, kiedy domyśliła się, że matka kazała jej pilnować. Rok później wróciła, po upewnieniu się, że będzie tu bezpieczna. A ci dranie nawet nie wpadli na to, żeby ją odwiedzić.

Jarvis zagryzł policzki od środka. Prawdę mówiąc, był jednym z tych „drani”, którzy nie wzięli pod uwagę, że dziewczyna mogła wrócić.

– Byłyście ze sobą blisko?

– Byłam jej najlepszą przyjaciółką. Jedyłą właściwie. „Przyjaciółki do tańca i do różańca”, jak o sobie mówiłyśmy.

– Sprzedawała swoje ciało dla pieniędzy, prawda?

– Z pewnością nie robiła tego dla przyjemności.

– I żeby kupić narkotyki?

Panna Piggy odrzuciła głowę do tyłu i zakołysała nią.

– Czyli o tym także pan wie.

– Wiem, że wpadła w to, będąc jeszcze na uniwersytecie.

– Chciała odlecieć, przestać myśleć, dać sobie złudzenie szczęścia, przynajmniej od czasu do czasu. Ale narkotyki ją zjadły. Coś okropnego. Dawniej była piękną, widziałam zdjęcia, byłam z niej dumna,

mogłaby żądać sporych sum od wysoko postawionych klientów, gdyby tylko zechciała. Ale przy tym, co sobie wstrzykiwała, długo to nie potrwało, schudła, niemal znikła, co musiało jej nawet odpowiadać, a potem straciła włosy i zepsuły jej się wszystkie zęby.

– Cud, że przeżyła.

Liz potarła nerwowo twarz, po czym dodała:

– Cud, że udało jej się przestać brać. Ta dziewczyna ma naprawdę cholerny temperament!

– Przeszła odwyk? – spytał Jarvis w przebłysku nadziei.

– Kiedy za drugim razem wróciła do mieszkania naprzeciwko, tak, była czysta. Od czasu do czasu sprzedawała się jeszcze. Potrzebowała na czynsz, ale przede wszystkim chciała odłożyć trochę pieniędzy.

– Miała jakiś plan? Chciała wyjechać?

– Tak.

– Nie powie mi pani dokąd?

Liz przyjrzała się Jarvisowi, jej wzrok zmienił się, ale szeryf nie potrafił powiedzieć, czy wzbudzał w kobiecie litość, czy rozbawienie.

– Do Kalifornii. Zawsze marzyła o słońcu, chciała zobaczyć gwiazdy.

Zamiłowanie do ciepłego klimatu wywołało uśmiech na twarzy Jarvisa. Być może on i Ezra byli w gruncie rzeczy do siebie podobni. Dwie samotne dusze w poszukiwaniu odrobiny światła, które rozgrzałoby ich od wewnątrz.

– Hollywood?

– Taki miała plan.

Jarvis skinął głową z zadowoleniem. To już był jakiś trop. Odległy i złożony, ale jego zaletą było to, że w ogóle istniał.

– A potem wszystko się zawaliło – rzuciła nagle Liz z ponurą miną.

– Proszę?

– Pewnego dnia pojawił się pewien klient i to nią kompletnie wstrząsnęło. Później nigdy już nie była taka sama.

– Jak to?

– Sprawa jest dość niejasna. Nie chciała o tym mówić. Właściwie od tamtej pory niemal przestała się odzywać. To był facet, którego już kiedyś widziała albo którego znała, tylko to wiem. Wieczorem zastałam

ją zapłakaną, powiedziała mi tylko, że upadła tak nisko, że nawet najgorsze ścierwo z jej żalosnej miejsciny stało wyżej od niej. Nie wiem, co on jej zrobił albo powiedział, ale to ją zniszczyło. Opuściła ją resztką miłości własnej, jaka jej pozostawała.

Palce Jarvisa zacisnęły się na sofie, po kręgosłupie spłynęła mu kropla lodowatego potu, wywołując gęsią skórkę.

– Nie powiedziała, jak się nazywał? – dopytywał.

– Nie. Nigdy więcej o nim nie wspomniała, ale to z całą pewnością on ją zniszczył.

W przeciwieństwie do Jarvisa, Jon Petersen odnalazł Ezrę. Zapewne przypadkiem, będąc na przestrzemi miesiący albo wręcz lat stałym bywalcem dzielnic prostytutki, rozpoznał ją. To, że wziął ją ponownie mężczyzna, przez którego lata wcześniej została zgwałcona, ostatecznie złamało Ezrę. Jarvis pomyślał w tej chwili, że gdyby ten śmieć był wciąż jeszcze przy życiu, on mógłby popełnić szaleństwo i władować mu kulkę między oczy.

– Przykro mi – wyszeptał.

– Potem wyjechała, nigdy więcej jej nie widziałam.

– Kiedy to było?

– Nie pamiętam, trzy lata temu, albo nieco mniej.

Wkrótce po tym, jak Elaine Monroe przyszła go prosić o odnalezienie córki – obliczył Jarvis. Niewiele brakowało – ta myśl złamała mu serce.

Jarvis odstawił ledwo napoczętą lemoniadę i wstał.

– Dziękuję pani za pomoc, Liz.

– Dobrze mi zrobiła rozmowa o niej. Brakuje mi jej.

– Nie dostaje pani od niej żadnych wieści?

Liz pokręciła głową, a Jarvis nabazgrał coś na kawałku papieru wyrwanym z notesu.

– Gdyby kiedykolwiek wyłoniła się na powierzchnię, proszę do mnie zadzwonić. Nie zdradzę jej sekretu, ale poczuję się lepiej, wiedząc, że ona miewa się lepiej.

Karteczka zniknęła w tłustej dłoni Liz. Kobieta wbiła wzrok w starszego mężczyznę.

– Pan płacze? – spytała.

– Och, to pyłki traw, ja i moja żona jesteśmy na nie bardzo wrażliwi.

Panna Piggy uśmiechnęła się blado i usunęła się, żeby go przepuścić. Jarvis zawsze był zbyt współczujący i z biegiem lat nic a nic się nie zmieniło. Kiedy znalazł się na podeście schodów, oddała mu karteczkę.

– Nie ma sensu podsycać złudzeń – powiedziała – nie zadzwonię do pana.

Odebrał od niej kartkę, zawiedziony i zakłopotany.

– Dobrze. Przynajmniej jest pani szczerą.

– Co jest dla pana najcenniejsze w życiu?

– Najcenniejsze?

– Osoba albo rzecz, na której najbardziej panu zależy.

– Powiedziałbym, że... moja żona. Wspomnienie o mojej żonie.

– Jarvis, czy może mi pan coś w ciemno obiecać?

– Na czym miałyby to polegać?

– Że zgodzi się pan dotrzymać tajemnicy, nie wiedząc nawet, o co chodzi.

– No więc... zgoda.

– Proszę przysiąc na wspomnienie o pana żonie.

Jarvis zmarszczył brwi, ale przysiągł.

– Powiem panu, gdzie ona jest – powiedziała Liz. – Ale nie będzie pan mógł powiadomić jej rodziców, przysiągł pan.

Jarvis cofnął się o krok, zaskoczony.

– I obawiam się, że nie spodoba się panu to, co pan usłyszysz – dodała dziewczyna z papilotami we włosach.

### 33.

Ezra Monroe istotnie odeszła w pewien sobotni wieczór, w czasie gdy sąsiedzi świętowali czyjeś urodziny, i Liz nie skłamała: nigdy więcej już jej nie zobaczyła. Zresztą nikt nie zobaczy już nigdy Ezry, łącznie z szeryfem stojącym z panną Piggy naprzeciw niewielkiego ociosanego bloku granitu między dwoma tujami.

Nad dwoma datami widniał napis „Elizabeth Ezra Howard” o inicjałach ozdobionych pięknymi zawijasami.

– Dlaczego takie nazwisko? – spytał Jarvis, z kapeluszem przyciśniętym do serca.

– Jest moje. Dodałam tylko pośrodku imię. Kazała mi obiecać, że kiedy umrze, nie podpiszę grobu jej prawdziwym nazwiskiem, nie chciała, żeby rodzina mogła dobrać się do jej szczątków.

– Pozwolono pani na dopełnienie formalności administracyjnych?

– Myśli pan, że kogokolwiek obchodzi zmarła ćpunka bez dokumentów? Było im na rękę, że nie muszą wszczynać śledztwa i sprawdzać jej tożsamości, a w merostwie cieszyli się, że unikną płacenia za umieszczenie jej w grobie dla ubogich. Pokazałam moje stare, wygniecione prawo jazdy facetowi, który wypełniał formularz, podając je jako jej, a on się nie zorientował. Trzeba przyznać, że w czasach, kiedy było robione tamto zdjęcie, byłam szczupłą... Zresztą zapłaciłam za jej pogrzeb. Nie chciałam, żeby trafiła do zbiorowego grobu albo żeby ją spalono.

– Jak do tego doszło?

– Wkrótce po wizycie tego faceta. Wróciła do kokainy, aż pewnego wieczoru... przedawkowała.

– Myśli pani, że zrobiła to celowo?

– Ezra nie należała do osób, które myliłyby się w ilościach. Była fachowcem. Po prostu nie miała ochoty już tego dłużej ciągnąć. Ten gość naprawdę ją pokiereszował.

*Zrobił znacznie więcej, pomyślał Jarvis. Zasiał w niej niszczycielskie ziarno, kiedy była jeszcze tylko nastolatką, świeżą i uległą, po czym wrócił i dokończył robotę.*

– Zrobiła to u siebie? W mieszkaniu?

– Nie, w zaułku pod schodami przeciwpożarowymi, położyła się na workach na śmieci między dwoma kubłami i wcisnęła tłok strzykawki, żeby spuścić kurtynę.

Wyrazista symbolika. Myśl o jej wstydzie związanym z tym, kim się stała, tak dużym, że postanowiła umrzeć wśród śmieci, jeszcze bardziej przygnębiła Jarvisa.

– W jaki sposób się pani dowiedziała? – spytał.

– Wsunęła mi karteczkę przez szparę pod drzwiami. Suka wiedziała, że dorabiam sobie w pewnym barze, że późno wrócę, wiedziała, że kiedy ją znajdę, nie będzie już się dało nic zrobić.

– Co napisała w liście?

– Tylko gdzie ją znajdę i „dotrzyмай obietnicy, przyjaciółko do różańca”.

Liz pociągnęła nosem i przetarła policzek rękawem.

– Rozpoznała pani jej charakter pisma?

– Na dwieście procent. Nie było to zamaskowane morderstwo, jeśli to panu chodzi po głowie – odparła kategorycznie, głosem zdławionym przez powstrzymywane łkanie.

Stali tak przez chwilę wśród zapadającej nocy. Jarvis zostawił Liz kilka banknotów, żeby mogła nazajutrz ozdobić grób kwiatami. Gdzieś bił dzwon, oznajmiając zamknięcie bramy cmentarza.

– Czy pozwoli mi pani przynajmniej powiadomić rodziców o jej śmierci?

Liz spiorunowała go świńskimi źrenicami.

– Naprawdę pani uważa, że nie cieszyłaby się na myśl, że dowiedzą się o jej zgonie? – nalegał.

Poza tym był zdania, wbrew całej złości, jaką Ezra do nich żywiła, że wszyscy rodzice świata mają niezbywalne prawo wiedzieć, kiedy ich dziecko odchodzi z tego świata.

Liz skrzywiła się niezdecydowana, po czym przytaknęła.

– Ale ani słowa na temat grobu – uprzedziła. – Kazała mi obiecać, że nigdy nie dostaną jej ciała.

– Zrozumiałem.

Kiedy rozstali się na ulicy, szmer cywilizacji wydawał się odległy



dla uszu Jarvisa, który tonął w osobliwej wacie, pijany od emocji.

Panna Piggy stanęła jeszcze na rogu ulicy, wyciągnęła palec w jego kierunku i zawołała:

– Niech pan się nie wygłupia, Jarvis! Przysiągł pan!

\*

Jarvis jechał nocą, wczepiony w kierownicę niczym w prawdę, skupiony na lśniącej asfaltowej wstążce pochwyconej między dwa reflektory, przekonując się w myślach, że zaczerwienione oczy zawdzięcza zmęczeniu. Kiedy dotarł do domu, wspiał się po schodach tak szybko, na ile pozwoliły mu obolałe kości, i opadł na łóżko, po czym zasnął wśród pościeli, wśród zapachów swojego życia. Miał nadzieję, że odwiedzi go żona, chciał poczuć na sobie jej dłoń, wystarczyłoby mu samo widmo jej obecności, lecz obudziło go dopiero echo śmiechu jego własnych demonów.

Wziął prysznic, ogolił się i założył niedzielny strój, zjadł naprędce kawałek czerstwego chleba i wypił gorącą kawę, po czym udał się w stronę południowej dzielnicy Carson Mills. Tym razem zaparkował samochód tuż przy wejściu do willi Monroe'ów, pod białymi kolumnami i fioletowymi glicyniami spływającymi z nadwieszenia. Chociaż nie był umówiony, gospościa zgodziła się go wpuścić i kazała poczekać w małym salonie, sama zaś poszła sprawdzić, czy Cormac Monroe może go przyjąć.

– Wolałbym, żeby przy rozmowie była również obecna Elaine – uściślił.

– Pani nie ma. Jest w klubie jeździeckim.

– Dobrze. A więc sam pan Monroe.

Służąca wróciła po szeryfa niemal natychmiast i poprowadziła go na koniec długiego korytarza ozdobionego rodzinnymi portretami i wyłożonego błyszczącym parkietem, a następnie wprowadziła do biblioteki pełniącej funkcję gabinetu pana domu. Jarvis wszedł do środka, trzymając kapelusz w dłoniach. W pomieszczeniu unosił się zapach zimnego dymu z cygara oraz wosku. Na widok wysokich regałów z drewna czereśniowego zastawionych książkami stary mężczyzna poczuł się nagle malutki i strasznie nieoświecony. Cormac

Monroe zajęty podpisywaniem dokumentów spojrzał na niego ze skórzanego fotela i zaszczyił uprzejmym uśmiechem, po czym powrócił do swojej lektury.

– Bardzo proszę, szeryfie, niech pan usiądzie, zaraz skończę.

Ale Jarvis wolał stać, aby poczuć się nieco swobodniej. Cormac Monroe, podobnie jak jego żona, postarzał się. Białe kosmyki przetykały jego nienagannie ułożone czarne włosy, a zmarszczki, które swego czasu podkreślały pionowymi liniami policzki, przypominały obecnie blizny wyżłobione przez czas. Jarvis nie chciał się zachować nieuprzejmie, wpatrując się tak w niego, więc podjął próbę dodania sobie odwagi i ruszył powoli wzdłuż półek wypełnionych mniej lub bardziej znanymi dziełami, by wreszcie trafić na okazały zbiór powieści Dashiella Hammetta, Williama R. Burnetta, Dorothy B. Hughes i Williama P. McGiverna; sięgnął po jedną z nich, żeby się odprężyć.

– Interesuje się pan literaturą? – spytał Cormac Monroe, nie podnosząc głowy znad papierów.

– Powieści detektywistyczne, tak, szczególnie klasyczne.

Tym razem Cormac uniósł podbródek, żeby zerknąć na książkę, którą Jarvis trzymał w dłoniach, po czym wrócił do swoich spraw.

– Ach, to... Czyta je Elaine.

– Pan nie lubi?

– Zakończenie nigdy nie spełnia oczekiwań.

– Czyż to nie realistyczne?

– Wolę poważne dzieła.

– Niesłusznie, niektóre powieści kryminalne mają w sobie więcej sensu niż niejedna praca bardziej akademickich autorów.

Cormac wymamrotał jakąś odpowiedź tonem osoby, która nie lubi podważać wpojonych zasad, i zamaszystym gestem podpisał kilka dokumentów, a następnie zatrzasnął aktówkę, na oko bardzo ciężką.

– Jestem do pana dyspozycji, szeryfie. Czemu zawdzięczamy pańską wizytę? – spytał, obchodząc biurko i przysiadając na jego blacie.

– Po raz pierwszy, o ile się nie mylę...

– Nie, ale za pierwszym razem pojawiłem się tu z powodu, o którym wszyscy wolelibyśmy zapomnieć, kiedy to pańska córka... Przeszedłem na prośbę Elaine, a było to blisko dwadzieścia lat temu.

Cormac skinął głową z ponurą miną, przywoławszy w przeciążonej pamięci wspomnienie owego smutnego dnia.

– To prawda... Jak pan sam powiedział, wolałem zapomnieć.

– Niestety, obawiam się, że i tym razem przynoszę złe wieści.

Cormac przechylił głowę, zaintrygowany i zaniepokojony.

– Chodzi o Ezrę, panie Monroe. Nie jestem w stanie przedstawić panu niezbitego dowodu, lecz niestety, obawiam się, że nie żyje.

Przez chwilę Cormac trwał w bezruchu, ze wzrokiem utkwionym w pustce, aż wreszcie jego dłoń odruchowo powędrowała w stronę małego pudełka inkrustowanego masą perłową, skąd wyciągnął papierosa, którego następnie zapalił srebrną zapalniczką, po czym zaciągnął się głęboko.

– Jest pan tego pewien? – spytał wreszcie.

– Z powodu braku ciała zawsze pozostanie miejsce na wątpliwość, tym razem jednak obawiam się, że wydarzyło się najgorsze.

– Jak?

– Nie wiem, czy powinienem panu...

– Mnie może pan powiedzieć, jak mężczyzna mężczyźnie, Jarvis.

– Miało to miejsce nieco ponad dwa i pół roku temu.

Przedawkowanie.

Cormac zamknął na chwilę oczy i westchnął z bólem.

– Czy cierpiała?

– Nie – skłamał Jarvis.

Papieros spalał się między nieruchomymi palcami magnata przemysłowego, dym spowijał go, jak gdyby ciało miało zamiar połączyć się z umysłem daleko od tego świata.

– Nigdy jej nie rozumiałem – przyznał po chwili ciężącego milczenia.

Zmarszczki, widoczne przez blade arabeski otaczające mackami Cormaca Monroe'a, zdawały się pulsować, lecz spojrzenie było martwe.

– Najszczęśliwsze wyrazy współczucia – powiedział Jarvis.

Cormac pokręcił głową.

– W głębi duszy czułem to od dawna. Wcześniej czy później podejrzenia by się potwierdziły. Niemniej jednak Elaine przeżyje szok. Nigdy nie przestała wierzyć, że ją odnajdzie, że wszystko naprawi. Ezra

odziedziczyła po niej swój idealizm.

Jarvis nie był przekonany, czy Ezra można było uważać za idealistkę, ale nie był to dobry moment na tego typu uwagi.

– W jaki sposób się pan dowiedział? – spytał Cormac.

– Pojechałem do Wichity, zadałem kilka pytań i trafiłem na właściwą osobę.

– Ezra nic po sobie nie zostawiła?

– Nie – ponownie skłamał Jarvis.

– Skoro nie ma ciała, jak wierzyć w to, co panu powiedziano?

– Zaufanie, panie Monroe. Czasami tylko ono pozostaje. I instynkt.

– Proszę nic nie mówić Elaine, dobrze?

– Ale... ona ma prawo wiedzieć.

– Tak, pewnego dnia, ale nie teraz. Nie jest gotowa. Poza tym, skoro nie ma ciała... nigdy nie wiadomo.

Jarvis nie miał pojęcia, czy Cormac usiłuje przekonać samego siebie, czy też po raz kolejny odgrywa rolę głowy rodziny kontrolującej wszystko pod swoim dachem, ale skinął na znak, że się zgadza.

Cormac sięgnął po drugiego papierosa, zapalił go i przesunął pudełko w stronę Jarvisa.

– Pali pan, szeryfie?

– Nie, i próbuję trzymać się z daleka od tego przekleństwa.

– Nie powinien pan. W końcu na coś trzeba umrzeć, a czasami szybciej niż zaplanowała to dla nas natura – rzucił Cormac z niemal komicznym cynizmem, podając papierosa szeryfowi.

Ze swoim zgaszonym spojrzeniem i charyzmatycznym wyglądem stanowił istne wcielenie pokusy.

– Dziękuję, ale nie. Chodzi o pewną obietnicę, którą dawno temu złożyłem.

– Niesłusznie.

Spojrzenie Jarvisa zatrzymało się na kuszącym papierosie.

Pożądanie ulotniło się jednak w mgnieniu oka.

Zamiast tego pojawiło się osłupienie i wszystko stało się oczywiste.

Wtedy zamknął oczy.

## 34.

Wbrew wszelkim oczekiwaniom i niemal po dwudziestu latach tajemnica morderstwa Theresy Turnpike sprowadziła się do kawałka korka i do jednego nazwiska.

Herbert Tareyton.

Drewniane pudełeczko zdobione masą perłową królujące na biurku Cormaca Monroe'a zawierało spory zapas tych papierosów o charakterystycznej końcówce.

Jarvis Jefferson był wyjątkowo spokojny i samego go to zaskoczyło. Wskazał na nikotynową pałeczkę, którą wręczał mu Cormac.

- Herberty tareytony z korkową końcówką, rzadkość.
- Jest pan znawcą. Tak, sprowadzam je specjalnie z Wichity, ale stają się coraz trudniejsze do zdobycia. Stara mania. Według mnie korek wszystko zmienia, nie ma nic wspólnego z miękkimi filtrami bez smaku.
- Pali je pan od zawsze?
- O tak. Pomagają mi myśleć.
- Oczywiście – wyrzucił z siebie Jarvis, zrezygnowany i zasmucony. – Potrzebował pan trzech lub czterech, żeby wymyślić, co zrobić z ciałem Theresy Turnpike, aby ostatecznie rozgnieść jednego na jej czole i zostawić ją tak, jak leżała.

Papieros zaczął zsuwać się powoli w dół, by ostatecznie upaść na parkiet z matowym, niemal niedosłyszalnym odgłosem. Martwe spojrzenie Cormaca Monroe'a obudziło się i zaczęło błyszczeć, jego oblicze jednak zachowało nieprzenikniony wyraz, zmarszczki w charakterze skrzeli ułatwiały oddychanie. Dwaj mężczyźni wpatrywali się w siebie z intensywnością odwiecznych wrogów, którzy wreszcie stawiają sobie czoło, a łączący ich promień był ostrzejszy niż tarczowa piła elektryczna.

Cormac Monroe miał wiele wad, ale nie próbował się wyłgać. Osaczony, zdemaskowany, wreszcie przytaknął.

- Była uparta jak osioł – powiedział chłodno. – Niezła suka przy okazji. Senator McCarthy powinien był skuteczniej się pozbyć tej

komunistycznej zarazy! Miała mocno ugruntowane poglądy socjalistyczne. A kiedy trafiła jej się okazja, żeby dorwać lokalnego przedsiębiorcę, cieszyła się jak wieprzek przy korycie!

– Zatrącił ją pan na śmierć, Cormac.

– Chciała o wszystkim opowiedzieć! Co by pan zrobił na moim miejscu? Chroniłem rodzinę przed skandalem, to wszystko! Nawet Ezra powinna była zrozumieć!

– Ezra była załamana, potrzebowała wsparcia, a nie dyktowania, jak powinna się zachowywać.

Wreszcie padła nieubłagana sentencja z tych ostatecznych, nieodwołalnych, rozdzierających i nieoczekiwanych.

– To mi się przytrafiło tylko raz, na miły Bóg! – uniósł się Cormac. – Byłem pijany! I samotny, strasznie samotny... Myśli pan, że życie u boku Elaine jest takie różowe? Bardziej sztuczne niż uśmiech na gębie martwego klauna! Cudem jest, że w ogóle mieliśmy dziecko! Byłem zapracowany, w złym nastroju, wykończony, zaniedbywany, a Ezra była taka piękna... Jeszcze piękniejsza niż jej matka w tym wieku... Nie wiem, co mnie napadło, zanim zdążyłem pomyśleć, stało się najgorsze.

Po raz pierwszy w swoim życiu, widząc, jak Cormac pęka i zakrywa twarz dłońmi, Jarvis, lokalny szeryf bez większego wykształcenia, przestał czuć się gorszy od ludzi z wyższych sfer.

– Zgwałcił pan własną córkę? – wyszeptał.

Zrozumiawszy nagle, że Jarvis nie miał o niczym pojęcia i że sam właśnie wszystko mu wyznał, Cormac wyprostował się i popatrzył na szeryfa złym wzrokiem.

– Pan... ona nic panu nie powiedziała? Myślałem, że... Nic nie napisała?

– Nie, widzi pan, wbrew temu, co pan o niej sądził, udało się panu jednak wpoić jej kult tajemnicy mający na celu ochronę bliskich. Sam pan właśnie wszystko wyznał.

– Ale... – rzekł nagle, odwracając się w stronę pudełka z papierosami.

– Zrozumiałem po prostu, że zabił pan Theresę. Teraz znam również motyw. Ezra zwierzyła się bibliotekarce, ostatniej desce ratunku zrozpaczonych nastolatków z Carson Mills, a ta, w przypływie niechęci,

nie zdołała się opanować i skontaktowała się z panem, aby oznajmić, że wie o wszystkim i zamierza pana obalić.

Magnat kręcił głową, nie chcąc pogodzić się z oczywistością.

– Suka! To wszystko przez nią...

– Och nie, Cormac, to przez pana. To pan zniszczył własną córkę.

Jak pan mógł?

Wszystkie okoliczności tragedii były wyryte w pamięci szeryfa, a teraz dowiedział się dokładnie, co się stało. Elaine spędziła noc poza domem, u swojej siostry w Tulsa, Cormac wybrał się na pokera z przyjaciółmi. Wypił dużo, miał złą passę i wrócił do domu wcześniej, niż planował. Czy poszedł pocałować córkę na dobranoc, czy też jeszcze nie spała? Tak czy owak przekroczył granicę, zatracił swoją ludzkość, a bariery moralne, religijne i społeczne runęły pod naporem pierwotnego popędu. Nagle Jarvis zrozumiał, że dotknął czegoś absolutnego. Gdzieś tu czaiło się Zło, między zwierzęciem i seksualnością. Zło elektryzujące, przelotne, ukryte w głębokich czeluściach człowieka, fala chtoniczna wyłaniająca się podczas trzęsień ziemi dokonujących się w danej osobowości. Zło było popędem. I każdy z nas może je odczuć, choć dochodzi ono do głosu przede wszystkim u osób wrażliwych, skonstruowanych na niestabilnych strukturach, istot stojących na mniejszych lub większych liniach uskoków. Cormac Monroe był jedną z nich, znalazł się blisko epicentrum i każdy wstrząs na niego oddziaływał.

Z kolei Jon Petersen był epicentrum Zła. Kwintesencją wstrząsów powodujących czasami rozchwianie całego miasta, całej społeczności.

Czy to jednak naprawdę złowróźbna aura Petersena wpłynęła na Cormaca? Nie, to mało możliwe. Zbyt łatwa wymówka. Każdy jest niezależny. Cormac Monroe miał po prostu to „szczęście”, że popełnił nieodwracalny czyn w tym samym czasie, gdy Jon gwałcił Louise Mackie, i dwaj przestępcy złączyli się w jedno.

– Mogę z pana uczynić potężnego człowieka – oznajmił Cormac po dłuższej chwili ciszy.

Czarno-białe kosmyki lśniące od pomady do włosów opadały teraz po obu stronach twarzy, niczym robaki świadczące o tym, że wszystko w nim od dawna gnije. Czuł, że sytuacja wymyka mu się spod kontroli

i nie mógł tego znieść, potrząsał więc tylko nerwowo głową.

– Jeśli ma pan ambicje polityczne – ciągnął – mogę obiecać panu merostwo. Mam poparcie w Wichicie, mógłby pan objąć znaczące stanowisko w tamtejszej policji. Byłby pan przydatny, jest pan cholernie dobrym gliną.

Jarvis odwrócił głowę w stronę wysokich okien i rozejrzał się po ukwieconym ogrodzie, po białych dzwoneczkach na pobliskim drzewie, po czerwonych trąbkach jakiegoś krzewu i po lazurowym niebie zakrywającym ten mały skrawek utraconego przez człowieka raju. Wziął głęboki wdech.

– Cormac, po namyśle stwierdzam, że ma pan rację: zakończenia historii kryminalnych zawsze rozczarowują.



## 35.

Jarvis zawsze kierował się instynktem. Słuchał tylko swojego wewnętrznego głosu, głębokich przekonań. Wykraczał nawet poza dyktat prawa, sprawiedliwość była zbyt ważną kwestią, szczególnie w miejscach takich jak Carson Mills, by móc zawierzyć jedynie książkom, bez interpretacji.

Czy Ezra Monroe pragnęłaby, aby całe miasto się dowiedziało, że została zgwałcona przez własnego ojca? Na pewno nie, nawet po latach nie chciała o tym rozmawiać, z wyjątkiem może jedynej przyjaciółki, panny Piggy. Zdanie, które ta ostatnia wypowiedziała w przypiływie złości – „Niezła para *dupków!*” – wybrzmiewało teraz z gorzkim posmakiem w głowie szeryfa, który nie potrafił wcześniej niczego zobaczyć ani usłyszeć. A mimo to Ezra próbowała szukać rozwiązania poza własnym klanem, zwracając się do Theresie Turnpike. Obecnie obie już nie żyły, pozostało jedynie głębokie przekonanie szeryfa na temat tego, czym jest sprawiedliwość, a przede wszystkim prawda. Czy prawda istnieje jedynie wtedy, gdy ujrzy światło dzienne? Czy też prawda świata jest tylko wielkim oszustwem opartym na skrawkach prawd, jakie każdy zachowuje grzecznie dla siebie?

Ezra opuściła wygodny dom rodzinny z powodu ojca, a także ponieważ jej matka niczego nie rozumiała. Córnica nie potrafiła powiedzieć, co się wydarzyło, nie potrafiła zniszczyć jej świata, a mimo to miała nadzieję, że ta, która dała jej życie, domyśli się, ujrzy odrażającą rzeczywistość. Ale Elaine, niezdolna do przesadnych demonstracji, zaciekle wyznawczyni kultu „co powiedzą inni”, nie mogła brać pod uwagę czegoś, co ją zniszczy. Ezra znienawidziła ją za to, za jej milczenie, za jej zdystansowaną miłość. Jarvis zastanawiał się, czy ma prawo działać wbrew temu, co postanowiła Ezra. Jak najlepiej można było uczcić jej pamięć?

W ułamku sekundy podjął decyzję.

Klub hippiczny mieścił się w dużym białym budynku z czerwonym dachem, wznoszącym się pośrodku pięciohektarowej łąki na południowym krańcu miasta, na której pasło się około dwudziestu koni.

Tam zbierała się cała śmietanka małej miejscowości pokroju Carson Mills, mer, dyrektor lokalnej gazety, tuzin najbardziej wpływowych mężczyzn i kobiet w hrabstwie, a także garstka starannie dobranych gości. Rodzaj country klubu na miarę Carson Mills.

Jarvis pchnął bezceremonialnie drzwi – na widok szeryfa personel cofnął się, schodząc mu z drogi. Wtargnął na środek głównej sali, gdzie zebrani dyskutowali radośnie i w dobrych humorach, z filiżanką lub przekąską w dłoni, i poszukał wzrokiem Elaine Monroe, która siedziała w towarzystwie swojego nauczyciela golfa i przyjaciółki.

– Pani Monroe, dwadzieścia lat temu kazała mi pani złożyć sobie obietnicę. Dzisiaj przyszedłem się z niej wywiązać. Oto mężczyzna, który zgwałcił pani córkę.

I wśród oburzonych okrzyków zebranych popchnął Cormaca z zakrwawioną brodą, którego trzymał za kołnierz wygniecionej koszuli z oderwanymi kilkoma guzikami, żeby ten upadł do kolan małżonki.

## 36.

Jon Petersen zgwałcił Louise Mackie, kiedy miał zaledwie piętnaście lat, i podpisał jej hańbę makiem. FBI znalazło przypadki dwóch innych podobnych napaści, odnotowanych na terenie stanu, ale Jarvis nie miał wątpliwości co do tego, że musiało być znacznie więcej incydentów, które na zawsze pozostaną tajemnicą Jona Petersena i jego ofiar. Cormac Monroe był gwałcicielem własnej córki Ezry i zabójcą Theresy Turnpike. Ezra, nieszczęsna dziewczyna zniszczona przez ojca, staczała się po równi pochyłej egzystencji, dopóki przebiegły los nie postawił na jej drodze zbrodnicę z Carson Mills – a może było to dzieło samego Jona Petersena. Wówczas, uświadomiwszy sobie, że upadła tak nisko, iż nawet człowiek pokroju Petersena może zapłacić za zażywanie z nią rozkoszy do woli, postanowiła opuścić świat, na którym przestała być cokolwiek warta. Wszystko było teraz jasne.

Pozostawało odgadnąć, kto mógł ukręcić głowę Petersenowi i dlaczego.

Jarvis Jefferson starał się zbadać każdy najdrobniejszy trop, jaki powstawał w jego czujnym umyśle. Przeanalizował setki odcisków palców pobranych na farmie, praca ta jednak została wykonana naprędce, przez niewyszkolonego zastępcę, który – do czego sam się przyznał – szybko się zniechęcił, twierdząc, że ślady są wszędzie. Jarvis rozłożył przed sobą dziesiątki kartek i zaczął się zastanawiać, w jaki sposób zabierze się do ich porównywania. A przede wszystkim z kim. Na tym zakończyła się jego próba „naukowego” podejścia do zabójstwa Jona Petersena. Wrócił do metod, jakie opanował najlepiej – ciągnięcia ludzi za język i obserwacji. Ale mijały tygodnie, a nikt nie przypominał sobie niczego nowego. Po upływie miesiąca Jarvis nie widział innej możliwości, jak ponownie otworzyć gospodarstwo dla Joyce i Rileya. Najbardziej niepokieszona była Meredith Cornwall, przyzwyczała się bowiem do towarzystwa w przyczepie w głębi swojego ogrodu, tymczasem Jarvis niepokoił się, czy Riley będzie jadał do syta, gdy kohorta uczynnych luteranów przestanie uzupełniać im zapasy.

Nie wziął jednak pod uwagę skrupułów tych pierwszych i uporu

drugich. Ci sami hojni darczyńcy, którzy przez miesiąc zaspokajali potrzeby Petersenów, zmieniali się jeszcze następnie i sprawdzali, czy w gospodarstwie nie są potrzebne jakieś prace naprawcze, albo podrzucali Rileyowi i jego matce spodnie lub sukienkę, które zajmowały im miejsce w szafie, nikt też nie przychodził bez pasztetu w cieście, kawałka mięsa albo świeżo ukrojonej mortadeli. Wraz z rozpoczęciem roku szkolnego zachowanie Riley'a zmieniło się nie do poznania. Z pewnością nie stał się najbystrzejszym ani najbardziej skupionym uczniem, ale po raz pierwszy manifestował chęć słuchania i rozumienia. Dwoje nauczycieli zaoferowało mu pomoc w uzupełnieniu największych braków i pod koniec roku ten, który miał zamiar żyć w szałasie w głębi lasu, był jednym z przeciętnych, lecz zawziętych uczniów i zdał do następnej klasy z ambicją osiągnięcia jeszcze lepszych wyników. W międzyczasie Joyce widywano w Samotnym Wilku, tylko gdy wpadała pogawędzić z Patsy lub Ronem, właścicielami lokalu, i przyjmowała zlecenia dla pomocy domowej w mieście. Ciotka Rachel wróciła do gospodarstwa w tym samym czasie co odbiornik telewizyjny, który dokończył dzieła ich adaptacji w normalnej Ameryce. Nawet jeśli życie u Petersenów dalekie było od sielanki, znacznie poprawiło się po śmierci Jona. Trzeba przyznać, że startowali z tak niskiego poziomu, że nie było to trudne.

Od czasu do czasu, pod pretekstem informowania o postępach śledztwa, Jarvis zaglądał do gospodarstwa, żeby porozmawiać z Joyce, a przede wszystkim, żeby mieć oko na chłopca. Kilka godzin spędzonych razem w dniu śmierci Jona pozostawało dla niego silnym i prawdziwym doznaniem ostatnich kilku lat. Jego własne dzieci, pochłonięte przez wir codziennego życia, odwiedzały go z rzadka, obserwował, jak jego wnuki dorastają, dzięki zdjęciom i nielicznym uprzejmym, lecz niezbyt zaangażowanym rozmowom telefonicznym, dlatego Riley reprezentował ostatnie strzępki młodości w jego otoczeniu. Był życiem. Przyszłością. A więc nadzieją.

Wraz z nadejściem zimy, w pewien szary, grożący deszczem poranek Jarvis zamknął się w swoim biurze i przeczytał całą dokumentację, jaką dysponował na temat śmierci Jona Petersena. Tego samego wieczoru zredagował ostatnią notatkę, w której stwierdził, że

zamyka dochodzenie i że z braku opatrnościowego *deus ex machina* sprawa nie zostanie nigdy wyjaśniona.

Nazajutrz rano oznajmił Douglasowi, że składa dymisję, a jego zastępca powinien przygotować się do wyborów, choć nie miał wątpliwości, że odniesie w nich zwycięstwo jako jedyny kandydat, a przede wszystkim ze względu na swój staż i kompetencje. Jarvis Jefferson wysłużył się i tym razem nie zamierzał temu zaprzeczać. Wykorzystał czas kolejnych miesięcy, by częściej składać kwiaty na grobach swojej żony i Ezry oraz spacerować wzdłuż pola kukurydzy w towarzystwie Sunny'ego.

Podpisując dokumenty, które uprawomocniały jego rezygnację z funkcji szeryfa, Jarvis sądził, że podpisuje tym samym swój wyrok śmierci. Rosie nie żyła, a on nie miał nawet pracy, która zajmowałaby mu czas, czuł, że jego upadek jest bliski, że nadejdzie gwałtownie i że przyjdzie mu umrzeć w ciągu kilku miesięcy. Nic takiego jednak się nie wydarzyło, miewa się świetnie, niczym żwawy stulatek, który nie ma czego zazdrościć młodszym pensjonariuszom domu spokojnej starości, gdzie powoli, w swoim rytmie, zbliża się do dnia, gdy przyjdzie mu podsumować życie i załatwić sprawy papierkowe z Panem, aby wreszcie odnaleźć swoją Rosie. Wiem, że korzysta ze słońca gdzieś w Georgii, blisko granicy z Florydą i miejsca zamieszkania jednego z synów, doniósł mi również, że jego umysł wciąż jest jasny i ani razu nie sięgnął po papierosa.

Riley natomiast mimo wszystko przyłożył się do nauki. Wraz ze śmiercią Jona uświadomił sobie, że nic nie robiąc, stajemy się często przedłużeniem własnych rodziców, i przeraził się na myśl, że mógłby upodobnić się do ojca. Szkoła była sposobem na wyzwolenie się z własnej kondycji, wypełnienie się czymś innym, zmianę trajektorii, i chłopiec potrafił to wykorzystać. W końcu przyznał, że nie chodzi właściwie o zmianę, lecz o możliwość wyboru drogi. W ciągu tych lat zdobywał coraz więcej przyjaciół, którzy przestali bać się gospodarstwa na wzgórzu, od czasu do czasu wciąż odwiedzał Jarvisa i pił z nim lemoniadę, odwiedzał też pastora Alezzę – zachowując te wizyty dla siebie, by nie urazić Malcolma Tuny, luteranina. Alezza podał mu dłoń w odpowiednim momencie i chłopiec nigdy mu tego nie zapomniał.

Rozmawiali o wszystkim, o przeszłości, o planach na przyszłość, ale nigdy o Bogu. Jak widać, można i tak... Kiedy wyjechał z Carson Mills, żeby podjąć naukę na uniwersytecie, wciąż dawał o sobie znać za pośrednictwem pocztówek, które okraszał dowcipami. Za każdym razem, gdy Jarvis znajdował jedną z nich w skrzynce na listy, uśmiechał się jak dzieciak w bożonarodzeniowy poranek, po czym przypinał ją do filara między dwoma oknami kuchni. Chociaż nie było mnie na miejscu, kiedy wyprowadzał się na Południe, zrozumiałem, że była to ostatnia z rzeczy, jakie zabrał ze sobą w pudłach: dom został opróżniony całkowicie, ale skrawek ściany przysłonięty pocztówkami wibrował jeszcze od śmiechów, zwierzeń i pełnych wzruszenia wspomnień; podobno zrywał je jedną po drugiej i czytał raz jeszcze każdą z nich, uśmiechając się pod wąsem.

To, co z czasem stało się z Rileyem, nie jest ważne dla tej opowieści. Mimo wszystko mogę wam powiedzieć, że nigdy nie wrócił do Carson Mills, jak widać raj nie jest kwestią zasług, lecz opinii. Spotkał wiele dziewcząt, ale poślubił tę, która pewnego ranka obudziła go zapachem słodkich bułeczek, jakie piekła w piekarniku jego maleńkiego mieszkanka. Nie mam pojęcia, czy psychiatra dopatrywałby się w tym kompleksu Edypa albo strukturalizacji, ale Riley był zachwycony. Przeżył dwie lub trzy nieprawdopodobne przygody, przez które przebrnął przy wsparciu żony i dzieci, ale opowieść o tym nie należy do narracji tej książki. Mieszka obecnie gdzieś na wschodzie kraju, gdzie – najczęściej – pracuje jako niezależny dziennikarz, i mogę chyba powiedzieć, że ogólnie jest szczęśliwy. W każdym razie nigdy nie ofiarowuje dziewczynom maków, to już coś.

Douglas natomiast przejął pałeczkę w Carson Mills, ale po dwóch kadencjach zrezygnował. Nigdy nie był ambitny i nie lubił odpowiedzialności. Młody miejscowy mężczyzna zgłosił się jako kandydat w wyborach i został nowym szeryfem, i moim zdaniem dobrze się stało. Nasze miasto jest trochę jak owe skamieliny, których mnóstwo można znaleźć w takich zakątkach jak Montana, gdzie wystarczy się schylić, żeby podnieść jedną z nich, więc w końcu przestaje się na nie zwracać uwagę, nie oczyszcza się ich dokładnie i kończą, kurząc się na półce. Postęp nie jest epidemią, lecz kocem; przychodzi do was, jeśli go

w swoją stronę pociągnięcie. Carson Mills zbyt długo uważało, że samotnie stawi czoła starości, ale powoli do głosu dochodzi nowe pokolenie, generacja pozostająca w łączności ze światem zewnętrznym i stan rzeczy się zmieni, jestem co do tego przekonany.

Niemniej jednak śmierć Jona Petersena do dziś pozostaje jedną z tajemnic naszego miasta. Dla wszystkich. Albo prawie.

Na początku tej opowieści przedstawiłem się jako wasz przewodnik po wielkiej Historii i tej dotyczącej każdego z protagonistów małego miasteczka. Jestem jednym z nich, mieszkałem znaczną część życia w Carson Mills i jak przystało na dobrego przewodnika, czuję się w obowiązku znać wszystko, co wam pokazuję. Muszę być z wami szczery i iść do końca. Jestem wam winien prawdę, tę, która kryje się pod łózkami i dywanami, czasami w szafach, tę prawdziwą, jedyną, podzieloną na nieskończenie wiele indywidualnych cząsteczek, które każdy dopasowuje na swój sposób i tworzy prawdę mniej szczerą, lecz bardziej przestronną, a przede wszystkim lepiej się prezentującą. Tę ostatnią prawdę już znacie: nikt nie został zatrzymany w związku z zabójstwem Jona Petersena. Jak jednak wygląda ta inna prawda, czystsza, wyjątkowa, pierwotna?

Wcześniej na kartach tej książki, kiedy osuwisko terenu odsłoniło ohydłą nekropolię utrzymywaną przez Jona Petersena, podzieliłem się z wami moją wizją Boga. Podsumowując, Bóg istnieje, ponieważ dziesiątki tysięcy, a następnie setki tysięcy ludzi, i jeszcze więcej, uwierzyły w niego. Ponieważ nie ma takiej możliwości, abyśmy tak licznie czegoś chcieli i to się nie wydarzyło. Chodzi o wpływ wytrwałości i liczby na kosmos. Jestem głęboko przekonany, że skoro tak wielu z nas wierzy, pragnie ze wszystkich sił, to uruchamiają się niezrozumiałe dla nas prądy i działają. To niemożliwe, by ludzkość od tak dawna skupiała się na czymś, a to nie miałoby wpływu na świat. Kościoły wyrosły z ziemi, miliony zginęły z powodu wiary, tyle samo jednak urodziło się dzięki pieczy opiekuna, którego stworzyły sobie z biegiem czasu; morza ludzi stawały ramię w ramię, by ślać swe modły w jednym kierunku. Już samo to świadczy, że coś zakiełkowało ze zwykłego przekonania garstki ludzi. Jeśli więc wszyscy wierzymy w to samo, to coś staje się prawdziwe i rzeczywiste. Na tym polega siła

tłumu.

Ty, czytelniku, nienawidziłeś Jona Petersena. Przyznaj sam. Kiedy czułeś, że zbliża się do Mapel, by znęcać się nad nią, zebrałeś w sobie świadomą i podświadomą energię, aby zainterweniowała, żeby dziewczyna wyszła z tego cało i żeby ten śmieć, Jon Petersen, został powstrzymany. Błagałeś, żeby to wszystko wreszcie się skończyło, żeby Jon zapłacił za swoje uczynki, żeby spłonął w piekle, a przynajmniej, w zależności od twojej duchowości, żeby skończył źle. W każdym razie jego śmierć była dla ciebie wybawieniem.

Gdybym posiadał taką zdolność, kazałbym ci teraz stanąć przed lustrem – zanim przeczytasz to, co dalej nastąpi – i przyglądać się sobie przez kilka sekund.

Jesteś gotowy?

Podejrzewam, że już zrozumiałeś.

Wiem, że niełatwo będzie ci się z tym pogodzić. A jednak tak właśnie jest, zapisane czarno na białym, nie do podważenia.

TY zabiłeś Jona Petersena.

Nie zaprzeczaj. Siedziałeś w pierwszym rzędzie, każdym włóknom swojego ciała chciałeś, żeby przestał, żeby upadł. Podczas gdy jego głowa się przekręcała, myślałeś o wszystkich okrucieństwach, do jakich był zdolny, i o niczym innym. Żadna matka, żaden ojciec, żadna kobieta czy mężczyzna nie mogliby posiadać wiedzy na temat ohydnych czynów tego potwora, nie pragnąc jednocześnie na nie zareagować. Była to decyzja natychmiastowa, instynktowna, niemal kolegialna. Czyż nie zadawaliśmy już sobie pytania, jak daleko posunęlibyśmy się, by chronić to, co najbardziej wrażliwe, najbardziej niewinne, najcenniejsze? Czy bylibyśmy zdolni zabić z miłości, z zemsty, żeby ratować albo ponieważ wydaje nam się, że *tak powinno być*, w imię sprawiedliwości? Jak długo możemy gromadzić wiedzę, przyjmować coś na klatę, zanim nasz pierwotny popęd nie zwycięży? Nigdy się nie zastanawiałeś, czy mógłbyś kogoś zabić, gdyby ten okazał się nieuchronnym zagrożeniem? Gdybyś musiał zadziałać natychmiast? Pytań, które krążą po naszych nowoczesnych umysłach, jest mnóstwo; jątrzą, dojrzewają, aby wreszcie zakodować dopuszczalność danego czynu, chociaż nie bierzemy za niego pełnej odpowiedzialności. Aż pewnego dnia, skonfrontowane



z najgorszym, przerastają nas.

To nasza wspólna nienawiść ukręciła głowę Jona Petersena.

To siła wielkich liczb.

Ponieważ tak licznie pragnęliśmy tego ponad wszystko, zbyt mocno, aby nie odbiło się to żadnym echem, nasza wola w końcu odcisnęła się na tych stronach. Atrament jest tylko odbiciem potrzeby, celu, i spływa w zależności od skłonności trzymającego pióro, chyba że jego własne przekonania zostaną pokonane przez wrzenie na wyższym poziomie.

Wiem, że przyjęcie tej roli nie jest przyjemne, nawet mimo wygody, jaką zapewnia literatura. Strony te są kozłem ofiarnym twojego sumienia. Mimo to przypomnij sobie powolną agonię, na jaką skazywał cię Jon Petersen. Przywołaj na powierzchnię swojej uczciwości wspomnienie okrucieństw, które skłoniły cię do zniechęcenia go, do żywienia nadziei, że i on w końcu będzie cierpiał, a ostatecznie, że zatrzyma się, z takiego czy innego powodu. W godzinie prawdy dobrze jest okazać się szczerym, gdyż emocje nie sposób udawać, odczucie musiało zaistnieć, a pot twojej duszy zebrał się na tych stronach. Dowodzi tego opowiedziana tu historia. Została zapisana, wryta pod wpływem twoich potrzeb, twoich najgorszych, najbardziej osobistych, najszczerzych błagań. Spełniły się twoje życzenia: zginął. Z twojej woli. Ucieleśniał w sobie tyle zła, że nie było innego rozwiązania wobec tej siły, tej nagłej konieczności. Należało zadziałać natychmiast, bez namysłu, uniemożliwić mu wyrządzenie krzywdy, ocalić niewinność. Tak więc jesteś zabójcą z tej historii, będziesz musiał żyć z tą świadomością, gdyż prawda przetrwa wszędzie tam, gdzie położysz książkę. To odtąd sprawa między tobą i tymi stronami.

Obyś zdołał kiedyś mi wybaczyć, że zaciągnąłem cię aż tutaj, do mnie, do Carson Mills i jeszcze dalej. Ale wiesz, co mówi się o książkach i czytelnikach, którzy je wybierają, prawda? Wybieramy je w zależności od nastroju, to zazwyczaj kwestia instynktu. Pod pretekstem rozrywki drzemie potrzeba skonfrontowania naszych światów wyobraźni z tym, czym jesteśmy w głębi siebie, albo z tym, czym moglibyśmy być. Książki są odpowiedzią na nasze tęsknoty, chociaż nazywamy je „fikcją”, bo brzmi to bezpieczniej. Pomyśl o tym.

Jeśli o mnie chodzi, rozpocząłem pisanie tej powieści, kiedy uświadomiłem sobie, że moja własna historia dobiega końca. Musiałem opowiedzieć o tym, co wiem, wszystko musiało zostać wyznane. Nie mogę zgodzić się na istnienie świata, w którym Jon Petersen wciąż zadawałby cierpienie – nigdy bowiem nie zostałby aresztowany, wciąż zbierałby plony z pola maków. Zareagowałem, ponieważ to właśnie należało uczynić. Nie mógłbym siedzieć beczynnym albo płakać nad własnym tchórzostwem, prosząc Pana, by pozwolił mi cofnąć czas i wypełnić to, czego nie ośmieliłem się uczynić wcześniej. Do tego służy tylko literatura.

Z szacunku dla prawdy zachowałem prawdziwe imiona bohaterów, z wyjątkiem swojego, waszego sługi, ponieważ – chcąc być z wami w pełni szczerzy – musiałem, od czasu do czasu, wystąpić na scenie. Moja funkcja nie pozwala mi powiedzieć więcej, lecz nie wątpię, że uważny czytelnik dawno już odgadł moją tożsamość i zrozumie, dlaczego o jednych wiedziałem więcej, a o innych mniej. Przytoczyłem tylko to, z czego mi się zwierzyli, odszukałem świadków, w wyniku długotrwałych pertraktacji dotarłem do kilku pamiętników, we wszechwiedzącej narracji zdarzają się jednak luki, chociaż tu i ówdzie dodawałem szczyptę wyobraźni, aby uzupełnić puste plamy i nadać całości kształty. Ukryłem się za symbolicznym imieniem, aby lepiej przekazać wam tę opowieść, kronikę naszego spotkania ze Złem i sposobów, w jaki udało nam się ocaleć.

Na zakończenie – nie jestem naiwny – wiem, że najwięksi sceptycy stwierdzą, iż doszło do manipulacji, do podłego szachrajstwa semantycznego, które pozwoliło mi zrzucić z siebie odpowiedzialność, rozcieńczyć poczucie winy; powiedzą, że o wszystkim wiedziałem, że zbrodnię popełniłem ja sam, że miałem taką możliwość, w końcu żądę zabójstwa ofiara wzbudzała w każdym. Przypomnę im, że nawet jeśli wątpię w siłę wielkich liczb, wątpię w Boga, nie mogą zaprzeczyć, że istnieje domena, w której ten ostatni ma swoją niezaprzeczalną rację bytu: to literatura i wszechwiedząca moc narratora i autora. Jeśli zaś odbierzecie naszej egzystencji literaturę, po co w ogóle żyć?

<sup>1</sup> Tłum. Robert Sudół, Wydawnictwo Literackie 2008 (przyp. tłum.).

<sup>2</sup> W Stanach Zjednoczonych słowem *turnpike* określa się niektóre płatne autostrady.

<sup>3</sup> Skrótowiec od *Rest In Peace* – spoczywaj w pokoju.

